

**Roger Zelazny**

# **Imię moje legion**

**(Redaktor: Leszek Walkiewicz)**

*Billowi Spanglerowi i Fredowi Lernerowi z dwóch bardzo ważnych powodów.*

## **RUMOKO**

Byłem w sterowni, gdy moduł J-9 przestał funkcjonować. Do moich obowiązków należała konserwacja sprzętu i tym podobne bzdury.

W kapsule pod wodą znajdowało się dwóch ludzi sprawdzających „autostradę do piekła”, jak nazwano szyb wywiercony w dnie oceanu wiele kilometrów pod nami. Miał on być już wkrótce oddany do eksploatacji.

W normalnej sytuacji nie przejmowałbym się awarią, gdyż było to zadanie dwóch specjalnie przeszkolonych techników. Problem polegał na tym, że jeden z nich spędzał właśnie urlop na Spitsbergenie, a drugi był chory. Gdy „Aquina” wstrząsnęła nagłą kombinacją fal z wiatrem i gdy przypomniałem sobie, że jutro zaczyna się operacja „Rumoko”, zdecydowałem się. Podeszedłem i zdjęłem boczną tablicę rozdzielczą.

- Schweitzer! Nie ma pan uprawnień do grzebania w tym - powiedział doktor Asquith. Przyglądając się obwodom, zapytałem.

- Czy chce się pan sam tym zająć?

- Jasne, że nie. Nie wiedziałbym nawet, jak zączyć. Ale...

- Czy chce pan, aby Martin i Demmy zginęli?

- Wie pan, że nie, ale pan nie...

- Więc proszę mi powiedzieć, kto ma to zrobić. Kapsuła jest stąd, a my właśnie coś schrzaniiliśmy. Jeśli ma pan kogoś, kto bardziej nadaje się do tego, to proszę posłać po niego. Jeśli nie, to sam spróbuję naprawić J-9.

Wreszcie zamknął się. Mogłem w końcu się zastanowić. Nie byli zbyt ostrożni. Użyli nawet lutownicy. Zmieniili połączenia czterech obwodów.

Rozpocząłem naprawę. Asquith był oceanografem, więc raczej nie mógł znać się na elektronice. Miałem nadzieję, że nie zorientuje się, iż naprawiam efekty sabotażu. Po dziesięciu minutach kapsuła znów zaczęła działać.

Pracując myślałem o potędze, która wkrótce błyskawicznie przebędzie „autostradę do piekła”, po czym, niby wysłannik szatana lub szatan we własnej osobie, zostanie uwolniona tu, na środku Atlantyku. Ponury wygląd oceanu, normalny o tej porze roku i pod tą szerokością, nie poprawiał mi nastroju. Śmiercionośna energia nuklearna będzie użyta do wyzwolenia jeszcze groźniejszych mocy - płynnej magmy, która teraz kipiała pod dnem oceanu. Nie mogłem pojąć, że ktoś może nierozważnie igrać z takimi żywiołami. Statkiem

znów wstrząsnęły fale.

- W porządku - powiedziałem. - Było kilka zwarć, ale już je usunąłem. - Założyłem z powrotem tablicę rozdzielczą. - Teraz już nie powinno być problemów - dodałem.

Doktor popatrzył w monitor.

- Wydaje się, że wszystko działa prawidłowo. Zaraz sprawdzę... - Nacisnął przycisk. - „Aquina” do kapsuły. Czy słyszycie mnie?

- Tak. Co się stało? - nadeszła odpowiedź.

- Zwarcie w J-9 - odpowiedział. - Już naprawione. Jaka jest wasza sytuacja?

- Wszystkie układy powróciły do normy. Instrukcje?

- Kontynuujcie zadanie. Następnie zwrócił się do mnie.

- Zarekomenduję pana. Przepraszam, że tak naskoczyłem. Nie wiedziałem, że potrafi pan naprawić J-9.

- Jestem inżynierem elektrykiem - odrzekłem. - Znam to urządzenie. Wiem, że J-9 jest otoczony tajemnicą. Gdybym nie potrafił stwierdzić, co jest nie w porządku, nie tknąłbym tego.

- Rozumiem, że woli pan, abym powstrzymał się od rekomendacji...?

- Zgadza się.

- Więc nie zrobię tego.

To było najlepsze wyjście, ponieważ właśnie odbezpieczyłem małą bombę, która teraz spoczywała w lewej kieszeni mojej kurtki i miała zaraz wylecieć za burtę. Za pięć do ośmiu minut zniszczyłaby całkowicie zapis. Nie zależało mi na nim, ale jeśli już istniał, to wolałbym, by był mój, nie przeciwników.

Przeprosiłem i wyszedłem. Pozbyłem się bomby, po czym zacząłem zastanawiać się nad faktami.

Ktoś próbował sabotować projekt, Don Walsh miał więc rację. Niebezpieczeństwo było realne. Zastanówmy się. Oznaczało to, że w grę wchodziło coś poważnego. Podstawowym pytaniem było: co to jest? a następnym - co w związku z tym należy robić?

Zapaliłem papierosa i oparłem się na relingu „Aquiny” Przyglądałem się zimnemu oceanowi, atakującemu kadłub statku. Drżały mi ręce. To było przecież uczciwe, humanitarne przedsięwzięcie. Na dodatek bardzo niebezpieczne. Dlaczego ktoś chciał je zniszczyć? Z jakich powodów? Jakies jednak musiały istnieć.

Czy Asquith złoży raport? Prawdopodobnie tak, chociaż nie wie dokładnie, co zaszło. Będzie musiał wytłumaczyć przerwę w pracy kapsuły, aby jego raport był zgodny z zapisem w jej dzienniku pokładowym. Napiszę, że usunąłem zwarcie i to wszystko. Tyle wystarczy.

Doszedłem do wniosku, że przeciwnicy mają j dostęp do dziennika „Aquiny”. Zorientują się stąd, że nie zgłoszono unieszkodliwienia bomby. Będą wiedzieli również, kto im pomieszał szyki. Mogą być w krytycznym momencie na tyle nieostrożni, że zrobią jakiś fałszywy ruch. O to mi właśnie chodziło. Straciłem już cały miesiąc, czekając na coś w tym rodzaju. Miałem nadzieję, że to ich zaniepokoi i będą chcieli zadać mi kilka pytań.

Poszedłem do swojej kabiny i, ponieważ byłem już po pracy, zrobiłem sobie drinka. i Po pewnym czasie ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę przekręcić gałkę i pchnąć - powiedziałem.

Wszedł młody mężczyzna o nazwisku Rawlings.

- Panie Schweitzer, Karol Deith chce z panem rozmawiać.

- Powiedz jej, że zaraz przyjdę.

- Tak jest - odparł i wyszedł. Uczesałem się i zmieniłem koszulę. Karol Daith była młodą i ładną kobietą; pełniła funkcję oficera bezpieczeństwa na statku. Miałem dość dobre pojęcie to tym, czym się naprawdę zajmowała. Poszedłem do jej biura i dwukrotnie zapukałem.

- Witaj - powiedziałem po wejściu. - Chciała się pani ze mną widzieć.

- Schweitzer. Tak, czekam na pana. Proszę usiąść.

Wskazała mi miejsce po przeciwnej stronie kosztownego biurka.

Usiadłem.

- Dziś po południu naprawił pan moduł J-9. Wzruszyłem ramionami.

- To pytanie czy stwierdzenie faktu?

- Pan nie jest upoważniony do zajmowania się J-9.

- Jeśli pani sobie życzy, mogę wrócić i doprowadzić moduł do stanu, w jakim go zastałem.

- Więc przyznaje pan, że manipulował przy J-9?

- Tak. Westchnęła.

- Niech pan zrozumie, nie o to mi chodzi. Prawdopodobnie uratował pan dziś życie dwom osobom, więc nie zamierzam wystąpić z oskarżeniem o naruszenie przepisów bezpieczeństwa. Chciałabym wiedzieć coś innego.

- Co?

- Czy to był sabotaż?

No tak. Czuję, że dojdzie do tego.

- Nie - odparłem. - To nie był sabotaż. To było zwanie.

- Bzdury?

- Przykro mi, nie rozumiem...

- Doskonale pan rozumie. Ktoś celowo uszkodził moduł. Pan go naprawił, a usterki - to było coś więcej niż parę zwarć. Była też bomba. Nasz nasłuch wykrył jej wybuch za lewą burtą około pół godziny temu.

- To pani powiedziała, nie ja.

- Co to za gra? Pomógł nam pan, a jednocześnie osłania pan kogoś. O co panu chodzi?

- O nic.

Przyglądałem się jej. Miała rude włosy i mnóstwo piegów. Jej zielone oczy sprawiały wrażenie szeroko rozstawionych pod czerwonawą linią grzywki. Była wysoka - miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu. Tańczyłem z nią kiedyś na zabawie na statku.

- No więc jak?

- W porządku, a pani?

- Czekam na odpowiedź!

- Na jakie pytanie?

- Czy to był sabotaż?

- Nie - odparłem. - Skąd przyszło to pani do głowy?

- Wie pan, że były już inne próby?

- Nie wiedziałem.

Zaczerwieniła się nagle, co uwydatniło jej piegi. Co ją tak zmieszało?

- Tak, były. Udaremniliśmy je oczywiście, ale oni tu byli.

- Jacy „oni”?

- Nie wiemy.

- Dlaczego?

- Nikogo nie udało nam się złapać.

- Jak to możliwe?

- Byli sprytni. Zapaliłem papierosa.

- Myli się pani. To naprawdę były zwarcia. Jestem inżynierem elektrykiem, więc znalazłem je. To wszystko.

Wyjęła papierosa, a ja podałem jej ogień.

- Dobrze. Rozumiem, że to wszystko, co ma mi pan do powiedzenia. Wstałem.

- Przy okazji sprawdziłam pana jeszcze raz.

- I co?

- Nic. Jest pan czysty jak łąza.

- Miło mi to słyszeć.

- Niech pan się nie cieszy, to jeszcze nie koniec.

- Proszę spróbować. Nic nowego pani nie znajdzie.

Byłem tego całkiem pewien. Wyszedłem, zastanawiając się, kiedy do mnie dotrą. Co roku przed Bożym Narodzeniem wysyłam jedną kartkę świąteczną. Nie podpisuję jej. Kartka zawiera jedynie listę czterech barów i miejscowości, w których one się znajdują. Wszystko zapisane jest dużymi, drukowanymi literami. W Wielkanoc, Pierwszego Maja, w pierwszy dzień lata oraz w Dniu Halloween jestem w kolejnym barze między dwudziestą pierwszą a północą, czasu lokalnego. Po północy wychodzę. Co roku są to inne bary.

Placę zawsze gotówką, nie Uniwersalną Kartą Kredytową, której używają dziś prawie wszyscy. Bary te na ogół są spelunkami na peryferiach miast. Don Walsh czasami zjawia się tam, siada obok mnie i zamawia piwo. Nawiazujemy rozmowę, potem udajemy się na spacer. Czasem nie przychodzi, ale nigdy nie opuszcza dwóch kolejnych spotkań. Następnym razem zawsze przynosi mi pieniądze.

Parę miesięcy temu, w pierwszym dniu lata, siedziałem przy stoliku w knajpie „Interno” w San Miguel de Allende. Po pewnym czasie ujrzałem Dona. Miał na sobie garnitur z imitacji wełny i sportową, żółtą koszulę, rozpinaną pod szyją. Podszedł do baru, zamówił coś, odwrócił się i rozejrzał po sali. Skinąłem głową, gdy uśmiechnął się i dał znak ręką.

Podszedł ze szklanką w jednej ręce i carte blanche w drugiej.

- Znam cię - stwierdził.

- Jasne. Usiądziesz?

Wysunął krzesło i usadowił się naprzeciwko mnie. Popielniczka była przepelniona, ale nie było to moje dzieło. W powietrzu unosił się zapach tequilli, wokół nas dwuwymiarowe nagusy walczyły o miejsce na ścianie z afiszami reklamującymi walki byków.

- Jak teraz masz na imię?

- Frank - odpowiedziałem, wydmuchując dym.

- Czy to nie było w Nowym Orleanie?

- Tak, w Mardi Gras, parę lat temu. A propos, a ty jak masz na imię?

- George.

- Tak, przypominam sobie teraz. Popijaliśmy razem. Całą noc graliśmy w pokera.

Zabawa była wspaniała.

- I wygrałeś ode mnie około dwustu dolarów.

Uśmiechnął się.

- Co porabiasz? - zapytałem.

- Zwykle interesy. Mniejsze, większe - różne. Ostatnio trafił mi się wyjątkowo duży.

- Gratuluję. Mam nadzieję, że ci się powiedzie.

- Ja też.

Ucieliśmy sobie małą pogawędkę, podczas gdy Don dopijał piwo. Później spytałem:

- Zwiedziłeś miasto?

- Nie bardzo. Słyszałem, że jest godne uwagi.

- Myślę, że je polubisz. Byłem tu kiedyś na ich festiwalu. Wszyscy biorą prochy, żeby nie spać przez trzy doby. Indianie schodzą z gór i tańczą. Wciąż jeszcze mają tu pesos, wiesz? Mają tu też jedyną w Meksyku gotycką katedrę. Została zaprojektowana przez niepiśmiennego Indianina, który widział katedry gotyckie na pocztówkach z Europy. Wszyscy sądzili, że katedra rozleci się po zdjęciu rusztowań, ale nie rozleciała się i stoi do dziś.

- Chciałbym pobyc tu dłużej, ale mam tylko jeden dzień. Zamierzałem kupić trochę pamiątek dla rodziny.

- To dobre miejsce na robienie zakupów. Rzeczy są tanie. Zwłaszcza biżuteria.

- Szkoda, że nie mam więcej czasu.

- Na wzgórzu jest ruina toltecka. Pewnie ją widziałeś? Ma trzy krzyże na szczycie. Jest interesująca, ponieważ rząd ciągle nie przyjmuje do wiadomości jej istnienia. Widok ze szczytu jest wspaniały.

- Chętnie bym ją zobaczył. Jak się tam dostać?

- Po prostu wejdz na wzgórze. Nikt nie pilnuje ruin, wstęp wolny.

- Jak długo trzeba iść?

- Stąd nie dłużej niż godzinę. Wypij piwo i przejdziemy się.

Wkrótce wyruszyliśmy.

Już po chwili Don ciężko oddychał. Nic dziwnego, na co dzień żyliśmy niewiele nad poziomem morza, a tu znajdowaliśmy się na wysokości 2.000 metrów. W końcu dotarliśmy na szczyt. Usiedliśmy na głazach.

- To miejsce nie istnieje - powiedział - tak samo jak ty.

- Racja.

- Wobec tego nie ma tu podsłuchu, w przeciwieństwie do większości miejsc w dzisiejszych czasach.

- Dość odludne, nieprawdaż?

- Mam nadzieję, że takie pozostanie.

- Ja też.

- Dziękuję za kartkę świąteczną. Szukasz zajęcia?

- Wiesz, że tak.

- W porządku. Mam coś dla ciebie. I tak się wszystko zaczęło.

- Czy wiesz coś w wyspach Leeward i Windward? - zapytał. - Albo o Surtsey?

- Nie, mów.

- Znajdziesz je w archipelagu Małych Antyli, w kierunku południowo-wschodnim od Puerto Rico i Wysp Dziewiczych. Tworzą one wierzchołki podmorskiego pasma o szerokości od trzydziestu pięciu do stu trzydziestu kilometrów. Są zbudowane z materiału wulkanicznego. Każdy szczyt jest wulkanem - wygasłym lub nie.

- Mów dalej.

- Hawaje powstały w ten sam sposób. Surtsey wyłoniła się z morza w dwudziestym wieku. Powstała w bardzo krótkim czasie, trochę na zachód od Wysp Yestmanna koło Islandii. To było w 1963 roku. Capelinhos w Azorach powstała podobnie i narodziła się pod wodą.

Zrozumiałem już wszystko. Projekt „Rumoko” nie był mi obcy. Nazwa pochodziła od morskiego boga wulkanów i trzęsień ziemi. Jeszcze w dwudziestym wieku istniał, przerwany później, projekt „Mohole”, dotyczący eksploatacji złóż gazu ziemnego za pomocą głębokich wierceń i ładunków jądrowych.

- „Rumoko” - powiedział Don. - Wiesz coś o tym?

- Trochę. Przede wszystkim z działu naukowego „Timesa”

- To wystarczy. Jesteśmy w to wplątani.

- Jak to?

- Ktoś próbuje sabotować operację „Rumoko” Zostałem zaangażowany, aby wykryć, kto, jak i dlaczego, oraz aby zapobiec sabotażowi. Poniosłem niestety całkowitą klęskę. W dodatku w bardzo dziwnych okolicznościach straciłem dwóch swoich ludzi. Potem dostałem twoją pocztówkę.

Spojrzałem na niego. Wydawało się, że jego oczy świecą w ciemności. Był trochę niższy ode mnie, ale mimo to był z niego kawał chłopca. Teraz przyjął prawie wojskową postawę, dzięki czemu sprawiał wrażenie wyższego i silniejszego od tego, który przed chwilą sapał, wchodząc na szczyt.

- Chcesz, żebym wziął w tym udział?

- Tak.

- Ile dostanę?

- Pięćdziesiąt tysięcy. Być może sto pięćdziesiąt, zależnie od efektów. Zapaliłem papierosa.



- Co mam zrobić? - zapytałem po chwili.

- Zaangażujesz się jako członek załogi na „Aquinie”. Najlepiej jako technik. Dasz radę?

- Tak.

- Więc zrób to. Spróbuj wykryć, kto chce storpedować przedsięwzięcie. Potem zdasz mi raport. Albo lepiej pozbadź się tych ludzi w sposób, jaki uznasz za stosowny, i dopiero wtedy zdasz mi raport.

Uśmiechnąłem się.

- To wygląda na poważne zadanie. Kto cię wynajął?

- Pewien amerykański senator, który chce pozostać anonimowy.

- Mógłbym zgadnąć, kto to jest, ale powstrzymam się.

- Podejmujesz się tego?

- Tak. Potrzebuję pieniędzy.

- To będzie niebezpieczne zadanie.

- Wszystkie są niebezpieczne.

Przyjrzeliliśmy się krzyżom. Przywiązane były do nich na ofiarę paczki papierosów i inne cenne przedmioty.

- W porządku - stwierdził. - Kiedy zaczynasz?

- Przed końcem miesiąca.

- Dobrze. Kiedy zdasz mi sprawozdanie? Wzruszyłem ramionami.

- Gdy będę coś miał.

- Tym razem to nie wystarczy. Trzeba zakończyć sprawę do piętnastego września.

- A jeśli nic się nie będzie działo?

- Pięćdziesiąt tysięcy.

- A jeśli powstaną trudności i będę musiał się kogoś pozbyć?

- Tak, jak powiedziałem.

- Dobrze, załatwione. Przed piętnastym września.

- Żadnych raportów?

- Tylko jeśli będę potrzebował pomocy, albo będę miał coś ważnego do przekazania.

- Zgoda. Wyciągnąłem rękę.

- Umowa stoi, Don.

- Dopadnij tego drania - powiedział. - Chcę go mieć. Ci dwaj, których straciłem, byli naprawdę dobrzy.

- Spróbuję. Zrobię, co będę mógł.

- Nie rozumiem, jak ty...
- To moja sprawa. Zginałbym, gdybyś dowiedział się czegokolwiek.

- Postawię ci drinka - powiedział Martin, gdy mijalem go na pokładzie dziobowym, wracając ze spotkania z Karol Deith.

- Dobrze - zgodziłem się. Poszliśmy do baru okrętowego.

- Chcę ci podziękować za to, co zrobiłeś, gdy Demmy i ja byliśmy pod wodą.

- Drobiazg - odrzekłem. - Sam zrobiłbyś to w minutę, gdyby ktoś inny był w kapsule, a ty na pokładzie statku.

- Jeszcze raz ci bardzo dziękuję.

- Przyjmuję podziękowanie - powiedziałem, podnosząc plastikowy kufel z piwem. - Do diabła, wszystko jest teraz plastikowe! Jak wygląda ten szyb od wewnątrz? - zapytałem.

- Wspaniale - odpowiedział, marszcząc szerokie różowe czoło. Wokół jego niebieskich oczu pojawiło się wiele zmarszczek.

- Nie wyglądasz na całkiem przekonanego. Uśmiechnął się i pociągnął łyk.

- Wiesz, tego jeszcze nikt przedtem nie robił. Mamy trochę stracha.

Uznałem to za łagodne określenie sytuacji.

- Ale cały szyb ma właściwy kształt?

Rozejrzał się wokół, prawdopodobnie obawiając się podsłuchu. Podsłuch oczywiście był, ale Martin i tak nie powiedział nic, co mogłoby zaszkodzić jemu albo mnie. Gdyby chciał to zrobić, powstrzymałbym go.

- Tak - potwierdził.

- Dobrze - powiedziałem - bardzo dobrze.

- Dziwne masz nastawienie - odrzekł. - Jesteś przecież tylko technikiem.

- Moja praca przynosi mi satysfakcję. Spojrzał na mnie.

- To dziwnie brzmi, jakby z dwudziestego wieku.

- Jestem staromodny. Nie potrafię się od tego uwolnić.

- Podoba mi się to - rzekł. - Szkoda, że więcej ludzi tak nie myśli.

- Co robi teraz Demmy?

- Śpi. Powinni cię awansować - dodał.

- Mam nadzieję, że tego nie zrobią.

- Dlaczego?

- Nie lubię odpowiedzialności.

- Ale sam ją wziąłeś na siebie i dobrze się spisałeś.
- Raz miałem szczęście. Kto wie, co będzie następnym razem.

Rzucił mi ukradkowe spojrzenie.

- Co masz na myśli, mówiąc: „następnym razem”?

- Jeśli znów do tego dojdzie - odrzekłem. - Tylko przypadkiem byłem wtedy w sterówce.

Przypuszczałem, że Martin chce dowiedzieć się ode mnie, co się naprawdę dzieje; a więc obaj nie wiedzieliśmy zbyt wiele, choć zdawaliśmy sobie jednocześnie sprawę, że dzieje się coś złego.

W roku 1957, pięćdziesiąt lat temu, istniał AM SOC - American Miscellaneous Society. Nie była to wyłącznie kpina z pędu do tworzenia różnych organizacji, a to za przyczyną dwóch członków tego towarzystwa: doktorów Waltera Munka z Instytutu Oceanografii i Harry'ego Hessa z Princeton. Przedstawili oni oryginalny projekt, który niestety nie został zrealizowany z braku funduszy. Nie zapomniano jednak o nim.

Choć projekt „Mahole” zmarł nie narodzony, dał jednak początek czemuś, co miało jeszcze większy rozmach i siłę.

Większość ludzi wie, że skorupa ziemska pod lądami ma grubość ponad czterdzieści kilometrów i że trudno byłoby ją tam przewiercić. Wielu ponadto wie, że pod dnem oceanów skorupa ziemska jest o wiele cieńsza. W tych miejscach można byłoby wiercić i wnikać w nieciągłość Mohorovicica.

Sporo mówiono o informacjach, które można by w ten sposób uzyskać. Zdobycie próbek płaszczka pozwoliłoby odpowiedzieć na pytania dotyczące radioaktywności, przepływu ciepła, struktury geologicznej i wieku Ziemi. Poznalibyśmy grubość poszczególnych warstw skorupy ziemskiej; moglibyśmy też porównać te dane z wynikami badań fal sejsmicznych powstałych w czasie trzęsień ziemi, na długo przed pojawieniem się człowieka. To nie wyczerpywałoby jeszcze wszystkich możliwości.

- Wypijesz jeszcze jedno piwo? - zapytał Martin.

- Tak, dzięki.

Na podstawie publikacji „Aktywne wulkany świata” Międzynarodowego Stowarzyszenia Geologii i Geofizyki można zauważyć, że wygasłe wulkany tworzą pasma. Jednym z nich jest Ognisty Krąg otaczający Pacyfik. Począwszy od wybrzeży Ameryki Południowej ciągnie się przez Chile, Ekwador, Kolumbię, Amerykę Środkową, Meksyk, zachodnią część Stanów Zjednoczonych, Kanadę, Wyspy Kurylskie, Japonię, Filipiny,

Indonezję i Nową Zelandię. Pomijając Morze Śródziemne, podobne pasmo istnieje na Atlantyku, w pobliżu Islandii. Tam właśnie byliśmy.

Podniosłem kufel i pociągnąłem łyk. Na świecie jest przeszło sześćset wulkanów, które można uznać za aktywne, choć ich aktywność jest sporadyczna.

Właśnie my mieliśmy dodać do tej liczby jeden wulkan. Naszym celem było utworzenie na Atlantyku nowego wulkanu, a raczej wyspy wulkanicznej. To właśnie był cel operacji „Rumoko”

- Opuszczają mnie znowu w kapsule - powiedział Martin. - Przypuszczam, że nastąpi to w ciągu kilku najbliższych godzin. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś jeszcze raz mógł mieć na oku tę przeklętą maszynę. Odwdzięczyłbym ci się jakoś.

- Dobrze - odrzekłem. - Daj mi znać, kiedy znów cię wyślą. Będę starał się być w pobliżu sterowni. Jeśli coś będzie szło nie tak, spróbuję pomóc o ile nie będzie w pobliżu nikogo, kto znałby się lepiej.

Klepnął mnie po ramieniu.

- To wystarczy, dziękuję.

- Boisz się?

- Tak. Chyba mam pecha. Przyglądałem mu się przez chwilę, potem zająłem się piwem.

- Mapy izotermiczne pokazują, że jest to właściwe miejsce - powiedziałem. - Obawiam się jednej rzeczy, ale to wykracza poza moją wiedzę.

- Jakiej?

- Moje obawy dotyczą magmy.

- Co masz na myśli? - zapytał.

- Nie wiadomo, jak się zachowa po uwolnieniu. Sama magma może mieć różny skład. Jej zetknięcie z wodą i powietrzem może zakończyć się rozmaicie.

- Gwarantowali, że to bezpieczne.

- To hipoteza. Naukowa, ale tylko hipoteza.

- Zagraża nam jakieś niebezpieczeństwo?

- Nam nie tak bardzo, gdyż będziemy na uboczu. Ale to może mieć wpływ na temperaturę Ziemi, przyipywy, pogodę.

Potrząsnął głową.

- Nie podoba mi się to.

- Mnie też. Dopiliśmy piwo.

- Muszę już iść.

- Może postawić ci jeszcze jedno.
- Nie, dziękuję. Mam trochę pracy.
- No to do zobaczenia.
- Do zobaczenia. I nie przejmuj się.

Wyszedłem na górny pokład. Księżyc świecił tak mocno, że widziałem cienie. Wieczór był chłodny, podniosłem kołnierz płaszcza. Przez chwilę przyglądałem się falom, potem wróciłem do swojej kabiny.

Wziąłem prysznic i wysłuchałem ostatnich wiadomości. Wreszcie położyłem się do łóżka i zacząłem czytać książkę. Wkrótce ogarnęła mnie senność, więc odłożyłem książkę na stolik przy łóżku, zgasilem lampę i dałem się kołysać okrętowi do snu.

Powinienem dobrze się wyspać. Przecież jutro miał narodzić się „Rumoko”!

Jak długo spałem? Chyba kilka godzin. Nagle coś mnie obudziło.

Ktoś delikatnie otworzył drzwi do mojej kabiny i cicho wszedł. Leżałem, nagle zupełnie rozbudzony, czekając z zamkniętymi oczami na dalszy rozwój wypadków. Usłyszałem, że drzwi zostały zamknięte na klucz.

Błysnęło światło i poczułem czyjąś rękę na ramieniu.

- Niech się pan obudzi - powiedział ktoś.

Udawałem, że powoli się budzę. Było ich dwóch. Przetarłem oczy. Gdy je otworzyłem, zobaczyłem pistolet wymierzony w moją głowę.

- Co się dzieje, do diabła? - spytałem.

- Nic - odrzekł człowiek z pistoletem. - My pytamy, pan odpowiada. Tak będzie.

Usiadłem na łóżku.

- Dobrze. Czego chcecie?

- Kim pan jest?

- Nazywam się Albert Schweitzer.

- Znamy nazwisko, którego pan używa. Kim ; pan jest naprawdę.

- Powiedziałem.

- Nie wydaje nam się.

- Przykro mi.

- Nam też.

- Więc?

- Opowie nam pan o sobie i swoim zadaniu.

- Nie wiem, o czym mówicie.

- Proszę wstać!

- Podajcie mi najpierw mój szlafrok. Wisi w łazience po wewnętrznej stronie drzwi.

Ten, który trzymał broń, odwrócił się w stronę kolegi.

- Przynieś go, sprawdź i daj mu.

Obaj mieli twarze zasłonięte chusteczkami. To wskazywało na fachowców. Amatorzy używają raczej masek. Maski zakrywają niewiele. Dolną część twarzy łatwiej zidentyfikować.

- Dziękuję - powiedziałem, gdy ten bez broni podał mi mój niebieski szlafrok.

Narzuciłem szlafrok, zawiązałem pasek i usiadłem na skraju łóżka.

- Więc o co wam chodzi?

- Dla kogo pan pracuje?

- Dla projektu „Rumoko”. Uderzył mnie lekko lewą ręką, trzymając w drugiej całej czas pewnie pistolet.

- Nie - odparł. - Proszę o całą historię.

- Nie wiem, o czym mówicie. Mogę zapalić?

- Dobrze. Nie, chwilę. Proszę wziąć mojego papierosa. Nie wiem, co może być w pańskiej paczce.

Wziąłem jednego, zapaliłem, zaciągnąłem się i wypuściłem dym.

- Nie rozumiem was - powiedziałem. Dajcie mi lepszą wskazówkę, co was interesuje. Być może będę mógł pomóc. Nie szukam kłopotów.

Wyglądało na to, że moje słowa uspokoiły ich trochę, bo obaj odetchnęli z ulgą. Mężczyzna zadający pytania miał mniej więcej metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, drugi około metra osiemdziesięciu. Usiedli obok na krzesłach.

- Niech pan się odpręży, panie Schweitzer. My też nie chcemy kłopotów - rzekł ten z rewolwerem.

- Świetnie. Pytajcie mnie, o co chcecie, a ja wam dam uczciwą odpowiedź. - Gotów byłem kłamać jak najęty. - Słucham.

- Dziś naprawił pan J-9.

- Wszyscy o tym wiedzą.

- Dlaczego pan to zrobił?

- Dwom osobom groziła śmierć, a ja wiedziałem, co należy zrobić.

- Skąd pan wiedział?

- Na Boga, jestem inżynierem elektrykiem! Potrafię radzić sobie z obwodami. Wielu ludzi to potrafi.

Wyższy z nich spojrział na drugiego. Tamten skinął głową.

- Więc dlaczego starał się pan, aby Asquith nic nie mówił? - zapytał wyższy.

- Bo złamałem przepisy, dotycząc tego modułu. Nie jestem uprawniony do naprawiania go.

Tamten znów skinął głową. Obaj mieli bardzo ciemne, połyskliwe włosy. Byli bardzo dobrze rozwinięci fizycznie.

- Czyli jest pan zwykłym, szarym obywatelem - podjął wyższy - który skończył szkołę, studia, nie ożenił się i pracuje uczciwie w swoim zawodzie. Być może wszystko rzeczywiście tak wygląda, jak pan mówi, i w tym wypadku krzywdzimy pana. Okoliczności są jednak bardzo podejrzane. Naprawił pan skomplikowane urządzenie, choć nie ma pan uprawnień.

Przytaknąłem.

- Dlaczego?

- Mam dziwny stosunek do umierania. Nie lubię przyglądać się, jak ktoś to robi. Dla kogo pracujecie? Jakiś wywiad?

Niższy uśmiechnął się. Odpowiedział ten drugi.

- Nie możemy panu powiedzieć. Rozumie pan to z pewnością. Interesuje nas jedynie, dlaczego postanowił pan zachować w tajemnicy coś, co było oczywistym sabotażem.

- Powiedziałem wam.

- Owszem, ale to kłamstwo. Nikt nie łamie zakazów w sposób, w jaki pan to zrobił.

- Bzdura. Chodziło o życie ludzi. Potrząsnął głową.

- Obawiam się, że będziemy musieli kontynuować przesłuchanie, i to innymi metodami.

Zawsze gdy oczekuję zagrożenia, pojawiają się wspomnienia - jak bańki mydlane błyskawicznie zmieniają swe barwy, trwają przez chwilę i szybko znikają.

W rejonie Karaibów na dnie morza znajduje się Nowy Eden. Przypomina wielką, oświetloną kopułę. Według ostatnich danych jest domem dla ponad stu tysięcy ludzi. Roztacza się z niego wspaniały widok. Na znacznym obszarze wokół, liczne światła wyznaczają drogi pomiędzy skałami. Poruszają się nimi pojazdy morskie, niczym czołgi. Miniaturowe łodzie podwodne unoszą się na różnych głębokościach; zgrabnie wyglądający pływacy w obcisłych kolorowych strojach pojawiają się i odpływają.

Spędziłem tam kiedyś kilka tygodni urlopu. Choć odkryłem u siebie, nieznanę mi dotąd, tendencję do klaustrofobii, było całkiem miło. Mieszkańcy Nowego Edenu dobrowolnie wzięli udział w akcji zmniejszania zagęszczenia ludności na lądach. Akceptowali jednak turystów. Zaakceptowali i mnie. Pływałem z nimi, pomagałem im, zwiedzałem ich kopalnie, ogrody, domy.

Nie był to prawdziwy raj pod kloszem; to zwariowane kolorowe miasto z pewnością nie było dla mnie. Zawsze jednak przypominałem je sobie, gdy znajdowałem się w trudnym położeniu - właśnie takim jak teraz.

Westchnąłem, zaciągnąłem się papierosem i zgasilem go, wiedząc, że moja bańka wspomnień za chwilę pęknie.

Jak to jest być jedynym człowiekiem za Ziemi, którego nie ma? Trudno powiedzieć. Nie jest łatwo uogólniać, gdy zna się tylko jeden przypadek - swój własny. Jeśli o mnie chodzi, jest to rodzaj niezwyklej przygody. Wątpię, czy można to z czymkolwiek porównać.

Stało się to w dziwny sposób.

Kiedyś pisałem programy komputerowe. Od tego wszystkiego się zaczęło. Pewnego dnia dotarła do mnie niepokojąca wiadomość. Dowiedziałem się, że cały świat będzie istniał na taśmie. Jak? W dzisiejszych czasach każdy ma metrykę urodzenia, dyplom ukończenia studiów, poświadczenie o zdolności kredytowej, historię wszystkich podróży i spis miejsc zamieszkania. Ostatni dokument to akt zgonu. Przedtem wszystkie te informacje były w różnych miejscach. Postanowiono zebrać je razem. Nazwano to Centralnym Bankiem Danych.

Byłem jednym z tych, którzy go tworzyli. Dopiero gdy prace były mocno zaawansowane, zacząłem mieć wątpliwości. Wiedziałem jednak, że jest już za późno, aby cokolwiek zrobić.

Zajmowałem się wtedy łączeniem istniejących danych. Sądziłem, że w tym wspaniałym, elektronicznym schyłku wieku, w którym żyjemy, bank danych jest naprawdę potrzebny. Wyobrażałem sobie każdy dom z dostępem do wszystkiego, co kiedykolwiek zostało napisane: książek, publikacji, wykładów, danych statystycznych (pewna teoria głosiła, że nie można manipulować wynikami badań statystycznych, jeśli każdy ma do nich dostęp i może je kwestionować). Pełna informacja zapewniałaby rozwój wielu dziedzinom: gospodarce (jak wspaniały byłby jej stan, gdyby wiadomo było, gdzie kierowany jest każdy cent), medycynie (zmniejszenie ilości zgonów), komunikacji (rozwiązanie problemów komunikacyjnych na lądzie, morzu i w powietrzu). Przeczewałem nadejście Złotej Ery.

Bzdury.

Przyjaciół, mający luźne kontakty z mafią, roześmiał się głośno, gdy to usłyszał. Podziwiałam go, właśnie przeszedł z uniwersytetu do służby federalnej.

- Czy ty rzeczywiście wierzysz, że każdy będzie zarejestrowany, że każda transakcja wprowadzona zostanie do pamięci? - zapytał.

- Po pewnym czasie tak.



- Pamiętajcie, że pieniądze leżą nie tylko w bankach, ale też w pończochach i materacach. Nikt nie wie, ile jest pieniędzy na świecie, i nigdy nie będzie wiedział.

Miał rację. Nie chodziło tylko o pieniądze. Przecież można było zataić każdą niewygodną informację. Byli tacy, którym szczególnie na tym zależało.

Chociaż projekt odchodził coraz bardziej od założeń, wciąż się rozwijał. Trwało to trzy lata. W tym czasie z programisty awansowałem na doradcę starego Johna Colgate'a, który kierował całą operacją.

Pewnego dnia, gdy nasze zadanie było już na ukończeniu, podzieliłem się z nim moimi spostrzeżeniami i wątpliwościami. Obawiałem się, że stworzymy monstrum, które pozbawi ludzi wolności. Przyglądał mi się przez chwilę, bawiąc się przyciskiem do papieru wykonanym z koralu.

- Być może masz rację - odpowiedział. - Co zamierzasz zrobić?

- Nie wiem - odrzekłem. - Chciałem tylko podzielić się z panem moimi odczuciami.

Westchnął i zwrócił swe obrotowe krzesło w stronę okna. Po pewnym czasie pomyślałem, że zasnął, co czasami mu się zdarzało po lunchu. Wreszcie jednak przemówił.

- Nie sądzisz, że słyszałem to już tysiąc razy?

- Być może - odparłem. - Zawsze zastanawiałem się, co pan na to odpowiadał.

- Nie znam żadnej odpowiedzi. Czuję, że jest to zmiana na lepsze, inaczej nie wiązałbym się z tym. Przyznaję, że mogę się mylić. Mimo wszystko, trzeba znaleźć jakieś metody pozwalające na rejestrację i sterowanie wszystkimi istotnymi czynnikami wpływającymi na społeczeństwo tak złożone jak nasze. Jeśli masz lepszy sposób, to powiedz.

Milczałem. Zapaliłem papierosa i czekałem, co jeszcze powie. Nie wiedziałem wtedy, że zostało mu tylko pół roku życia.

- Czy brałeś kiedyś pod uwagę pozostanie poza systemem? - zapytał.

- Co pan ma na myśli?

- Rezygnację, wyjście z systemu.

- Pozostać poza systemem? Rozumiem, że ma pan na myśli zniszczenie czyjeś - na przykład - mojej kartoteki przed wprowadzeniem jej do systemu.

- Właśnie to - potwierdził.

- Ale nie będę wtedy mógł znaleźć żadnej pracy, bo brak będzie danych o moim wykształceniu, o pracy wykonywanej poprzednio.

- To będzie już twój problem.

- Nie będę mógł niczego kupić bez poświadczenia banku o mojej wypłacalności.

- Będziesz musiał kupować za gotówkę.

- Gotówka jest pod kontrolą systemu. Obrócił krzesło w moją stronę i uśmiechnął się.

- Czyżby? Na pewno?

- No, nie cała - przyznałem.

- Więc?

Zastanowiłem się, gdy zapalał fajkę. Dym otoczył jego szerokie, siwe bokobrody. Czy był to sarkazm i kpina, czy mówił serio?

Jakby w odpowiedzi na moje wątpliwości wstał, przeszedł przez pokój i otworzył szafkę z dokumentami. Grzebał w niej przez chwilę, po czym wrócił do biurka, niosąc plik kart perforowanych. Rzucił je przede mną na biurko.

- To ty. W przyszłym tygodniu, jak wszyscy inni, zostaniesz wprowadzony do systemu.

Wypuścił kółko dymu i usiadł na swym krześle.

- Weź je do domu, włóż pod poduszkę i śpij na nich. Zdecyduj, co ma się z nimi stać.

- Nie rozumiem...

- Wybór należy do ciebie.

- A jeśli je zniszczę? Co pan wtedy zrobi?

- Nic.

- Dlaczego?

- Bo jest mi wszystko jedno.

- To nieprawda. Pan jest szefem tego wszystkiego.

Wzruszył ramionami.

- Czy pan sam nie wierzy w przydatność tego systemu?

- Nie jestem już tak przekonany, jak kiedyś.

- Gdybym to zrobił, to oficjalnie przestanę istnieć.

- Tak.

- Co stałoby się ze mną? Po chwili powiedziałem:

- Niech pan da mi te karty. Wskazał mi je gestem. Zebrałem je i włożyłem do kieszeni.

- Co zamierzasz z nimi zrobić?

- Spać na nich, jak pan sugerował.

- Dopilnuj, aby wróciły do mnie przed przyszłym czwartkiem.

- Oczywiście.

Uśmiechnął się. Zabrałem karty do domu. Przez całą noc - chodząc po pokoju tam i z powrotem oraz paląc papierosy - zastanawiałem się, co robić. Istnieć poza systemem... czy było to w ogóle możliwe?

Gdzieś koło czwartej nad ranem doszedłem do wniosku, że powinienem inaczej sformułować pytanie: Jak korzystać z systemu, nie należąc do niego?

Siadłem i sporządziłem dokładny plan. Rano podarłem karty i spaliłem je.

- Niech pan usiądzie na krzesło - powiedział wyższy.

Uczyniłem to. Obaj stanęli za mną.

Wyrównałem oddech i spróbowałem odprężyć się.

- Teraz proszę nam wszystko opowiedzieć - polecił ten sam.

- Dostałem tę pracę przez biuro pośrednictwa pracy - odrzekłem. - Przyjąłem ją, zacząłem pracować, spotkałem was. To wszystko.

- Od pewnego czasu chodzą słuchy, że rząd może otrzymać pozwolenie - ze względów bezpieczeństwa - na stworzenie fikcyjnej pozycji w rejestrze centralnym. W ten sposób wchodzi do gry agent. Wierzymy, że jest to możliwe. Fikcyjne dane sprawiają wrażenie jak najbardziej autentycznych.

Nie odpowiedziałem.

- Czy to prawda?

- Tak. Podobno jest to możliwe. Nie wiem jednak, czy to prawda.

- Potwierdza pan, że jest takim agentem?

- Nie.

Szeptali między sobą, po czym usłyszałem szcęknięcie otwieranej metalowej kasetki.

- Kłamie pan.

- Nie. Uratowałem życie dwom facetom, a wy ubliżacie mi. Co złego zrobiłem?

- Ja zadaję pytania, panie Schweitzer.

- Jestem po prostu ciekawy. Być może, jeśli byście powiedzieli mi...

- Proszę podwinąć rękaw. Obojętnie który.

- Dlaczego?

- Bo ja tak każę.

- Co zamierzacie zrobić?

- Dać panu zastrzyk.

- Czy jest pan lekarzem?

- Nie powinno to pana obchodzić.

- Więc odmawiam. Dopilnuję, aby Związek Lekarski dobrał się do was.

- Rękaw proszę.

- Robię to wbrew woli - odparłem i podwinąłem lewy rękaw. - Jeśli zamierzacie mnie potem zabić, ostrzegam, że to raczej poważne przestępstwo. Jeśli nie, i tak będę was ścigał.

Pewnego dnia was dopadnę.

Poczułem ukłucie.

- Czy moglibyście powiedzieć, co mi zaaplikowaliście?

- Jest to tak zwane TC-6 - odpowiedział. - Być może czytał pan o tym. Po tym środku powie nam pan całą prawdę.

Doskonale znałem narkotyki typu TC-6. Wiedziałem, że pozwalają one zachować zdolność logicznego rozumowania, ale nie pozwalają kłamać. Doszedłem do wniosku, że najlepiej wykorzystam słabe strony TC-6, pozostając biernym. Miałem też ostatecznie jeszcze jeden pomysł w zanadru. Najbardziej obawiałem się efektów ubocznych TC-6, zwłaszcza jeśli chodzi o jego wpływ na serce. Nie czułem, że ulegam działaniu narkotyków. Wiedziałem, że to tylko złudzenie. Żałowałem, że nie mogłem wcześniej skorzystać z antidotum, które ukryte było w zwyczajnie wyglądającym zestawie pierwszej pomocy w szafce na ubrania.

- Słyszysz mnie, prawda? - zapytał.

- Tak. - Usłyszałem własną odpowiedź.

- Jak się nazywasz?

- Albert Schweitzer.

- Czym się zajmujesz?

- Jestem technikiem.

- Czym jeszcze?

- Robię wiele różnych rzeczy.

- Czy pracujesz dla rządu - jakiegokolwiek rządu?

- Płacę podatki, co oznacza, że częściowo pracuję także dla rządu. Tak.

- Nie o to mi chodzi. Czy jesteś tajnym agentem na usługach jakiegoś rządu.

- Nie.

- Jawnym agentem?

- Nie.

- Więc dlaczego znalazłeś się tutaj?

- Jestem technikiem. Obsługuję maszyny.

- Dla kogo jeszcze pracujesz?

- Ja nie...

- Dla kogo jeszcze pracujesz poza projektem?

- Dla siebie.

- Co masz na myśli?

- Moja działalność ma na celu utrzymanie mojego statusu ekonomicznego i w miarę dobrej sprawności fizycznej.

- Mam na myśli pracodawców. Czy są tacy?

- Nie.

- Chyba jest czysty - stwierdził drugi.

- Być może. I znów pytanie:

- Co zrobiłbyś, gdybyś mnie spotkał i rozpoznał?

- Oddałbym cię w ręce sprawiedliwości.

- A gdyby to nie było możliwe?

- Gdybym mógł, ciężko bym cię zranił. Może nawet zabiłbym cię, gdybym był w stanie nadać temu pozory samoobrony lub wypadku.

- Dlaczego?

- Ponieważ chcę chronić swoją osobę. Raz mnie już zaatakowałeś, więc może się to powtórzyć. Nie dopuszczę do tego.

- Wątpię, czy to się powtórzy.

- Twoje wątpliwości są dla mnie bez znaczenia.

- Więc jednym ocaliłeś życie, a teraz chcesz je zabierać komuś innemu. Nie odpowiedziałem.

- Odpowiadaj.

- Nie zadałeś pytania.

- Czy potrafisz neutralizować TC-6? - zapytał drugi.

- Nigdy nie słyszałem, by można było to zrobić.

- Potrafisz?

- Nie rozumiem pytania.

- Ten środek pozwala ci zachować pełną orientację. Wiesz, kim jesteś, w jakim miejscu się znajdujesz; nie straciłeś też poczucia czasu. TC-6 narusza jednak twoją wolę; dlatego musisz odpowiadać na pytania. Osoba mająca duże doświadczenie z tego typu środkami może czasem pokonać je, przeformułując w myśli pytania i dając potem odpowiedzi prawdziwe w sensie dosłownym. Czy postępujesz w ten sposób?

- To źle postawione pytanie - stwierdził ten drugi.

- A jakie jest dobrze postawione?

- Czy byłeś przedtem pod działaniem środków wpływających na pracę mózgu?

- Tak.

- Jakich?

- Używałem nikotyny, alkoholu, kofeiny...
- Serum prawdy. Coś takiego jak to, co zmusza cię teraz do odpowiadania.

Przyjmowałeś coś takiego?

- Tak.
- Gdzie?
- Na Uniwersytecie Północnozachodnim.
- W jakim celu?
- Zgłosiłem się na ochotnika do serii eksperymentów.
- Czego one dotyczyły?
- Wpływu środków farmakologicznych na świadomość.
- Psychiczna blokada. To może trwać dniami. Uodpornił się - powiedział

przesłuchujący mnie do kolegi.

- Czy możesz pokonać serum prawdy? - zapytał ten drugi.
- Nie rozumiem.
- Czy możesz teraz kłamać?
- Nie.

- Znowu złe pytanie - stwierdził niższy. - On nie kłamie. Wszystko co mówi, jest w sensie dosłownym prawdą.

- Więc jak wydobędziemy od niego odpowiedzi?
- Nie mam pojęcia.

Znowu zarzucili mnie pytaniami. W końcu zaczęło brakować im konceptu.

- Przekonał nas. Trzeba by dni, aby wyciągnąć z niego to, o co nam chodzi - powiedział wreszcie niższy.

- A może...
- Nie. Mamy taśmę. Mamy jego odpowiedzi. Niech komputer się martwi.

Zaczynało świtać. Dziwnie się czułem. Wydawało mi się, że jestem znowu zdolny do paru kłamstewek. Z bulaja dochodziło trochę światła. Męczyli mnie wiele godzin. Postanowiłem spróbować.

- Myślę, że jest tu podsłuch - powiedziałem.
- Co? Co masz na myśli?
- Służba bezpieczeństwa statku. Sądzę, że wszyscy technicy są na podsłuchu.
- Gdzie on jest?
- Nie wiem.
- Musimy go znaleźć - rzekł jeden z nich.

- Co to da? - odparł drugi szeptem. Musiał wiedzieć, że szept często się nie nagrywa. -  
Gdyby był podsłuch, dawno już by tu byli.

- Chyba, że czekają, aż się całkiem pogrążymy.

Zaczęli się niepokoić. Wstałem i nie napotkawszy sprzeciwu, chwiejnym krokiem podszedłem do łóżka. Prawa ręka zsunęła mi się jakby przypadkiem. Znalazłem pistolet. Odbezpieczyłem go wyciągając. Siadłem na łóżku i wycelowałem w nich.

- Dobra, kretyni. Teraz wy odpowiadajcie na moje pytania.

Wyższy próbował sięgnąć do pasa, więc postrzeliłem go w rękę.

- Następny? - zapytałem, zdejmując tłumik, który spełnił już swoją rolę i zastępując go poduszką.

Drugi uniósł ręce do góry i spojrzał na kumpla.

- Niech krwawi - powiedziałem. Skinął głową i cofnął się.

- Siadajcie obaj.

Postusznie wypełnili polecenie. Stanąłem za nimi.

- Pokaż rękę - powiedziałem do wyższego i zabandażowałem mu ranę. Ich broń położyłem na szafce. Zdarłem im chustki i dokładnie przyjrzałem się twarzom. Nic mi nie mówiły.

- Dobra, po co tu przyszlście?

Nie było odpowiedzi.

Wyjąłem plaster z apteczki i skrepowałem ich.

- Te kabiny są całkowicie dźwiękoszczelne - zaznaczyłem, odkładając pistolet. - Poza tym kłamałem, że jest tu podsłuch. Możecie więc sobie pokrzyczeć, jeśli macie ochotę. Ale ostrzegam was: każdy krzyk to złamana jedna kość. No więc, dla kogo pracujecie?

- Ja jestem mechanikiem na wahadłowcu, a kolega pilotem - odpowiedział niższy. „Kolega” spojrzał na niego z niechęcią.

- Dobra, kupuję. Zastanówcie się dokładnie nad odpowiedzią na następne pytanie: dla kogo naprawę pracujecie? Kto pociąga za sznurki?

Brak odpowiedzi.

- W porządku. Widzę, że muszę zacząć zadawać pytanie w inny sposób.

Głowy obu zwróciły się w moją stronę.

- Chcieliście dla kilku odpowiedzi naruszyć fizjologię mojego organizmu. Ja w rewanżu zajmę się anatomią waszych. Obiecuję, że wyciągnę z was kilka rzeczy. Moje metody będą trochę prostsze. Po prostu będę was torturował, aż zaczniecie mówić.

- Nie zrobi pan tego. Ma pan niski wskaźnik agresji - powiedział wyższy. Zaśmiałem

się.

- Zobaczymy.

Rozpocząłem nowe życie - istniejąc i nie istniejąc zarazem. Stwierdziłem, że to całkiem łatwo. Po zniszczeniu moich kart pracowałem jeszcze parę dni. Znalazłem kilka wejść do systemu i na tym zakończyłem pracę.

Było to w Thule, w głębi obszaru zimna, w stacji meteorologicznej.

Stację prowadził starszy facet, który lubił rum. Wprowadziłem swój stateczek o nazwie „Proteus” do jego przystani i użalałem się na burzliwe morze.

- Przenocuję cię - stwierdził. Komputer nie zawiódł mnie.

- Dzięki.

Przyjął mnie, nakarmił, rozmawiał ze mną o oceanie, o pogodzie.

- Czy jest tu pełna automatyzacja? - zapytałem.

- Owszem.

- To po co ty tu jesteś? Roześmiał się.

- Mój wujek był senatorem. Potrzebowałem zacisznego kąta i on mi to załatwił.

Chodźmy obejrzyć twój statek. Nie szkodzi, że pada.

Mój statek był sporej wielkości łodzią motorową z potężnym silnikiem.

- Założyłem się - powiedziałem - że dotrę do koła arktycznego i przywiozę dowód na to.

- Chłopcze, jesteś szalony.

- Wiem, ale wygram.

- Być może. Kiedyś byłem taki jak ty. Jakieś dziewczynki...? - Pogłaskał szpakowatą brodę i uśmiechnął się znacząco.

- Wystarczy, chodźmy się napić - powiedziałem tak, bo Ewa nie była z dziewczyn, o których chciałby posłuchać.

Zerwaliśmy ze sobą około czterech miesięcy wcześniej. Nie chodziło o religię albo o politykę. Przyczyny były bardziej prozaiczne.

Spotkałem ją w Nowym Jorku, gdzie oboje robiliśmy to samo: odpoczywaliśmy, oglądaliśmy przedstawienia i filmy. Była wysoka, miała krótko przycięte włosy. Pomogłem jej znaleźć stację metra, wsiadłem z nią, wysiadłem z nią, zaprosiłem na obiad i zostałem odesłany do diabła. Jeszcze tego samego dnia poszliśmy na spaghetti.

Przez miesiąc naszego pobytu w Nowym Jorku stawaliśmy się sobie coraz bliżsi. W końcu poprosiłem Ewę o rękę. Nie chciała jednak opuszczać swojego podwodnego miasta, w



którym mieszkała. Ja natomiast nie zamierzałem zrezygnować z marzeń; potrzebowałem całego, wielkiego świata. Kochałem tę upartą, niebieskooką dziewczynę. Powiniennem byłem zostać z nią w jej szklanej, zwariowanej barice. Gdybyśmy oboje byli normalni... Cóż, nie byliśmy.

„Ewo, gdziekolwiek jesteś, mam nadzieję, że jesteś szczęśliwa z Jimem”

- Tak, coli - powiedziałem. Ja piłem colę, a on wzmocnione drinki z colą, aż w końcu stwierdził, że jest już zmęczony.

- Zaczyna mnie brać, panie Hemingway - rzekł.

- Więc przystopujmy.

- Dobrze. Pokazałem ci, gdzie są koce?

- Tak.

- Więc dobranoc, Ernest. Do jutra.

- Dobranoc, Bili. Jutro rano przygotuję śniadanie.

- Dzięki.

Ziewnął, przeciągnął się i wyszedł.

Jego stacja meteorologiczna miała bezpośrednie połączenie z centralnym komputerem. Udało mi się co nieco wprowadzić do niego. Dobrze zakamuflowałem swoją ingerencję. Gdy skończyłem, wiedziałem, że odniosłem sukces. Mogłem przesłać do centrum, co tylko chciałem i tak zostałyby to uznane za zgodne z rzeczywistością.

Byłem prawie Bogiem.

„Ewo, może powinienem był wybrać inną drogę. Nigdy nie będę wiedział”

Mogłem stać się kimkolwiek. Wystarczyło, abym wymazał istniejące dane - datę urodzenia, nazwisko, wykształcenie itd. Mogłem następnie umieścić siebie w dowolnym punkcie struktury nowoczesnego społeczeństwa, przesyłając odpowiednie informacje przez stację meteorologiczną do centralnego komputera. Zostałby utworzony specjalny zapis i istniałbym, jakby od początku, w dowolnie wybranym przez siebie wcieleniu.

„Ewo, potrzebowałem cię. Ja...”

Uważam, że rząd czasami stosuje podobne sztuczki. Jestem jednak przekonany, że nie podejrzewają istnienia wolnego strzelca.

Znam większość rzeczy, które należy znać - nawet więcej, niż potrzeba - np. jak oszukiwać detektory kłamstwa i środki chemiczne wydobywające prawdę. Moje imię jest święte. Nikt go nie pozna. Czy zdajecie sobie sprawę, że pisak wykrywacza kłamstw oszukać można na siedemnaście różnych sposobów? Sam mógłbym wykonać przyrząd, którego nie można byłoby oszukać, ale jego zapis niewiele wart byłby w sądzie.

Środki psychotropowe? Nic prostszego. Każdy przechodził w życiu różne testy: testy na inteligencję, testy zdolności, testy wytrzymałości na ból. Po pewnym czasie człowiek uczy się tego, co psycholodzy nazywają „odpornością na testy” Wie już, które odpowiedzi są poprawne, a które nie, wie, czego się od niego oczekuje. Właśnie o to chodzi. Jeśli brałeś przedtem jakieś środki psychotropowe dla treningu, możesz później bez przeszkód przezwyciężyć ich działanie.

Odporność na tego typu środki to po prostu wiedza, jak sobie z nimi radzić.

- Idźcie do diabła. Wy odpowiadacie teraz na moje pytania - powiedziałem.

Myszę, że stara wypróbowana metoda uzyskiwania odpowiedzi (groźba i zadawanie bólu) jest najlepsza.

Użyłem jej.

Wstałem rano i zrobiłem śniadanie. Przyniosłem Billowi szklanekę soku pomarańczowego. Potrząsnąłem go za ramię.

- Co do diabła...

- Śniadanie. Wypij to.

Wstał z łóżka i poszliśmy do kuchni.

- Morze wygląda dziś nieźle - powiedziałem. - Myszę, że będę ruszał w drogę.

Skinął głową, pochylony nad jajkami.

- Wpadnij tu kiedyś.

- Dobrze.

Rozmawialiśmy przez cały ranek. Bili był lekarzem z dużym doświadczeniem zawodowym (w czasie którejś kolejnej wizyty u niego wyciągnął ze mnie kilka kuł i zachował dyskrecję). Był jednym z pierwszych astronautów. Jego żona zmarła na raka. Po jej śmierci zrezygnował z praktyki. Szukał miejsca, w którym mógłby zapomnieć o świecie. Znalazł je właśnie tu.

Mimo że staliśmy się serdecznymi przyjaciółmi, nigdy nie powiedziałem mu o swoich machinacjach na stacji. Nie chciałem, by miał przeze mnie jakieś kłopoty. Zresztą, nawet gdyby mnie złapano, i tak by mu nic nie groziło. Jego wujek był przecież senatorem.

Przez dłuższy czas od mojej pierwszej wizyty u Billa mieszkałem na „Protensie” Zakotwiczylem go w zatoczce małej wyspy u wybrzeży New Jersey.

Trenowałem judo, style „Budo Kwai”i szkołę Federacji Francuskiej. Style te pozwalają na większe wykorzystanie siły i na mniej dokładną technikę. Dlatego bardziej mi odpowiadały. Mój brak precyzji mógł się jednak na mnie pewnego dnia zemścić.

Przez ten czas ukończyłem kurs ślusarski. Minęły tygodnie, zanim nauczyłem się otwierać najprostszy zamek (dalej uważałem, że najlepszy sposób w krytycznym momencie to wyważyć drzwi, zabrać co trzeba, i uciekać na złamanie karku).

Myślę, że nie urodziłem się, aby być kryminalistą. Jedni mają to we krwi, inni nie.

Uczyłem się każdego możliwego drobiazgu, który uważałem za przydatny w przyszłości. Dalej to robię. Nie jestem ekspertem w żadnej dziedzinie, oprócz swego własnego szczególnego sposobu życia, lecz znam się co nieco na wielu dziwnych rzeczach.

No i mam tę przewagę, że nie istnieję.

Gdy zabrakło mi pieniędzy, odszukałem Dona Walsh. Wiedziałem, kim jest, ale on nie wiedział nic o mnie. Miałem nadzieję, że nigdy się nie dowie. Wybrałem go jako swój modus vivendi.

Było to ponad dziesięć lat temu i jak dotąd nie mogę narzekać. Teraz, po tylu latach radzę sobie o wiele lepiej ze ślusarstwem i z judo, nie mówiąc o farmakologii i podsłuchu.

Nieodłączną częścią mego życia jest świąteczna karta dla Dona na każde Boże Narodzenie.

Nie byłem pewien czy blefują. Powiedzieli, że mam niski wskaźnik agresji. Oznaczało to, że dobrali się do moich osobistych danych w Centrali. To z kolei znaczyło, że muszę starać się utrzymać ich w niepewności do czasu rozpoczęcia operacji „Rumoko”.

Mój kieszonkowy zegarek wskazywał za pięć szóstą. Pracę zaczynałem o ósmej.

Na pewno oprócz tych dwóch na statku przebywali inni, ich sojusznicy, którym także zależało na tym, by akcja nie powiodła się. Termin jej rozpoczęcia, piętnastego września, stał pod znakiem zapytania.

- Panowie... - Mój głos zabrzmiał dziwnie nawet w moich uszach. - ...wasz czas minął. Teraz na mnie kolej. - Odwróciłem krzesło i usiadłem na nim. - Zanim zacznę działać, podsumuję moje domysły na wasz temat. Nie jesteście agentami rządu, bo wiedzielibyście, że ja nim nie jestem. Reprezentujecie czyjeś prywatne interesy. Uciekliście się do ostateczności, przesłuchując mnie, bo jesteście chyba w trudnej sytuacji. Nie macie zbyt dużo czasu. To według mnie wiąże was z tymi, którzy usiłowali wczoraj dokonać sabotażu. Dowiedzieliście się, że naprawiłem J-9 i że zorientowałem się w całej sprawie. Dlatego złożyliście mi wizytę. Wiem, że wasze dokumenty są autentyczne. Mógłbym je teraz wyjąć z waszych kieszeni, o ile tam są, ale wasze nazwiska nie są mi potrzebne. Chcę odpowiedzi na jedno pytanie: dla kogo pracujecie?

- Pan też dla kogoś pracuje - stwierdził wyższy. - Jeśli nie dla rządu, to i tak dla kogoś,

kto nie jest nam miły.

- Więc przyznajecie, że nie pracujecie na własną rękę. Jeśli nie chcecie powiedzieć, kto jest waszym szefem, to przynajmniej powiedzcie, dlaczego chcecie powstrzymać projekt?

- Nie.

- Dobrze, zostawmy to. Widzę, że jesteście związani z jakąś grubą rybą, której on przeszkadza. O co chodzi? Może mogę coś zasugerować?

Niższy zaśmiał się, ale drugi zgasił jego śmiech szybkim spojrzeniem.

- To mamy z głowy - stwierdziłem. - Dziękuję. Teraz rozważmy inną sprawę. Mogę oddać was w ręce służby bezpieczeństwa i stwierdzić, że włamaliście się do mojego pokoju. Mogę też być na tyle miły, że skłamię i powiem, że trafiliście do mnie w nocy przez przypadek po pijanemu. Jak to brzmi?

- Czy tu jest podsłuch? - zapytał niższy.

- Jasne, że nie. Tylko trzymaj język za zębami – powiedział jego partner.

- No i jak to brzmi? - powtórzyłem pytanie. Nie odpowiedzieli.

- Wytrzymacie długie przesłuchanie? Wyższy zaczął się zastanawiać. Zauważyłem wcześniej, że ma bliźnię przy ustach.

- Zrobisz to? - zapytał wreszcie.

- Tak, zrobię.

Wydawało mi się, że wpadł na jakiś pomysł.

- Wtedy - kontynuowałem - nie uda mi się zaoszczędzić wam bólu, a chciałbym. Nawet jeśli jesteście odporni na działanie środków psychotropowych, załamiecie się po kilku dniach, zwłaszcza gdy użyję jeszcze innych sposobów. Powiecie wszystko, pytanie tylko: kiedy? Ponieważ wolicie teraz milczeć, więc muszę przyjąć, że macie jeszcze w zanadrzu coś, co powstrzyma projekt „Rumoko”.

- On jest zbyt sprytny!

- Powiedz mu, żeby się zamknął! - warknąłem. - Udziela odpowiedzi zbyt szybko i odbiera mi zabawę. No więc, co wybieracie? Macie tylko dwa wyjścia.

- On ma rację - powiedział ten z bliźnię. - Jesteś zbyt sprytny. Twój iloraz inteligencji i typ osobowości nie wskazuje na to. Zapłacimy ci.

- Drogo by to was kosztowało. Podajcie warunki i powiedzcie, kto składa ofertę.

- Warunki: dostajesz ćwierć miliona dolarów w gotówce, wypuścisz nas i zapomnisz o wszystkim.

To było kuszące. Z drugiej strony, za kilka lat pieniądze skończą się, a w dodatku będę musiał zawiadomić Prywatne Biuro Detektywistyczne Walsh, trzecie co do wielkości na

świecie, o niepowodzeniu. Zależało mi na współpracy z Donem na dotychczasowych zasadach.

- Kto płaci i jak?

- Mogę dać połowę teraz, gotówką - reszta za tydzień do dziesięciu dni. Powie nam pan, jak mamy je dostarczyć. Proszę nie pytać, dlaczego. To będzie jedna z rzeczy, za które płacimy.

- Wasz szef ma z pewnością sporo pieniędzy - powiedziałem. Spojrzałem jednocześnie na zegarek i zobaczyłem, że jest piętnaście po szóstej. - Nie, muszę odrzucić waszą ofertę.

- Więc nie jest pan człowiekiem rządu. Taki wzięłby pieniądze, a potem aresztowałby nas.

- Już to mówiłem. Co teraz?

- Zdaje się, że znaleźliśmy się w impasie, panie Schweitzer.

- Niezupełnie. Dotarliśmy po prostu do końca pierwszego etapu. Ponieważ argumenty logiczne nie przemówiły do was, będę musiał podjąć stanowcze kroki. Z góry przepraszam, ale jest to konieczne.

- Rzeczywiście zamierza pan użyć przemocy fizycznej?

- Niestety tak, ale nie przejmujcie się. Przewidywałem na dzisiejszy ranek kaca, więc zwolniłem się na dziś ze służby. Mamy przed sobą cały dzień. Masz już bolesną ranę, więc dam ci tym razem szansę.

Zaniosłem niższego wraz z krzesłem do łazienki i umieściłem pod prysznicem, unikając w tym czasie wielu jego prób uderzenia mnie głową. Nie odkręciłem jednak wody. Potem wróciłem do kabiny.

- Taraz ci wytłumaczę, co się będzie działo.

Wszystko zależy od pory dnia. Zmierzyłem temperaturę gorącej wody. Waha się między sześćdziesięcioma a osiemdziesięcioma stopniami Celsjusza. Twój kolega za chwilę poczuje ją na swojej skórze, gorącą i pod dużym ciśnieniem. Najpierw jednak rozepnę mu koszulę i spodnie, aby wystawić na działanie wody jak najwięcej nieosłoniętego ciała. Rozumiesz?

- Rozumiem.

Wróciłem do łazienki, zrobiłem tak, jak powiedziałem, i odkręciłem kurek od gorącej wody. Następnie znów wróciłem do pokoju.

Gdy usłyszeliśmy krzyki, ten w pokoju wyraźnie starał się opanować. Widać jednak było, że zrobiło to na nim wrażenie. Sprawdził jeszcze raz swoje więzy, spojrzał na mój zegarek i na mnie.

- Zakręć to, niech cię szlag trafi! - krzyknął.
- Twój kuzyn? - zapytałem, ponieważ wydawało mi się, że są do siebie podobni.
- Mój przyrodni brat. Skończ to, ty bydlaku!
- Dopiero wtedy, gdy będziesz miał mi coś do powiedzenia.
- Dobrze, tylko zakręć wodę i zamknij drzwi.

Zrobiłem, jak chciał. Oparzyłem się w prawą rękę, zakręcając prysznic. Zostawiłem swą ofiarę nieruchomą w obłokach pary i zamknąłem za sobą drzwi do łazienki.

- Co masz do powiedzenia?

- Czy możesz uwolnić mi jedną rękę i dać mi papierosa? Może prawą, ledwie mogą się ruszać.

- Dobrze - odrzekłem. Zapaliłem papierosa, włożyłem mu do ust i przeciąłem taśmę, unieruchamiając jego prawe przedramię. Upuścił papierosa, więc podniosłem go i wręczyłem mu. -

Masz dziesięć sekund na odprężenie. Potem zacznymy omawiać warunki.

Skinął głową, rozejrzał się po pokoju, zaciągnął głęboko i wypuścił dym.

- Widzę, że wiesz, jak zadawać ból - powiedział. - Jeśli nie pracujesz dla rządu, to twoje dane są całkiem fałszywe.

- Nie pracuję dla rządu.

- Chciałbym cię mieć po naszej stronie, bo to paskudna sprawa... Kimkolwiek jesteś i cokolwiek robisz, mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę ze wszystkich konsekwencji.

Znowu spojrzał na mój zegarek. Była szósta dwadzieścia pięć. Robił to już wiele razy, lecz ignorowałem to. Nagle uświadomiłem sobie, że chodziło mu o coś więcej niż o zwykłe sprawdzenie czasu.

- Kiedy nastąpi wybuch? - strzeliłem w ciemno.

Trafiłem.

- Przynieś mojego brata tutaj, chcę go zobaczyć.

- Kiedy ma być wybuch?

- Zostało zbyt mało czasu, a później już nie będzie to istotne. Spóźniłeś się.

- Nie sądzę. Teraz już wiem, że muszę się spieszyć. Więc nie łam sobie nad tym głowy. Chyba oddam was służbie bezpieczeństwa.

- A jeśli zaproponuję więcej pieniędzy?

- Tylko wprowadzisz mnie w zakłopotanie; znowu odpowiem: nie.

- Dobrze, ale przynieś go tutaj, proszę, i opatrz mu rany.

Zrobiłem to.

- Na chwilę was zostawię samych - powiedziałem potem, zabierając mu papierosa i przyklejając z powrotem jego rękę. Następnie ruszyłem do drzwi. Pojawiła się zorza.

- Nie wiesz, co robisz! - usłyszałem za sobą.

Nie wiedziałem, naprawdę nie wiedziałem. Ale przecież mogłem się domyślić. Jak szalony pobiegłem do kabiny Karol Deith. Łomotałem do drzwi, dopóki nie usłyszałem stłumionego przekleństwa i „chwileczkę”. Drzwi otwały się. Spojrzała na mnie. Jej oczy migotały w świetle lamp, ubrana była w obszerny szlafrok, na głowie miała rodzaj czepka nocnego.

- O co panu chodzi?

- Musimy porozmawiać. Mogę wejść?

- Nie, nie jestem przygotowana...

- Wiem, że to sabotaż. To się jeszcze nie skończyło, proszę...

- Niech pan wejdzie.

Otworzyła nagle szeroko drzwi i stanęła z boku. Wszedłem.

- Więc o co chodzi?

Świeciła się mała lampka. Łóżko było nie pościelone. Z pewnością obudziłem ją.

- Być może nie powiedziałem wczoraj wszystkiego. Tak, bo był sabotaż. Była też bomba, którą wyrzuciłem za burtę. Dziś jest ważny dzień, ostatnia próba sabotażu już została podjęta. Myślę, że wiem, co to jest i gdzie. Pomoże mi pani?

- Niech pan usiądzie.

- Nie mam czasu.

- Proszę usiąść. Muszę się ubrać.

- Niech się pani pospieszy. Weszła do drugiego pokoju. Wpuściła mnie do siebie, więc musiała mi chyba ufać.

- Co to jest? - zapytała, gdy wróciła.

- Sądzę, że jeden albo więcej naszych ładunków nuklearnych może eksplodować wcześniej.

- Dlaczego?

- Bo w mojej kabynie jest dwóch delikwentów, obaj przyklejeni taśmami do krzeseł. Wczoraj wieczorem zaczęli mnie przesłuchiwać. Chcieli się dowiedzieć szczegółów o mojej manipulacji przy J-9.

- Czego to dowodzi?

- Byli dla mnie dość nieuprzejmi.

- Więc?

- Gdy uzyskałem przewagę, postąpiłem z nimi tak samo i zmusiłem ich do mówienia.

- Jak?

- To już moja sprawa. Ważne, że mówili. Myślę, że należy jeszcze raz sprawdzić zapalniki ładunków jądrowych.

- Czy oni są w pańskiej kabynie?

- Tak.

- Jak pan ich unieszkodliwił?

- Nie wiedzieli, że mam pistolet.

- Ja też nie wiedziałam. Niech się pan nie niepokoi, weźmiemy ich.

- Lepiej pospieszmy się. Nie chcę, żeby ci dwaj zniszczyli operację.

- Nie uda im się. Muszę przyznać, że zna się pan na swojej robocie. Mówi pan, że bomba atomowa ma wkrótce wybuchnąć na tym statku. Zgadza się?

- Tak.

- Sądzi pan, że jeden z ładunków został przygotowany i ma włączony zegar?

-Tak.

Spojrzała na zegarek. Zbliżała się siódma.

- Jestem pewny, że mamy niecałą godzinę.

- Zanurzają się za kilka minut - powiedziała.

- Co pani zamierza zrobić? Podniosła słuchawkę telefonu.

- Oddział operacyjny, przerwijcie odliczanie. Połączcie mnie z żołnierzami.

Sierzancie, chcę, aby pan aresztował dwóch ludzi.

- Jaki jest numer pańskiej kabiny?

- Sześćdziesiąt cztery - odpowiedziałem.

- Kabina sześćdziesiąt cztery. W porządku. Tak. Dziękuję.

Odłożyła słuchawkę.

- Mają zapewnioną opiekę. - Spojrzała na mnie badawczo. - Sądzi pan, że ładunek może wybuchnąć przed czasem?

- Już dwa razy to powiedziałem.

- Może pan temu zapobiec?

- Jeśli będę miał odpowiednie narzędzia, ale może lepiej wysłać fachowców?

- Niech pan się tym zajmie.

- Dobrze. - Kiwnąłem głową i wyszedłem. Po pięciu minutach wróciłem z ciężkim pakunkiem na ramieniu.

- Musiałem złożyć podpis własną krwią, ale mam wszystko, czego potrzebuję.



Dlaczego nie wezwie pani dobrego fizyka?

- Wolę pana. Pan tkwi w tym od początku. Zna się pan na tym. Lepiej, aby jak najmniej osób było w to wmieszanych.

- Proszę zaprowadzić mnie do ładunków.

Była za dziesięć siódma. Znalezienie spreparowanego ładunku zajęło mi dziesięć minut.

To była dziecinna zabawa. Użyli silnika od dziecięcego dźwigu. Silnik był uruchamiany przez prosty mechanizm zegarowy i miał dosunąć przednią zasłonę. To diabelstwo wybuchłoby podczas opuszczania ładunku na dno oceanu.

Rozbroiłem mechanizm w niecałe dziesięć minut.

Stanęliśmy później przy relingu.

- Radzę się pilnować - powiedziała. - Zostanie pan poddany najdokładniejszemu przesłuchaniu, jakie kiedykolwiek prowadziłam.

- Proszę bardzo, jestem czysty jak łąza.

- Pan nie jest z tego świata. Nie robi się już dzisiaj takich rzeczy.

- To proszę mnie dotknąć

- Jeśli nie zamieni się pan o północy w żabę, to jakaś dziewczyna mogłaby nawet polubić kiedyś takiego faceta jak pan.

- To musiałyby być bardzo niemądra dziewczyna.

Spojrzała na mnie w sposób, którego nie miałem ochoty interpretować. Zaglądając mi prosto w oczy, powiedziała:

- Starasz się ukryć coś, czego jeszcze nie mogę pojąć. Wydajesz się pozostałością z Dawnych Dni.

- Może jestem.

- Muszę napisać raport. Mimo, że tyle pomogłeś, nie łamiąc przy tym prawie żadnego przepisu, oprócz naprawy J-9, będziesz jednak w nim figurował jako jedna z głównych osób; niestety nie da się tego uniknąć. Nie bardzo mogą cię wyłączyć z raportu.

- Nie proszę o to.

- Co chcesz, żebym zrobiła?

Wiedziałem, że mogę wymazać ten raport, gdy dojdzie do Centrali, ale nie da się go wymazać z pamięci ludzi, którzy zdążą się z nim zapoznać, zanim tam dotrze. To mogłoby spowodować kłopoty.

- Napisz, że byłem zaangażowany w to od początku.

- Nie widzę problemu.

- To wystarczy. Dziękuję.
- Co zamierzasz robić po skończeniu akcji?
- Nie wiem, może zrobię sobie wakacje.
- Sam?
- Być może.
- Widzisz. Lubię cię. Staram się oszczędzić ci kłopotów.
- Doceniam to.
- Chyba na wszystko masz gotową odpowiedź.
- Na to wygląda.
- A dziewczyna?
- Co masz na myśli?
- Nie przydałaby ci się jakaś dziewczyna w tym, co robisz, czymkolwiek by to nie było?
- Myślałem, że masz tu dobrą pracę.
- Mam, ale nie o tym mówię. Czy masz jakąś?
- Jakąś co?
- Nie udawaj osła. Dziewczyne!
- Nie.
- No więc?
- Jesteś szalona. Co mógłbym robić z dziewczyną ze służb specjalnych? Chcesz związać się z nienormalnym?
- Widziałam cię w akcji i nie obawiam się.
- To najdziwniejsza propozycja, jaką mi złożono.
- Zastanów się.
- Rozbroiłem dla ciebie bombę...
- Nie mów o wdzięczności. Ale rozumiem, że odpowiedź brzmi: nie.
- Przestań! Daj mi trochę czasu do namysłu.
- Dobrze - odrzekła i odwróciła się.
- Poczekaj, nie bądź taka. Podobasz mi się, ale zawsze byłem zdecydowanym starym kawalerem.
- Spójrz na to z innej strony. Mogłabym robić różne rzeczy.
- Na przykład?
- Oszukiwać komputery i nie dać się złapać.
- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Weź mnie ze sobą. Chciałabym też to robić. Przyjrzałem się jej. Wyglądała, jakby miała się rozplakać.

- Jestem twoją ostatnią szansą, prawda? Spotkałaś mnie w dziwnym momencie swego życia i chcesz ryzykować.

- Tak.

- Jesteś szalona. Nie zapewnię ci bezpieczeństwa, chyba że chcesz wypaść z gry. Nie mogę, gram według własnych zasad, a są one dość nietypowe. Gdybyśmy byli razem, prawdopodobnie wkrótce zostałąbyś wdową. Tak by to wyglądało.

- Jesteś wystarczająco twardy, by rozbijać bomby.

- Wcześniej umrę. Robię wiele niemądrych rzeczy, gdy jestem do tego zmuszony.

- Myślę, że mogłabym się w tobie zakochać.

- Więc, na Boga, pozwól, że porozmawiamy później. Muszę teraz przemyśleć wiele rzeczy.

- Dobrze.

- Jesteś wariatką.

- Nie sądzę.

- Zobaczymy.

Następnego dnia rozpoczęła się akcja „Rumoko” Martin i Demmy zanurzyli się już w oceanie i umieścili ładunki. Wykonali niezbędne czynności i wynieśliśmy się. Wszystko było gotowe i czekało na sygnał radiowy. W końcu sygnał został wysłany.

Przez chwilę trwała cisza. Potem nastąpiła eksplozja.

- Właśnie zwiększyliśmy zanieczyszczenie atmosfery - powiedział Martin.

- Piekło - dodał Demmy. Ocean wzburzył się. Zaatakowały nas skłębione fale, ale oparliśmy się im.

- Mamy pierwszy odczyt. Zaczyna się formować - powiedziała Karol. Czekaliśmy w napięciu.

- Zwiększa się - dodała po chwili.

Wreszcie wszystko, co zostało uwolnione tego ranka, pokazało się na powierzchni.

Zobaczyliśmy najpierw fantastyczny słup wody. Wyrzucony został w górę na olbrzymią wysokość, po czym opadł. Był złocisty w porannym słońcu, jak Zeus odwiedzający jedną ze swych ziemskich ukochanych. Towarzyszył mu potężny huk. Następnie na powierzchni oceanu pojawiło się zawirowanie. W górę wzbily się kolejne słupy wody. Z niewyobrażalną siłą podmuch wiatru oraz fale uderzyły w „Aquinę” Statek był jednak na to przygotowany. Właśnie w tym celu został zbudowany. Przez wiele mil płynęliśmy na falach

wywołanych wybuchem. Mimo to wciąż nam się zdawało, że w ogóle nie oddalamy się od miejsca erupcji.

Następny słup wody wystrzelił w niebo i rósł, aż stał się niebotyczną kolumną. Przebił chmury i w tym momencie zaczęło robić się ciemniej. U jego podstawy pojawiły się płomienie. Dostrzeżliśmy wielki, ciemny kształt.

Rumoko.

Przypominał statek. Widniała przed nami sztucznie utworzona wyspa, być może część zatopionej Atlantydy. Człowiekowi udało się stworzyć ląd. Kiedyś ląd ten będzie zdalny do zamieszkania. Może stanie się częścią całego archipelagu... Nową Japonią. Więcej miejsc do ekspansji rasy ludzkiej. Więcej miejsc, na których będzie można żyć.

Dlaczego ktoś był temu przeciwny?

Udałem się na obiad. Jakby przypadkiem przysiadła się do mnie Karol.

- Wymyśliłeś już coś? - zapytała.

- Owszem.

- No i...

- Chciałbym cię trochę lepiej poznać.

- To znaczył

- Możesz ze mną współpracować, ale najpierw przejść musisz okres próbny.

- Nie lubisz mnie? Sprawdziłam zgodność naszych charakterów. Wynika z nich, że powinno nam być dobrze ze sobą. Myślę, że mogłabym żyć z indywidualistą, umiejącym radzić sobie z maszynami.

Na pewno zdawała sobie sprawę z obecności podsłuchu. Dlatego to wszystko powiedziała - celowo. Nie wzięła jednak pod uwagę tego, że przejrze ją.

- Może porozmawiamy w innym miejscu? - zaproponowała. - Mogę ci załatwić zwolnienie z pracy na dzisiaj.

- Przykro mi, ale interesują mnie wyniki testów. Umówmy się na weekend. Po zastanowieniu, odparła:

- W porządku.

Odpowiedź „w porządku” zamiast „tak” lub „dobrze” musiała być jakimś hasłem.

Gdy opuszczaliśmy jadalnię, szła o krok przedemną. Otworzyłem jej drzwi i przekroczyła próg. W tej samej chwili weszło dwóch facetów.

Zatrzymała się za drzwiami i odwróciła w moją stronę.

- Nie trudź się - powiedziałem. - Nie byłem dostatecznie szybki, więc dałem się złapać. Nie wymieniam moich praw. Znam je.

Podniosłem ręce do góry, gdy ujrzałem pistolet w jej ręku. Unikała mojego wzroku.

- Jedziesz dziś wieczór na Spitsbergen - powiedziała. - Tam będą lepsze warunki, by cię przesłuchać. - Jakby czytając w moich myślach, dodała: - Ponieważ jesteś raczej niebezpieczny, chciałam cię ostrzec, że twoja eskorta składa się z fachowców.

- Jedziesz ze mną?

- Obawiam się, że nie.

- Przykro mi. Żałuję, że nie mogłem cię lepiej poznać.

- Nasza znajomość nie ma znaczenia. Chodziło o dostarczenie cię na Spitsbergen.

Jeden z mężczyzn poprosił mnie, żebym złożył z tyłu ręce i zakuł mnie w kajdanki. Zdążyłem rzucić na nie okiem. Były raczej starego typu. Rząd zawsze robił oszczędności na czymś takim. Wiedziałem, że będę mógł przelożyć nogi nad kajdankami i mieć je z przodu. Wystarczyłoby mi około dwudziestu sekund.

- Jeszcze jedno - powiedziałem. - Czy wykryliście już, dlaczego tych dwóch facetów włamało się do mojego pokoju?

Przygryzła wargę.

- Byli z Nowego Salem. Obawiali się, że „Rumoko” zniszczy ich podwodne miasto.

- I co? - zapytałem. - Mieli rację?

- Jeszcze nie wiemy. Od jakiegoś czasu nie mamy z nim łączności.

- Chcesz powiedzieć, że zabiliście wszystkich mieszkańców miasta.

- Nie. Według naukowców ryzyko było minimalne.

- To wasi naukowcy. Ich naukowcy musieli uważać inaczej.

- Oczywiście - odpowiedziała. - Oni zawsze stwarzają przeszkody. Ich wpływ...

- Żałuję.

- Czego?

- Że wsadziłem tego faceta pod prysznic. Dobra, starczy. Reszty dowiem się z gazet. Zabierajcie mnie na Spitsbergen.

- Wybacz - powiedziała. - Robię to, co muszę. Uważam, że postępuję słusznie. Możesz okazać się niewinny. Ale wtedy... wtedy chciałabym, abyś pamiętał, że to, co mówiłam przedtem, jest prawdą. Nie miej do mnie żalu.

Uśmiechnąłem się.

- Nie o to chodzi, tylko nigdy nie mógłbym ci już zaufać.

Odwróciła się.

- Dobranoc - powiedziałem.

„Fachowcy” odprowadzili mnie do helikoptera i pomogli wejść na pokład. Było ich

tylko dwóch oraz pilot.

- Podobałeś się jej - stwierdził trzymający broń.

- Nie sędzę.

- Jeśli ma rację, że jesteś czysty, to czy spotkasz się z nią kiedyś?

- Nie chcę jej już więcej widzieć - odparłem. Wystartowaliśmy.

W oddali dudnił Rumoko, pluł ogniem i dymił. „Ewo, wybacz. Nie wiedziałem. Nigdy nie sądziłem, że to może mieć takie skutki”

Wszystko odbyło się cicho i sprawnie. Uodporniłem się na ten środek, podczas gdy większość ludzi nawet o nim nie słyszała. Otworzyłem sygnet i uwolniłem truciznę. Nie znałem ich nazwisk. Nie przyjrzałem się nawet ich twarzom.

Zginęli w ciągu trzydziestu sekund. Kajdanki zdjąłem w ciągu dwudziestu sekund.

Rozbiłem helikopter na plaży. Jedynie zwichnąłem sobie przy tym nadgarstek. Wskoczyłem na zewnątrz i ruszyłem w drogę.

Nikt nie powinien mnie poszukiwać. Trucizna nie pozostawiała po sobie żadnych śladów. Katastrofa powinna sprawiać wrażenie najzupełniej przypadkowej.

Rumoko wciąż płonął. Według przewidywań w ciągu kilku miesięcy jego płomienie wygasną. Później zostanie pokryty warstwą gleby, którą użyźnią będą ptaki oraz specjalne gatunki roślin. Wreszcie, zgodnie z teorią, wyspa zostanie zaludniona. Później będzie należeć do archipelagu wysp.

Wspaniałe rozwiązanie problemu przeludnienia: w jednym miejscu tworzymy nowy ląd, a w drugim zabijamy ludzi.

Tak, wstrząs sejsmiczny uszkodził kapsułę Nowego Salem. Zginęło wielu ludzi. Winą obciążono konstrukcję miasta.

Mimo wszystko nowa wyspa ma być utworzona następnego lata. Przy nowej próbie przewiduje się więcej środków ostrożności - choć nie wiadomo, co to oznacza. Uważam, że te środki są diabła warte. Zresztą nie ufam już niczemu.

Jeśli jakieś inne podwodne miasto ulegnie podobnej katastrofie, myślę, że projekt będzie rozwijał się wolniej. Pewnie będą próbowali kolejny raz.

Nie wierzę, że projekt tworzenia nowych lądów rozwiąże problem przeludnienia. Powinno być coraz więcej podwodnych miast i nakładów na eksploatację przestrzeni kosmicznej. Ale nie powinno być projektów takich jak „Rumoko”

Zamierzam przeprowadzić akcję na własną rękę. Walsh nigdy się o tym nie dowie. Nikt nie powinien się o tym dowiedzieć. Nie jestem altruistą, ale uważam, że mam zobowiązania wobec ludzkości, na której żeruję. Ostatecznie, należałem przecież do niej...

Gdy wybuchnie ładunek, dopilnuję, by spowodował najstraszniejszy wstrząs sejsmiczny w dziejach Ziemi. Nie będzie to zbyt trudne. Być może zamorduję tysiące ludzi. Zamierzam jednak ograniczyć maksymalne ofiary.

Założyłem przynętę i zarzuciłem wędkę. Bili napił się soku pomarańczowego, a ja zaciągnąłem się cygarem.

- Jesteś teraz inżynierem - doradcą? - zapytał.

- Tak.

- Co zamierzasz robić?

- Mam coś na oku. Dość trudne.

- Podejmujesz się tego?

- Tak.

- Chciałbym czasem zmierzyć się z jakimś problemem, tak jak ty to robisz.

- Nie warto.

Spojrzałem na ciemne fale, gotów dokonywać cudów. Poranne słońce grzało przyjemnie. Wiał zimny, orzeźwiający wiatr. Zapowiadał się słoneczny dzień.

- Powiadasz, że coś zniszczyli?

Nie odpowiedziałem.

Wyciągnąłem rybę i uderzyłem ją w głowę, aby oszczędzić jej cierpień. Powtarzałem sobie, że nie istnieje. Czasami wydawało mi się, że widzę twarz starego Colgate'a.

„Ewo, Ewo... Wybacz mi, Ewo. Jak bardzo pragnąłbym czuć twą rękę na czole”

Fale dziś są niebieskie i zielone... Boże, jakie urocze jest światło!

„Każdy w końcu umiera”- pomyślałem, ale nie poprawiło to ani trochę mego samopoczucia. Nic go nie poprawi.

„Don, następną kartę świąteczną wyślę do ciebie z rocznym opóźnieniem.

Nigdy nie pytaj, dlaczego”.

**'KJWALLI'KJE'KOOT-HAILLL'KJE'K**

Siedziałem na plażowym krześle, na małym patio za moim domkiem, popijając piwo z puszki i patrząc na roziskrzone niebo. Była noc. Gwiazdy świeciły jasno na bezchmurnym firmamencie. Dawno temu wszyscy rozeszli się, sprawozdania zostały złożone.

Nie mogłem się zdecydować, co dalej zrobić. Swoje zadanie wykonałem. Wystarczyło

uznać sprawę za zamkniętą, wrócić, odebrać wynagrodzenie i żyć względnie szczęśliwie do końca swych dni. Nikt na moim miejscu nie przejmowałby się kilkoma niewyjaśnionymi drobiazgami; mnie one jednak nie dawały spokoju. Nie byłem przecież zobowiązany do zajmowania się szczegółami.

A jednak... Czuję jakiś wewnętrzny przymus. Nazwijmy to, dla ratowania wolnej woli, zobowiązaniem wynikającym z posiadania półkul mózgowych, charakterystycznych dla naczelnych albo pragnieniem zaspokajania ciekawości (prowadzącym do różnorodnych skutków).

W każdym razie musiałem jeszcze jakiś czas pozostać na stacji dla zachowania pozorów.

Pociągnąłem następny łyk piwa.

Tak, potrzebowałem dalszych faktów dla zaspokojenia własnej ciekawości. Mogłem przecież rozejrzeć się wokół jeszcze trochę. Zdecydowałem, że tak zrobię.

Wyciągnąłem papierosa i właśnie gdy chciałem go zapalić, zauważyłem płomyk, otaczający moją lewą dłoń.

Przyglądałem się zafascynowany, jak pełzał wokół palców, które uniosłem, aby uchronić go przed wiatrem. Sprawiał wrażenie czystego jak światło gwiazd. Był płynny, jasny, z odrobiną koloru żółtego i błękitu. Chwilami ukazywał wiśniowe wnętrza, na wpół - ukryte, jakby to była jego dusza. Nagle usłyszałem muzykę...

Muzyka to najlepsze określenie, jakie potrafię znaleźć. Istniało pewne podobieństwo co do samej istoty, choć było to coś, czego nigdy dotąd nie doświadczyłem. Nie było to wrażenie w pełni słuchowe. Przyszło do mnie tak, jak przychodzi wspomnienie, bez zewnętrznego bodźca, bez udziału świadomości, która zmienia myśli we wspomnienia - jak we śnie.

Doznałem rosnącego uczucia euforii, zachwytu, zmieszanych razem i wciąż przybierających na intensywności.

Miałem wrażenie, jakby czas zatrzymał się w miejscu, jakbym znajdował się poza nim.

Co to było, czym zostało spowodowane - nie miałem najmniejszego pojęcia. Było na pewno intensywnym pięknem, piękną intensywnością, a ja stanowiłem jej część. Doświadczyłem czegoś, czego nikt przedtem nie doświadczył, czegoś kosmicznego, wspaniałego, wszechobecnego, a jednocześnie powszechnie ignorowanego.

Zwarłem palce, aby objął je płomień. Sam nie wiem, dlaczego tak zrobiłem. Poczułem ból, trans został gwałtownie przerwany.



Zerwałem się na równe nogi, gasząc zapalniczkę. Przez głowę przemknęło mi mnóstwo pytań. Odwróciłem się i pobiegłem przez tę sztuczną wysepkę, kierując się do ciemnego, niewielkiego zespołu budynków, mieszczącego muzeum, bibliotekę i biura.

Podczas biegu znów doznałem czegoś. Tym razem jednak było to coś groźnego, napawającego strachem. Zataczałem się biegnąc. Powierzchnia, po której biegłem, wyginała się. Ocean, gwiazdy, budynki - wszystko wokół przybliżało się i oddalało. Upadałem wiele razy, podnosiłem się i biegłem dalej. Wiem, że przez część drogi czołgałem się. Nie pomogło zamykanie oczu, nadal wszystko wypaczało się, zmieniało, pulsowało.

Do budynków było tylko kilkaset metrów, ale mnie wydawało się, że setki kilometrów. W końcu dotarłem do drzwi i wszedłem do środka. Przeszedłem przez drugie drzwi i znalazłem się w bibliotece. Wieki chyba minęły, zanim zdołałem zapalić światło, zataczając się, podszedłem do biurka, wyszarpnąłem z trudem szufladę i wyciągnąłem z niej śrubokręt. Z zaciśniętymi zębami dotarłem do terminalu sieci informacyjnej. Odkręciłem śrubokrętem boczną tablicę rozdzielczą. Upadła na podłogę z dźwiękiem, który podziałał na mnie jak kolce wbijane w czaszkę. Po trzech drobnych zmianach mogłem nadawać do Centrali. Zdecydowałem, że wyślę dwie najbardziej szkodliwe informacje, które znałem. Pewnego dnia wywołają one pytania, które może pozwolą zniszczyć to, co teraz próbowało zniszczyć mnie.

- O to właśnie chodzi - powiedziałem głośno.

Wstałem. Postanowiłem zapalić papierosa. Usłyszałem nagle, że ktoś otwiera drzwi.

Wszedł doktor Berthelme. Był niski, opalony, szpakowaty i żyłasty.

- Coś się stało, Jim?

- Nic - odparłem. - Nic.

- Widziałem, jak biegłeś i upadłeś.

- Postanowiłem sobie zrobić mały sprint i poślizgnąłem się. Nic mi nie jest.

- Skąd ten pośpiech?

- Nerwy. Jestem jeszcze ciągle zdenerwowany, rozstrojony. Musiałem biec albo zrobić cokolwiek, żeby się rozładować. Postanowiłem przebiec się i wziąć książkę. Taką, która by mnie szybko uspiła.

- Mogę dać ci środek uspokajający.

- Nie, to niepotrzebne, dziękuję.

- Co robiłeś przy terminalu. To wbrew przepisom.

- Odpadła boczna tablica rozdzielcza, gdy przechodziłem. - Machnąłem śrubokrętem. -

Te małe śruby dociskowe musiały się poluzować.

- Rozumiem.

Nachyliłem się i włożyłem śruby na miejsce. Gdy je dokręcałem, zadzwonił telefon. Barthelme podszedł do biurka, przełączył na linię wewnętrzną i podniósł słuchawkę.

Po chwili powiedział.

- Tak, chwileczkę. - Odwrócił się. - To do ciebie.

Wziąłem od niego słuchawkę.

- Halo! - powiedziałem.

- To ja - powiedział mój rozmówca. - Myślę, że powinniśmy porozmawiać. Możesz przyjść teraz do mnie?

- Gdzie jesteś?

- W domu.

- Dobrze, przyjdę. Odłożyłem słuchawkę.

- Już nie potrzebuję książki - stwierdziłem. - Wpadną na chwilę na Andros.

- Jest późno. Jesteś pewien, że dobrze się czujesz?

- Teraz czuję się dobrze. Przykro mi, że cię zaniepokoiłem.

Wyglądało, że się uspokoił. W każdym razie rozluźnił się i uśmiechnął blado.

- Może to ja powinienem wziąć coś na uspokojenie - powiedział. - Wszystko, co się tu stało... Rozumiesz, przestraszyłeś mnie.

- Co się stało, to się nie odstanie.

- Oczywiście masz rację... W każdym razie, dobrej nocy.

Skierował się do drzwi, a ja podążyłem za nim, gasząc po drodze światło.

Poszedł do siebie. Ja udałam się do portu i wszedłem na pokład „Izabelli” Chwilę później, już płynąc, zacząłem zastanawiać się nad tym, co się stało. Być może ciekawość ludzka w końcu okaże się sposobem na uporanie się z przeludnieniem.

Było to Pierwszego Maja. Siedziałem w barze „kapitan Tony” w Key West. Miałem miejsce blisko kominka. Popijałem dobre piwo. Wieczór dłużył mi się trochę. Gdy wszedł Don, było po jedenastej; myślałem już, że w ogóle nie przyjdzie. Rozejrzał się, nie zwracając na mnie uwagi, zajął wolne miejsce obok mnie i zamówił coś. Zespół rozrywkowy powrócił właśnie na scenę i rozpoczął głośnym kawałkiem. W zasięgu głosu siedziało zbyt wielu ludzi, więc na razie po prostu siedzieliśmy, czekając na sprzyjającą okazję.

Po dziesięciu, piętnastu minutach Don przeszedł do pomieszczenia obok. Po chwili wrócił i zatrzymał się przy mnie. Położył mi rękę na ramieniu.

- Bili! - powiedział. - Co tu robisz? Odwróciłem się i z uśmiechem spojrzałem na niego.

- Sam, witaj! Uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Tu jest zbyt dużo hałasu - stwierdził. - Chodźmy gdzie indziej.

- Dobry pomysł.

Po chwili znaleźliśmy się na plaży. Owiewał nas słony oddech oceanu.

Zatrzymaliśmy się. Zapaliłem papierosa.

- Czy wiesz, że prąd morski u wybrzeży Florydy przynosi rocznie ponad dwa miliony ton uranu? - zapytał Don.

- Prawdę mówiąc, nie.

- Mniejsza o tym. A co wiesz o delfinach?

- Są piękne, towarzyskie i tak dobrze przystosowane do środowiska, że nie dewastują go. Delfiny są bardzo inteligentne i chętne do współpracy. Są też pozbawione złośliwości. One...

- Starczy. Lubisz delfiny. Wiedziałem, że tak powiesz. Czasami ty też przypominasz delfina. Płyniesz zręcznie przez życie, nie zostawiając śladu i odnajdujesz dla mnie różne, cenne rzeczy.

- Pamiętaj, że zawsze jestem gotów ci pomóc. Skinał głowę.

- Warunki jak zwykle. Ten przypadek jest stosunkowo łatwy, sprawa typu „tak” lub „nie” Nie zajmie ci to dużo czasu. Zresztą, wypadek zdarzył się niedaleko stąd, kilka dni temu.

- O co chodzi?

- Chciałbym oczyścić delfiny z zarzutu zabójstwa.

Jeśli oczekiwał odpowiedzi, to rozczarował się. Usiłowałem przypomnieć sobie serwisy informacyjne z ostatniego tygodnia. Dwóch nurków zostało zabitych w jednym z podwodnych rezerwatów. Mniej więcej w tym samym czasie i miejscu zaobserwowano dziwne zachowanie delfinów. Ślady zębów i rany na ofiarach wskazywały prawdopodobnie na delfina butlonosego. Ten gatunek często odwiedzał rezerwaty, a nawet zamieszkiwał w nich. Rezerwat, w którym miał miejsce wypadek, został zamknięty do odwołania. O ile sobie przypominam, nie było świadków tragedii.

- Jedną z ofiar był wykwalifikowany przewodnik, doskonale znający teren, prawda? - spytałem.

- Tak, Michael Thorney. Potrafił orientować się nawet w świetle księżyca. Był pełnoetatowym pracownikiem Beltrane Processing. Dokonywał podwodnych napraw i konserwacji sprzętu na ich podwodnych fermach. Przedtem służył w marynarce wojennej. Płetwonurek. Wybitny fachowiec. Drugi to szczur lądowy, jego przyjaciel z Andros, Rudi

Myers. Wybrali się o dziwnej porze i byli pod wodą dość długo. Widziano potem kilka delfinów oddalających się szybko od tamtego miejsca. Przeplływały przez „ściany”, a nie jak zwykle przez śluzy. Działo się to błyskawicznie. Po kilku minutach chyba żaden delfin nie pozostał na obszarze rezerwatu. Odnaleziono ciała Marka i Rudiego.

- Jak ty wszedłeś w tę sprawę?

- Instytut Badań nad Delfinami stanowczo nie zgadza się ze złą opinią o obiekcie swoich badań. Ludzie z Instytutu utrzymują, że nie ma potwierdzonych przypadków nie spowodowanego ataku delfina na człowieka. Zależy im, aby nie uznano tego za taki właśnie przypadek.

- Nie prowadzą żadnych prac. Jedynie konserwują sprzęt.

- Czy wielu ich pracowników jest jednocześnie przewodnikami?

- Tylko kilku i w niepełnym wymiarze godzin.

- A co wiesz o tym człowieku z Andros, Rudim Myersie? Czym się przedtem zajmował?

- Był pielęgniarzem. Pracował w kilku domach dla starców. Kilka razy był oskarżony przez pacjentów o kradzież. Jedno oskarżenie uchylono, następne spowodowało wyrok z zawieszeniem. Został odsunięty od pracy za sprawą bojkotu swoich kolegów. Było to sześć czy siedem lat temu. Później zajmował się różnymi drobiazgami, ale nie popadł w konflikt z prawem. Pracował na tej wyspie przez ostatnie kilka lat w czymś w rodzaju baru.

- Co masz na myśli mówiąc: „w czymś w rodzaju baru”?

- Bar ma licencję na alkohol, ale sprzedaje również narkotyki.

- Jak się ta knajpa nazywa?

- „Chickcharny”.

- Co to znaczy?

- Element lokalnego folkloru. Chickcharny to miejscowy duch drzew; jest złośliwy.

Przypomina elfa.

- Czy Martha Millay, fotografik, mieszka na Andros?

- Tak.

- Jestem jej wielbicielem. Lubię zdjęcia podwodne, a jej zdjęcia są zawsze dobre.

Przecież ona napisała kilka książek o delfinach. Czy ktoś wpadł na pomysł, aby zasięgnąć jej opinii na temat tych zgonów?

- Była poza domem, na wyprawie.

- Mam nadzieję, że szybko wróci. Chciałbym się z nią spotkać.

- I co, bierzesz tę sprawę?

- Tak, potrzebuję pieniędzy. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął grubą kopertę. Wręczył mi ją.

- Tu masz odbitki wszystkiego, co zdobyliśmy na ten temat. Nie muszę dodawać, że...

- Nie musisz - przerwałem mu. Schowałem kopertę.

- Do zobaczenia.

- Już idziesz?

- Mam dużo pracy.

- Powodzenia.

Stacja I była jakby centrum układu nerwowego całego obszaru, większa od innych stacji uzyskiwania uranu z wody. Znajdowały się tu terenowe biura, apteka, budynki mieszkalne, kilka lokali rozrywkowych.

Stacja była sztuczną wysepką o średnicy około dwustu metrów. Kontrolowano i konserwowano z niej sprzęt w pozostałych ośmiu ośrodkach. Widoczna była z Andros, największej z Wysp Bahama.

Zapoznałem się ze stacją i z jej personelem. Do moich obowiązków należały rutynowa kontrola i naprawa sprzętu. Czasem służyłem jako złota rączka. Poznałem dyrektora strefy, drą Leonarda Barthelme'a. Gdy przybyłem, oprowadził mnie i wszystko pokazał.

Był sympatycznym, drobnym facetem w średnim wieku. Wdowcem. Oprawiał wrażenie, że lubi mówić o swej pracy. Mieszkał na stacji od prawie pięciu lat.

Jedną z pierwszych osób, którym mnie przedstawił, był Frank Cashel. Spotkaliśmy go w głównym laboratorium. Jadł właśnie kanapkę i czekał na zakończenie jednego z testów.

Frank przełknął kęs,- uśmiechnął się i ucisnął mi rękę, gdy Barthelme przedstawił mnie.

- To jest James Madison, nowy pracownik.

Cashel miał ciemne, miejscami siwiejące włosy. Kilka zmarszczek podkreślało linię jego szczęki i kości policzkowych.

- Miło cię poznać - powiedział. - Zwracaj uwagę na ładne kamienie i podrzucaj mi co jakiś czas kawałek koralowca. Będzie nam się dobrze współpracować.

- Zbieranie minerałów to hobby Franka - wyjaśnił Barthelme. - Wystawa w muzeum to wszystko jego eksponaty. Zaraz tam pójdziemy i będzie mógł pan je obejrzeć. Są wśród nich całkiem interesujące okazy.

Skinąłem głową.

- Będę pamiętał. Zobaczymy, co uda mi się znaleźć.

- Znasz się na tym? - spytał Frank.

- Trochę, kiedyś także zbierałem namiętnie minerały.

- Byłbym ci bardzo wdzięczny.

Gdy ruszyliśmy dalej, Barthelme powiedział:

- Frank dorabia sobie, sprzedając kamienie na wystawach.

- Tak?

- Jeżeli będzie pan mu je często dostarczał, niech pan jasno postawi sprawę i żąda pieniędzy.

- Dziękuję za radę.

- Niech pan mnie źle nie zrozumie. To porządny facet, tylko trochę roztargniony.

- Jak długo tu pracuje?

- Dwa lata. Jest geofizykiem; to solidny pracownik.

Zatrzymaliśmy się przy magazynie na sprzęt. Tam poznałem Andy'ego Deemsa i Paula Cartera. Andy był szczupły, twarz jego sprawiała wrażenie ponurej z powodu blizn na lewym policzku. Obfita broda nie była w stanie tego ukryć. Paul był wysoki, jasnowłosej. Właśnie czyścił jakieś zbiorniki. Wytarli ręce i przywitani się ze mną. To co robili, wchodziło także w zakres moich obowiązków. Normalna ekipa składała się z czterech ludzi pracujących parami. Czwarty facet, Paul Yallons, był teraz gdzie indziej. Wspólnie z Ronaldem Daviesem, opiekującym się łodziami, wymieniali akurat zestaw instrumentów w boi pobierającej próbki. Dowiedzieliśmy się, że Paul był partnerem Mike'a. Byli przyjaciółmi od czasu służby w marynarce wojennej. Miałem pracować właśnie z nim.

- Wkrótce ty też będziesz w tym pożałowania godnym stanie. Ciesz się tym porankiem i korzystaj z życia - stwierdził Carter.

- Jesteś w pożałowania godnym stanie, bo strasznie się pocisz - dociął mu Deems.

- Powiedz to moim gruczołom.

Gdy przemierzaliśmy wysepkę, Barthelme zdradził mi, że Deems jest najbardziej uzdolnionym fachowcem w dziedzinie sprzętu podwodnego, jakiego kiedykolwiek spotkał. Deems mieszkał przez pewien czas w podwodnych miastach. Po stracie żony i córki podczas drugiej próby typu „Rumoko” przeniósł się na powierzchnię i pozostał na niej już na stałe. Carter przybył kilka miesięcy temu z Zachodniego Wybrzeża. Był tuż po rozwodzie, czy może w separacji, ale nic o tym nie mówił. Został zwerbowany na Zachodnim Wybrzeżu przez Barthelme'a i ściągnięty tutaj.

Przeszliśmy przez chwilowo puste laboratorium i dzięki temu mogłem podziwiać w całej okazałości wielką, oświetloną mapę morza wokół Andros. Świeące punkty określały rozmieszczenie i stan urzędów, podtrzymujących barierę dźwiękową wokół rezerwatów i

stacji.

Zauważyłem, że jesteśmy wraz z najbliższym rezerwatem włączeni do tego samego rejonu.

- W którym rezerwacie miał miejsce wypadek? Barthelme przyjrzał mi się uważnie, po czym wskazał na mapie nasz rejon.

- W północno-wschodniej części. Słyszał pan o tym?

- Tylko z codziennych biuletynów. Czy odkryto coś nowego?

- Nic.

- A może były luki w barierze?

- Od dłuższego czasu nie zanotowano żadnych awarii sprzętu.

- Czy pan myśli, że to delfin? - zapytałem. Wzruszył ramionami.

- Jestem technikiem, a nie badaczem delfinów, jednak ze wszystkiego, co czytałem, wynika, że różne delfiny bywają. Można założyć, że przeciętny osobnik jest nastawiony pokojowo i posiada inteligencję zbliżoną do ludzkiej. Zapewne wśród nich, podobnie jak i wśród ludzi, występuje podobny rozkład: większość jest przeciętna, na jednym końcu niewielka ilość głupców, a na drugim niewielka liczba geniuszy. Być może zrobił to niedorozwinięty umysłowo delfin, który nie odpowiada za swoje czyny. Albo delfin Roskolnikow. Prawie wszystko, co wiemy o delfinach, dotyczy osobników przeciętnych. Biorąc pod uwagę, że badania prowadzimy od niedawna, jest to normalne. Co jednak wiemy o odchyleniach psychicznych u delfinów? Właściwie nic. - Znow wzruszył ramionami. - Myślę więc, że to jest możliwe.

„Czy delfiny czują się fatalnie, mają poczucie winy z powodu tego, co uczyniły?”  
"Zepchnąłem natychmiast tę myśl do podświadomości.

- Mam nadzieję, że nie niepokoi się pan zbyt - kontynuował. - Musi pan pamiętać, że zdarzyło się to dość daleko stąd, w rezerwacie. Nie ma tam naszych urządzeń, więc nie będzie pan zmuszony nawet zbliżyć się do miejsca wypadku. Poza tym zapewniliśmy naszym pracownikom maksymalne bezpieczeństwo: miejsca pracy nurków badane są sonarem, umieściliśmy nawet dla nurków klatki chroniące przed rekinami. Każdy z nich otrzymał broń. Zamknęliśmy wszystkie przejścia w barierze. To powinno skutecznie odstraszyć agresywnego delfina albo rekina.

Przytaknąłem.

- To dobrze, czuję się znacznie spokojniejszy - powiedziałem, gdy zbliżaliśmy się do jakiegoś zespołu budynków.

- Później jeszcze o tym porozmawiamy - dodał. - To są biura. Teraz powinny być

puste.

Otworzył drzwi. Ujrzałem biurka, szafki, krzesła, maszyny biurowe - nic specjalnego.

Poszliśmy do następnego budynku.

- To jest nasze muzeum - powiedział. - Sam Baltrane postanowił otworzyć je dla gości. Pełno tu morskich eksponatów oraz kilka modeli używanego przez nas sprzętu.

Przy drzwiach umieszczono makietę stacji. Widoczne były wszystkie jej podwodne urządzenia. Za makieta, na półkach znajdowały się ważniejsze jej części w większej skali, do których dołączono kilkunastu opisy. Były tam również średniowieczne przedmioty: dwie latarnie, kilka sprzączek od pasów, parę monet. Pochodziły z liczącego setki lat statku, który spoczywał na dnie niedaleko stacji. Zainteresowały mnie różnych rozmiarów szkielety ryb, od najmniejszych do największych. Postanowiłem przy najbliższej okazji porównać dokładnie szczęki delfina i rekina.

Na wydzielonym miejscu widniała cała seria minerałów Franka Cashela. Okazy były starannie przymocowane i opisane, od szkieletów ryb oddzielała je szyba. Nad minerałami wisiała trochę niezręczna, ale mimo to interesująca akwarela zatytułowana „Miami Skyline” i podpisana jego nazwiskiem.

- To Frank maluje? Nieźle.

- Nie, jego żona, Linda. Zaraz do niej pójdziemy - odparł dyrektor. - Powinna być obok. Prowadzi bibliotekę i zajmuje się całą naszą pracą biurową.

Przeszliśmy do następnego pomieszczenia, do biblioteki. Linda Cashel siedziała za biurkiem i coś pisała. Wyglądała na dwadzieścia kilka lat. Miała długie, jasne włosy, spięte ozdobną spinką, niebieskie oczy i lekko zadarty nos.

- Biblioteka jest do pańskiej dyspozycji - powiedziała po chwili.

Rozejrzałem się wokół.

- Mamy kopie dawnych wydawnictw naukowych. W ciągu doby mogę dostarczyć odbitki prac, których nie posiadamy. Tu mamy literaturę poważną, a tam rzeczy lżejsze. - Wskazała na półki przy oknie. - Tu są kasety z nagraniem głosami zwierząt morskich. Robimy te nagrania dla Narodowej Fundacji Nauki. Tam z kolei mamy nagrania muzyczne. Wszystko jest skatalogowane. Jeśli będzie pan sam coś pożyczał, bardzo proszę wpisać tu numer pozycji, swoje nazwisko i datę. - Wskazała rejestr leżący na biurku. - Jeśli będzie pan chciał trzymać coś dłużej niż tydzień, proszę mi o tym powiedzieć. Gdyby potrzebna była panu pinceta, w dolnej szufladzie jest skrzyneczka z narzędziami. Proszę tylko odłożyć ją na miejsce. To chyba wszystko. Czy ma pan jakieś pytanie?

- Dużo pani maluje?



- Och, widział pan mój obraz! Obawiam się, że to jest jedyne muzeum, w którym będzie znajdował się jakiś mój obraz. Teraz nic nie maluję. Wiem, że nie jestem dobra.

- Podoba mi się pani obraz. Skrzywiła usta.

- Gdy będę starsza i mądrzejsza oraz w innym miejscu, może znowu spróbuję. Nie chcę więcej malować wody i wybrzeży.

Wyszliśmy. Barthelme dał mi resztę przedpołudnia na zagospodarowanie mego domku, w którym mieszkał poprzednio Michael Thorney. Zająłem się tym.

Po lunchu dołączyłem do Deemsa i Cartera w magazynie na sprzęt. We trójkę szybko uporaliliśmy się z pracą. Ponieważ do obiadu było jeszcze trochę czasu, popłynęliśmy do zatopionego statku.

Wrak okrętu sprawiał tajemnicze wrażenie w świetle naszych latarek. Złamany maszt, kawałki pokładu, część burty - to wszystko, co pozostało z czyichś nadziei na udaną podróż. Ich ostatnim przeżyciem była zapewne burza lub błysk miecza, a potem już tylko nagły chłód.

Obiad zjedliśmy w knajpie na Andros. Siedzieliśmy potem pałac i rozmawiając. Nie spotkałem dotąd Paula Yallonsa, z którym miałem od jutra pracować. Zapytałem o niego Deemsa.

- Wielki chłop - odpowiedział. - Twojego wzrostu, dość przystojny. Trochę zamknięty w sobie. Dobrze nurkuje. On i Mikę włączyli się po Karaibach w każdy weekend. Założę się, że ma dziewczynę na każdej wyspie.

- Jak on sobie z tym wszystkim radzi?

- Bardzo dobrze, jestem tego pewien. Jak już mówiłem, jest trochę zamknięty, nie okazuje zbyt dużo uczuć. Mikę był jego starym przyjacielem.

- Jak sądzisz, co dopadło Mike'a? Wtrącił się Carter.

- Jeden z tych cholernych delfinów. Nie powinniśmy zaczynać z nimi tej zabawy. Kiedyś jeden z nich podplynał do mnie od dołu i o mało mnie nie wypatroszył.

- One lubią się bawić - powiedział Deems. - Nie zamierzał ci zrobić krzywdy.

- Myślę, że zamierzał. Ta ich gładka skóra przypomina mokry balon. Wstrętne!

- Jesteś uprzedzony. Delfiny są przyjazne jak szczeniaki. Masz pewnie jakieś seksualne kompleksy.

- Gówno! One...

Czułem się w obowiązku zmienić temat, gdyż sam go poruszyłem. Zapytałem, czy to prawda, że Martha Millay mieszka w pobliżu.

- Tak - odpowiedział Deems. - Jej dom jest około sześciu kilometrów stąd, idąc wzdłuż brzegu. Bardzo przytulny, choć oglądałem go tylko z morza. Ma też własny mały

port, ślizgacz, dużą łódź motorową i kilka mniejszych.

- Podziwiam jej prace. Chciałbym ją spotkać. Potrząsnął głową.

- Założę się, że nie spotkasz. Ona stroni od ludzi. Nawet numer jej telefonu jest zastrzeżony.

- Szkoda. Dlaczego tak postępuje?

- No...

- Jest kaleką - powiedział Carter. - Spotkałem ją kiedyś na morzu. Jej łódź stała na kotwicy, a ja wracałem do stacji. Wtedy jeszcze o niej nie wiedziałem, więc podpłynąłem, aby przywitać się. Robiła zdjęcia przez szklane dno łodzi. Gdy mnie zobaczyła, zaczęła krzyczeć, żebym odpłynął, bo straszę ryby. Chwyciła płachtę brezentu i owinęła wokół nóg, ale zdążyłem co nieco zobaczyć. Od talii w górę jest normalnie wyglądającą kobietą, ale jej biodra i nogi są okropnie zdeformowane. Było mi przykro, że wprawilem ją w zakłopotanie. Sam też byłem zmieszany i nie wiedziałem, co powiedzieć. Przeprosiłem i popłynąłem dalej.

- Słyszałem, że nie może chodzić - powiedział Deems. - Uważana jest jednak za świetną pływaczkę. Nigdy jej nie widziałem.

- Miała jakiś wypadek?

- Nie sądzę. Jej matka jest Japonką, przeżyła Hiroszimę. To chyba skutki zaburzeń genetycznych.

- Smutne.

- Tak, to prawda.

Wyruszyliśmy w drogę powrotną. Później przez dłuższy czas przed zaśnięciem rozmyślałem o delfinach, zatopionych okrętach, ludziach, którzy na nich utonęli, kalekach i Gofsztromie, którego szum dochodził do mnie przez otwarte okno. W końcu szum ten wchłonął mnie i razem odpłynęliśmy w ciemność.

Paul Yallons był taki, jak opisał go Deems mniej więcej mojego wzrostu, przystojny. Rzeczywiście nie należał do rozmownych, ale nie czułem się skrepowany w jego towarzystwie. Trudno mi było stwierdzić, czy był wspaniałym nurkiem, gdyż pracowaliśmy na razie na brzegu. Nie chciałem pytać Paula ani o jego zmarłego kolegę, ani o delfiny. To ograniczyło nasze rozmowy do zdawkowych uwag dotyczących naszej pracy.

Po lunchu, gdy ułożyłem sobie plan na cały dzień, spytałem Paula o drogę do „Chickcharny”.

Opuścił klapę, którą właśnie czyścił i spojrzał na mnie.

- Dlaczego chcesz iść do tej spelunki?

- Słyszałem o niej i chciałbym ją obejrzeć - odpowiedziałem.

- Sprzedają tam narkotyki bez zezwolenia. Jeśli to lubisz, mogą dać ci jakieś świństwo spreparowane w szopie przez wiejskiego durnia.

- Więc poprzestanę na piwie; mimo wszystko chciałbym tam pójść.

Wzruszył ramionami.

- Rób, jak chcesz.

Wytrzeł ręce, zerwał nieaktualną kartkę ze ściennego kalendarza i naszkicował mi drogę. Okazało się, że bar był niedaleko miejsca, gdzie jedliśmy wczoraj obiad na Andros, przy ujściu strumienia.

Dzień pracy znów skończył się wcześniej, gdyż szybko uporaliśmy się z naszą robotą. Po wzięciu prysznic i przebraniu się, poszedłem na poszukiwanie lekkiej łódki.

Ronald Davies, wysoki facet z rzadkimi włosami i akcentem z Nowej Anglii pozwolił mi wziąć ślizgacz o nazwie „Izabella” Ponarzekał na swój artretyzm i życzył mi dobrej zabawy. Skierowałem łódź w stronę Andros.

Nie wiedziałem, czego poszukuję. Brakowało mi punktu zaczepienia. Postanowiłem więc zebrać w jak najkrótszym czasie jak najwięcej faktów. W niejasnej sytuacji szybkość działania jest istotna.

Andros rosła przede mną. Ustaliłem położenie na podstawie miejsca, gdzie wczoraj zjedliśmy obiad, a potem zacząłem szukać ujścia strumienia opisanego przez Yallonsa. Po dziesięciu minutach znalazłem je. Płynąc w górę koryta, dotarłem wreszcie do baru.

Podpłynąłem do pomostu, gdzie cumowało już kilka łodzi. Przywiązałem „Izabellę” i rozejrzałem się. Budynek baru był drewniany i tak połatany, że chyba nic nie zostało z pierwotnego materiału. Na budynku wisiał wyblakły szyld z napisem „CHICKCHARNY”.

Wszedłem do środka. Gruby barman, którego zarost wymagał już od kilku dni brzytwy, odłożył gazetę i zapytał:

- Co podać?

- Piwo i coś do jedzenia.

- Moment.

Podszedł do małej lodówki i zajrzał do środka.

- Może być kanapka z pastą rybną?

- Może.

- Cieszę się, bo tylko to zostało. Zrobił kanapkę, podał mi i postawił przede mną piwo.

- Pan przypłynął tą łodzią?

- Owszem.

- Urlop?

- Nie, zacząłem właśnie pracę na Stacji I.

- Jest pan nurkiem?

- Tak. Westchnął.

- W miejsce Mike'a Thornleya, co? Biedny facet.

- Tak, słyszałem o tym. Paskudna sprawa.

- Często tu wpadał.

- O tym też słyszałem. Podobno jego kumpel pracował tu. Skinął głową.

- Rudi... Rudi Myers. Pracował tu przez kilka lat.

- Byli przyjaciółmi?

- Nie bardzo. Po prostu znali się. Myers trzymał się na uboczu, rozumie pan. - Spojrzał na kotarę.

- Czy Mike i Rudi często pływali razem?

- Nie, to był jedyny raz. Boi się pan?

- Gdy podejmowałem pracę, nikt nie uprzedził mnie, że mogę być pożarty. Czy Mike wspominał o dziwnym zachowaniu delfinów lub o czymś podobnym?

- Nie przypominam sobie.

- Czy Rudi lubił wodę?

Przyjrzał mi się badawczo, marszcząc brwi.

- Dlaczego pan pyta?

- Dręczy mnie to. Jeśli znalazł coś niebezpiecznego, to chciałbym o tym wiedzieć.

- Nie, nie interesowała go.

- Więc dlaczego popłynął? Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia.

Przeczuwałem, że następne pytanie popsułoby całkowicie naszą sympatyczną rozmowę. Zapłaciłem więc i wyszedłem.

Popłynąłem do Marthy Millay. Miałem nadzieję, że wróciła już z wyprawy, o której mówił Don. W najgorszym wypadku powie mi, żebym się wynosił. Mogłem dowiedzieć się jednak od niej mnóstwo interesujących rzeczy. Znała przecież rezerwat i delfiny.

Siedziała na molo. Zobaczyła moją łódź i zanim się spostrzegłem, zniknęła, chwytając coś w pośpiechu. Jej dom stał na samym skraju wysokiego brzegu. Można się było do niego dostać po skomplikowanej konstrukcji, na której wspierało się molo. Cały czas zastanawiałem się, czy ujrzę ją zaraz z bosakiem w rękę, gotową do odpędzenia intruza.

Nie stało się tak, więc wspiałem się na górę, na molo. Kończyła właśnie poprawiać

długą, jaskrawą suknię, po którą prawdopodobnie przed chwilą sięgnęła. Ujrzałem długie, bardzo ciemne włosy i równie ciemne oczy. Miała twarz o wyraźnych akcentach orientalnych. Spodobała mi się. Nagle poczułem się niezręcznie, napotykając jej wzrok.

- Nazywam się Madison, John Madison. Pracuję na Stacji I. Jestem tu nowy. Czy mogłaby pani poświęcić mi trochę czasu?

- Proszę! - Uśmiechnęła się. - Niech pan wejdzie.

Nie spuszczała ze mnie wzroku. Onieśmielała mnie. Myślałem, że wraz z zakończeniem okresu dojrzewania wygasło we mnie to uczucie.

- Aby dokończyć prezentacji: jestem Martha Millay.

- Podziwiam pani pracę, ale jest to tylko jeden z powodów mojej wizyty. Miałem nadzieję, że dowiem się od pani czegoś, co uczyni moją pracę bezpieczną.

- Chodzi panu o ten nieszczęśliwy wypadek?

- Tak, a dokładniej o pani opinię o nim.

- Dobrze, usłyszy ją pan. Byłam na Martynice, gdy się to stało, więc moje informacje pochodzą jedynie z dzienników i z jednej rozmowy telefonicznej z przyjacielem z Instytutu Badań nad Delfinami. Na podstawie wieloletnich kontaktów z delfinami, fotografowania ich, zabawy z nimi, nie wierzę w możliwość zabicia człowieka przez delfina. Z moich doświadczeń wynika coś wprost przeciwnego. Z nieznanых powodów, być może ze względu na szczególny stosunek delfinów do innych istot inteligentnych, jesteśmy dla nich niezwykle cenni. Uważam, że delfin prędzej sam by zginął, niż dopuścił do śmierci człowieka.

- Więc wyklucza pani nawet, że mogły to zrobić w samoobronie?

- Tak sądzę, choć nie mam dowodów na to. Poza tym, co jest chyba dla pana bardziej istotne, delfin nie zabija w ten sposób.

- To znaczy?

- One nie używają zębów w sposób, na jaki wskazują ślady na zwłokach. Pysk, czy dziób, zawiera sto zębów, z czego osiemdziesiąt osiem znajduje się w szczęce dolnej. Walcząc na przykład z wielorybem czy rekinem, delfin nie gryzie. Jego dolna szczęka jest znacznie wysunięta do przodu, i używa jej jako tarana. Przednia część czaszki jest gruba, a sama czaszka dostatecznie mocna, aby wytrzymać potężne wstrząsy przy zadawaniu tego typu ciosów. Uderzenia są potężne, gdyż mięśnie szyjne delfina są niezwykle silne. Takie ciosy potrafią zabić rekina. Tak więc nawet gdyby delfin zaatakował człowieka, nie gryzłby ofiary, lecz raczej zatłukłby ją.

- Dlaczego więc ktoś z Instytutu nie wyjaśnił tego publicznie? Westchnęła.

- Robiono to, ale mass media nie opublikowały nawet przekazywanych krótkich

oświadczeń. Nie uważano tej sprawy za wystarczająco ważną.

Przestała wreszcie patrzeć na mnie i skierowała wzrok na morze.

- Uważam, że nieliczenie się ze szkodą, wynikłą z publikowania tylko jednej wersji, jest gorsze niż rzeczywista zła wola.

Uwolniony na chwilę od jej spojrzenia, usiadłem na brzegu mola, zwieszając nogi. Stanie i spoglądanie na nią z góry jeszcze bardziej zbijało mnie z tropu. Spoglądaliśmy teraz razem na jej port.

- Papierosa? - zapytałem.

- Nie palę.

- Nie będzie pani przeszkadzało, gdy ja zapalę?

- Bardzo proszę. Zapaliłem.

- Jak pani sądzi, jak to się stało?

- To mógł być rekin.

- Przez całe lata nie było tu rekinów. Ściany... Rozeźmiała się.

- Jest wiele sposobów, na które rekin może wpłynąć do rezerwatu. Obsunięcie się dna, otwarcie się tunelu lub szczeliny, krótkie i nie zauważone zwarcie w generatorze osłony albo dłuższe, połączone z awarią systemu kontrolnego. Częstotliwości używane do tworzenia ściany są uważane za szczególnie nieprzyjemne dla wielu istot morskich, ale nie są zabójcze. Rekin mógł zostać zmuszony do przejścia ściany, a potem nie potrafił się wydostać.

- To jest myśl. Dziękuję pani.

- Powinien być pan raczej rozczarowany.

- Dlaczego?

- Staralam się jedynie bronić delfinów i uzasadnić możliwość przebywania rekina w rezerwacie. Pan oczekiwał czegoś, co pozwoli panu czuć się bezpieczniej przy nurkowaniu.

Znów poczułem się niezręcznie. Nagle doznałem irracjonalnego wrażenia, że ona wie o mnie wszystko i tylko bawi się teraz mną.

- Pan powiedział, że zna moje prace - powiedziała nagle. - Czy dotyczy to również moich dwóch albumów fotograficznych o delfinach?

- Tak, znam je i również mi się podobają.

- Być może książki te są zbyt dziwaczne. Już dawno nie zaglądałam do nich.

- Uważam, że krótkie aforyzmy, trochę w duchu zeń, były wspaniale dobrane do zdjęć.

- A czy pamięta pan któryś?

- Tak - odpowiedziałem, przypominając sobie nagle jeden z nich. - Pamiętam zdjęcia skaczącego delfina, na którym udało się pani uchwycić jego cień, i podpis: „Pod nieobecność

refleksji jacy bogowie..."

Zaśmiała się.

- Przez dłuższy czas sądziłam, że ten tekst jest trochę na wyrost. Z czasem, gdy poznałam lepiej delfiny, zmieniłam zdanie.

- Często zastanawiałem się, jaką formę religii mogą posiadać delfiny. Religia występuje u wszystkich ludów pierwotnych. Wydaje się, że jest to ogólna prawidłowość. Gdy gatunek osiąga odpowiedni poziom inteligencji, religia jest mu potrzebna do wytłumaczenia tego wszystkiego, co jeszcze niezrozumiałe. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie form, jakie może przyjmować religia u delfinów. Pani twierdzi, że ma jakieś koncepcje na ten temat?

- Dużo myślałam, obserwując delfiny i starając się określić ich charakter. Czy zna pan prace Jhana Huizingi?

- Niezbyt dobrze. Minęło wiele lat, odkąd czytałem „Homo ludens” Odniosłem wrażenie, że jest to pobieźny szkic czegoś, czego nigdy nie ukończył. Ale przypominam sobie główną tezę tej książki. Kulturę uważa Huizinga za rodzaj sublimacji instynktu zabawy, elementów świątecznych obrzędów i świątecznego współzawodnictwa, trwających w rozwijających się ramach instytucjonalnych. Uznaje, że pozostaje ona zawsze obecna na pewnym poziomie świadomości. W jego analizie zabrakło jednak czasów współczesnych.

- Tak - powiedziała - instynkt zabawy. Gdy oglądałam zabawy delfinów, często wydawało mi się, że tak dobrze przystosowane do środowiska istoty jak delfiny nie potrzebowały wytwarzać skomplikowanej struktury społecznej, więc ich odpowiednik kultury jest o wiele bliższy wczesnym sytuacjom, rozważanym przez Huizingę. Życie wypełnione oddawaniem się radosnym zabawom.

- Religia, której fundamentem jest zabawa?

- Nie aż tak, ale sądzę, że coś w tym jest. Trudność leży w języku. Huizinga używa łacińskiego terminu „ludus”. Język grecki miał wiele określeń form spędzania czasu, nie tylko zabawowych. Łacina objęła je wszystkie słowem „ludus” Delfiny inaczej niż my odróżniają zabawę od powagi, podobnie inaczej niż my czynili to Grecy. Ponieważ bardzo szeroko rozumiemy łacińskie „ludus”, mamy lepsze pole do interpretacji i hipotez.

- I tą drogą wydedukowała pani religię u delfinów?

- Oczywiście, że nie. Zresztą, to są tylko przypuszczenia. Pan nie ma żadnych?

- Gdybym miał zgadywać, wybrałbym jakąś formę panteizmu. Być może coś przypominającego mniej kontemplacyjne formy buddyzmu.

- Dlaczego „mniej kontemplacyjne”?

- Ze względu na ogromną aktywność delfinów. Chyba nawet nie śpiąją. Muszą

wynurzać się regularnie dla zaczerpnięcia powietrza. Stale są w ruchu. Nie mogłyby biernie unosić się pod korałem, będącym rodzajem „drzewa prawdy”

- Jak czułby się pan, gdyby pozbawiono pana na stałe snu?

- Trudno mi to sobie wyobrazić. Po pewnym czasie stałoby się to bardzo uciążliwe, chyba że...

- Chyba że co?

- Chyba że zapadałbym periodycznie w sen na jawie.

- Myślę, że tak może być w przypadku delfinów, choć z ich pojemnością mózgu nie musi to być zjawiskiem periodycznym.

- Nie bardzo nadążam.

- Mogą spać w czasie pełnej aktywności.

- Myśli pani, że bez przerwy są częściowo w stanie snu?

- Tak, my także robimy coś podobnego. Gdy zajmujemy się codziennymi sprawami, nie myślimy tylko o nich - zawsze w tle występują inne myśli, drobny szum myślowy. Uczymy się wyciszać go i nazywamy to koncentracją. Jest to w pewnym sensie umiejętność powstrzymywania się od snu. Delfiny śpią na jawie, ale ich sny są inne niż nasze.

Nasze są obrazami, gdyż żyjemy, posługując się przede wszystkim wzrokiem. Delfiny natomiast...

- ... słuchem. Zakładając, że istotnie delfiny śpią na jawie i opierając się na ich strukturze neuropsychicznej, możemy przyjąć, że pluskają się, śniąc dźwięki.

- Mniej więcej. Czyż takiemu sposobowi istnienia nie można nadać miana „ludus”?

- Nie potrafię odpowiedzieć,

- Jedną z form „ludus”, którą Grecy nazywali „diagoge” były rozrywki umysłowe. Do tej kategorii zaliczano muzykę. Arystoteles w swojej „Polityce” rozważa korzyści płynące ze słuchania jej. Dochodzi do wniosku, że muzyka prowadzi do cnoty - tak jak ją rozumieli Grecy - czyni ciało zdrowym, pozwala cieszyć się życiem, godzi wreszcie ze światem. Czy akustycznemu śnieniu na jawie jako dźwiękowej formie „ludus” można przypisać takie same efekty? Skłonna byłabym „diagoge” delfinów nadać znaczenie religijne. Dźwięki przez nie wydawane wyrażałyby tego typu doświadczenia.

- Ja brałbym je raczej za fizjologiczną bądź psychiczną konieczność, a dopiero później - jak pani sugeruje - za formę zabawy, czyli „ludus”. Nie ma możliwości, by stwierdzić, czy taka aktywność dźwiękowa jest rzeczywiście wyrazem religii. Nie rozumiemy nawet mowy delfinów, a co dopiero ich samych.

- Ma pan rację. To są tylko moje osobiste odczucia. Nie potrafiłabym ich udowodnić.



Niech pan jednak czasem przyjrzy się zabawie i posłucha ich dźwięków. Proszę pomyśleć wtedy o tym, o czym mówiłam.

Wracając do Stacji I, poczułem, że jestem w odpowiednim nastroju, aby zajrzeć do biblioteki i wypożyczyć coś o delfinach.

Biblioteka była oświetlona, lecz nikt w niej nie przebywał. Znalazłem w katalogu kilka nieznanymi mi książek. Wybrałem dwie. Zdjąłem je z półek i poszedłem wpisać ich numery do rejestru.

Zauważyłem, że Mikę Thorney wypożyczył coś z biblioteki w przeddzień swojej śmierci. Przy nazwisku zapisane były trzy pozycje: dwie książki i taśma magnetofonowa. Książki okazały się literaturą rozrywkową. Taśma zaś zawierała dźwięki wydawane przez orki...

Nawet moja bardzo pobieżna znajomość tematu wystarczyła, aby mieć pewność. Sprawdziłem jeszcze w jednej z wybranych przez siebie książek. Orka jest najgroźniejszym wrogiem delfinów. Morskie Centrum Podwodne w San Diego prowadziło eksperymenty z użyciem nagranych dźwięków wydawanych przez orki w celu znalezienia metody odstraszenia delfinów od sieci na tuńczyki, do których często wpadały i ginęły.

To właśnie taśma spowodowała nienormalne zachowanie delfinów w rezerwacie. Ale do czego Thorney chciał ją wykorzystać?

Zrobiłem to, co zwykle robię, gdy mam problem: siadłem i zapaliłem papierosa.

Sprawa się skomplikowała. Zacząłem zastanawiać się nad tym, co powiedziała Martha Milley. Delfiny nie rozrywają i nie gryzą ofiar. Mają jednak liczne i ostre zęby. Postanowiłem dokładnie przyjrzeć się szkieletom delfina.

Zgasiłem papierosa, wstałem i przeszedłem do muzeum. Gdy zamierzałem włączyć światło, usłyszałem, że ktoś otwiera drzwi po przeciwnej stronie sali.

Odwracając się ujrzałem Linde Cashel. Na mój widok zamarła i stłumiła krzyk.

- To ja, Madison - powiedziałem. - Przykro mi, że panią przestraszyłem. Usiłuję włączyć światło.

Mineło kilka sekund.

- Och, kontakt jest na dole, za ekspozycją! Pokażę panu.

Podeszła do drzwi i zaczęła po omacku go szukać. Zabłysło światło, a ona zaśmiała się nerwowo.

- Zaskoczył mnie pan. Pracowałam po godzinach w muzeum, co zdarza mi się rzadko, ale miałam zaległości. Wyszłam na chwilę odetchnąć świeżym powietrzem i nie zauważyłam, jak pan wszedł.

- Wziąłem sobie dwie książki.
- Z przyjemnością wpiszę je panu do rejestru.
- Już to zrobiłem. Na razie zostawiłem książki w bibliotece. Chciałem jeszcze raz rzucić okiem na wystawę, zanim wyjdę.
- Miałam już zamykać, ale jeśli chce pan zostać jeszcze chwilę, to proszę.
- Co pani musi zrobić przed zamknięciem?
- Tylko zgasić światło i pozamykać okna.
- W takim razie ja to zrobię. Jeszcze raz przepraszam.
- W porządku, nic się nie stało.

Od razu rzuciło mi się w oczy, że od czasu mojej ostatniej wizyty w muzeum nie były w nim prowadzone żadne prace. Zastanowiło mnie, dlaczego kłamała. Zacząłem coś podejrzewać.

Zająłem się szkieletem delfina.

Dolna szczeka ze zgrabnymi, kształtnymi zębami zafascynowała mnie. Jej wygląd był niewątpliwie interesujący, lecz najbardziej interesujące było to, że druciki, które podtrzymywały zęby, były zupełnie nowe, bez śladu rdzy, jakby dopiero co się tam znalazły - w przeciwieństwie do drucików w innych miejscach szkieletu. Wielkość zębów była odpowiednia. Idealnie nadawały się na lekką broń.

Po powrocie do domu położyłem książki na stoliku przy łóżku i zapaliłem nocną lampkę. Następnie wyszedłem tylnymi drzwiami. Jeśli inni mogli wychodzić zaczerpnąć świeżego powietrza, to i ja miałem do tego prawo.

Znalazłem wreszcie odpowiednie miejsce - małą ławkę niedaleko apteki. Usadowiłem się na tej ławeczce i, pozostając niewidoczny, mogłem dokładnie obserwować kompleks budynków, który przed chwilą opuściłem.

Po pewnym czasie zacząłem podejrzewać, że pomyliłem się i nic się nie wydarzy. Czuję się podle.

Nagle zauważyłem, że ktoś otwiera drzwi. Ujrzałem sylwetkę mężczyzny. Kierował się ku najbliższej krawędzi wysepki. Był mniej więcej mojego wzrostu.

Wiedziałem już, kto to mógł być. Paul Yallons dotarł do swego domu, znikł w jego wnętrzu i zapalił światło, które rozbłysło w oknach.

Rano obudziłem się, rozpaczliwie łaknąc kawy. j Dopiero po dłuższym czasie dotarło do mnie, że przez tylne drzwi ktoś wsunął kopertę. Podniosłem ją i wyciągnąłem znajdującą się w środku kartkę, i pijąc kawę, odczytałem wypisany drukowanymi: literami tekst:

SZUKAJ PRZY GROTMASZCIE WRAKU OKOŁO 30 CM POD POWIERZCHNIĄ MUŁU.

Nagle poczułem, że jestem całkiem rozbudzony. Uderzyła mnie nie informacja, lecz to, że skierowana została właśnie do mnie. Ktoś wiedział, kim jestem, i w jakim celu przybyłem na Stację .

W pierwszej chwili chciałem uciec, porzucić sprawę, wymazać swoje obecne dane i zniknąć, jak to robiłem już nie raz. Nie wiedziałbym jednak wtedy, kiedy i w jaki sposób zostałem wykryty. I najważniejsze: przez kogo.

Ucieczka nie dałaby mi gwarancji bezpieczeństwa. Zamierzałem oczywiście sprawdzić informację. Musiałem przemyśleć, jakie popełniłem błędy i jakie podjąć środki ostrożności. Potarłem swój sygnet, w którym spoczywała śmiertelnie trucizna, wstałem i poszedłem ogolić się.

Tego dnia Paul i ja zostaliśmy wysłani do Stacji V. Mieliśmy wykonać rutynowy przegląd sprzętu. Nawet się prawie nie zamoczyliśmy.

Paul nie stwarzał wrażenia, że wie coś o mnie. Sam kilka razy rozpoczął rozmowę.

- Byłeś w „Chickcharny”?

- Tak - odpowiedziałem.

- I jakie wrażenia?

- Miałeś rację - spelunka. Uśmiechnął się, kiwnął głową.

- Próbowalesz jakichś miejscowych specjałów?

- Nie, tylko kilka piw.

- To najbezpieczniej. Mike - mój przyjaciel, który zginął - często tam bywał.

- Tak?

- Z początku chodziłem razem z nim. Brał swoją działkę, a ja czekałem, popijając piwo, aż przyjdzie do siebie.

- Sam nie próbowałeś?

- Nie, miałem z tym kiedyś przykre doświadczenie. Niezłe się wystraszyłem. Ale Mike robił to często. Chodził na zaplecze baru. Zauważyłeś to po mieszczeniu?

- Nie.

- Wiedział, że ta spelunka prowadzi nielegalną działalność, ale nie obchodziło go to. W końcu powie działem mu, że powinien mieć przy sobie kilka bezpiecznych porcji, i że jeśli nie może czekać do weekendu by wybrać się gdzie indziej, to niech chodzi sam. Tak też się stało.

- Chodził tam dalej?

- W ostatnich dniach często.

- Czy Mikę miewał przedtem okresy, w których przesadzał z narkotykami? - zapytałem.

- Myślę, że tak, choć nie jestem pewien.

Po pracy poprosiłem Davisa o łódź. Poczekaliśmy, aż pójdzie na obiad (nurkowanie w pojedynki: było niezgodne z przepisami), wrzuciłem sprzęt do nurkowania do łodzi i wyruszyłem. Na wszelki wypadek zabrałem ze sobą kuszę. Miałem nadzieję, że szczeka delfina spoczywa spokojnie w muzeum.

Dopłynąłem do miejsca, w którym powinien być wrak. Rzuciłem kotwicę, założyłem aparat i zanurkowałem. Wszystko wskazywało na to, że jestem sam. Podpłynąłem do kadłuba i oświetliłem złamany grotmaszt. Warstwa mułu pod grotmasztem wyglądała na nie naruszoną, ale nie potrafiłem określić, jak długo muł osiada po jego rozkopaniu. Krążąc wokół, badałem go cienkim prętem. Po chwili wyczułem mały przedmiot, prawdopodobnie metalowy, około dwudziestu centymetrów pod powierzchnią. Podpłynąłem bliżej. Zanurzyłem rękę w mułu.

Była to kasetka o rozmiarach mniej więcej piętnaście na dwadzieścia pięć, z uchwytami po obu jej końcach. Szczypcami przeciąłem drut, którym była przymocowana do masztu. Następnie ruszyłem ku powierzchni, ciągnąc ją za sobą na lince.

W łodzi zdjąłem ekwipunek i wyciągnąłem kasetkę na powierzchnię. Ani ruch, ani zmiana ciśnienia nie spowodowały wybuchu, co dało mi trochę pewności siebie. Śrubokrętem podważyłem zamek, wskoczyłem do wody i, trzymając się burty, podniosłem wieczko.

Poza chłupotem fal i moim oddechem nic nie mąciło ciszy. Wróciłem do łodzi i zajrzałem do kasetki.

Zawierała płócienny woreczek zamknięty na zatrask. Otworzyłem go. Wypełniony był mnóstwem zwyczajnie wyglądających kamyków. Wytarłem energicznie ręcznikiem kilka z nich. Potem dokładnie przyjrzałem się każdemu z osobna. Wybrałem najbardziej obiecujący okaz i obłupałem go z matowej wierzchniej warstewki. Po kilku minutach prób stwierdziłem, że odsłonięte wewnątrz zostawia ślady na przedmiotach, które miałem pod ręką.

Ktoś szmuglował diamenty, a ktoś inny chciał, abym się o tym dowiedział. Czego oczekiwał mój informator? Jeśli chodziło mu o zaalarmowanie władz, mógł to przecież zrobić sam.

Zdecydowałem, że będę działać zgodnie z tym, czego prawdopodobnie ode mnie oczekiwano, co było też zgodne z moimi własnymi zamiarami.

Przybiłem do brzegu i wyładowałem sprzęt bez zwracania na siebie uwagi.

W domu nie zastałem żadnej nowej korespondencji. Wziąłem prysznic. Woreczek ukryłem w pojemniku na śmieci, gdyż nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Na razie powinno wystarczyć. Cztery brzydkie kaczątka wsadziłem do kieszeni i wyszedłem.

Frank siedział przed domem i czytał. Przywitałem się.

- Cześć, Jim - odpowiedział. - I jak ci się tu podoba po kilku dniach?

- W porządku, a co u ciebie? Wzruszył ramionami.

- Nie mogę narzekać. Zamierzaliśmy zaprosić cię na obiad. Może jutro?

- Świetnie, dziękuję.

- Przyjdiesz koło szóstej?

- Dobrze, przyjdę.

- Znalazłeś już coś interesującego?

- Tak. Skorzystałem z twojej rady i wróciłem do dawnego hobby - zbierania minerałów.

- I co, masz jakiś ciekawy okaz?

- Wygląda na to, że tak. Znalazłem je dziwnym, trafem. Popatrz.

Wyciągnąłem kamienie z kieszeni i położyłem mu je na rękę. Dokładnie im się przyjrzał.

- Chcesz wiedzieć, co to jest? - zapytał po chwili.

- Już wiem.

- Gdzie je znalazłeś? Uśmiechnąłem się znacząco.

- Czy jest ich tam więcej? - spytał.

Potwierdziłem.

Obliznął wargi. Spojrzał znów na kamienie.

- Powiedz mi, jakie to złożę?

Zacząłem myśleć szybciej niż kiedykolwiek od czasu mojego przyjazdu na wyspę. Przypuszczałem, że mam do czynienia z przemytem diamentów, a Frank jest ich dostawcą.

- Jestem przekonany, że napływowe.

- Czy możesz określić jego wielkość?

- Niezbyt dokładnie. Jest ich jeszcze trochę, ale za wcześnie, by stwierdzić coś więcej.

- Bardzo interesujące - powiedział. - To pasuje do moich przypuszczeń dotyczących tej części świata. Czy mógłbyś mi chociaż powiedzieć, w jakim mniej więcej rejonie znalazłeś te kamienie?

- Przykro mi, sam rozumiesz...

- Oczywiście, oczywiście. Nie mogłeś jednak dotrzeć zbyt daleko podczas

popołudniowej wyprawy.

- To kwestia środka transportu i subiektywnego pojęcia odległości. Uśmiechnął się.

- Nie będę cię naciskał. Jestem tylko ciekaw. Co teraz zamierzasz zrobić z diamentami? Zyskałem na czasie, zapalając papierosa.

- Zamierzam wyciągnąć z tego jak najwięcej forsy i trzymać język za zębami. Skinął głową.

- Gdzie chcesz je sprzedać? Przechodniom na ulicy?

- Nie wiem. Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. Może jubilerom. Zaśmiał się.

- Będziesz miał szczęście, jeśli znajdziesz jubilera, który zaryzykuje. Będziesz miał bardzo dużo szczęścia, jeśli znajdziesz jubilera, który cię nie oszuka.

- Powiedziałem, że chcę dostać jak najwięcej.

- Oczywiście. Czy mam rację, że twoja wizyta ma związek z tym pragnieniem?

- Tak. No więc? - spytałem.

- Zastanawiam się. Działając jako twój pośrednik, nie uniknę ryzyka.

- Ile?

- Nie, przykro mi. Za duże ryzyko, To nielegalna działalność, a ja jestem żonaty. Mogę stracić pracę. Gdyby to było piętnaście lat temu... kto wie? Niestety, muszę odmówić. Nie zdradzę twojej tajemnicy, nie martw się.

- Jesteś pewny?

- Tak. Konsekwencje mogą być zbyt przykre.

- Dwadzieścia procent?

- Nie ma mowy.

- Może dwa pięć...

- Nie, nawet za dwa razy tyle...

- Pięćdziesiąt procent? Oszalałeś?

- Nie krzycz, proszę. Chcesz, żeby cała stacja usłyszała?

- Najwyżej dwadzieścia pięć. Nie więcej.

- Przykro mi, ale nie mogą.

- Zastanów się jeszcze nad tym. Zaśmiał się.

- To będzie trudne do zapamiętania - powiedział.

Następnego dnia Deems i Cashel zostali wysłani do Stacji VI, a Paul i ja otrzymaliśmy przydział do „prac dodatkowych według zapotrzebowania” wewnątrz i w okolicy magazynu. Uznałem to za kolejną przerwę w mojej prawdziwej pracy.

Tak minął czas aż do późnego popołudnia. Zacząłem się już zastanawiać, co Linda

Cashel zrobi na obiad, gdy do magazynu wpadł Barthelme.

- Bierzcie sprzęt do nurkowania, musimy wyjść w morze.

- Co się stało? - zapytał Paul.

- Jeden z generatorów dźwięków jest niesprawny.

- Co?

- Nie wiadomo, co się stało. Musimy wydobyć go i sprawdzić. Tylko pośpieszcie się, trzeba załadować dużo rzeczy.

- Dobrze. Która łódź?

- „Mary Ann” Spotkamy się przy łodzi...

Wyszedł, a my zabraliśmy się do pracy. Przygotowaliśmy ekwipunek do nurkowania, klatkę osłaniającą przed rekinami i komorę dekompresyjną.

Wkrótce dołączyli do nas Barthelme z Davisem, który też miał płynąć z nami. Wspólnie załadowaliśmy sprzęt na „Mary Ann” Dwadzieścia minut potem byliśmy już w drodze.

Użyliśmy dźwigu zamontowanego na łodzi do opuszczania klatki ochronnej i komory dekompresyjnej. Obaj z Paulem umieściliśmy klatkę na dnie przy generatorze, który nie wykazywał żadnych widocznych oznak uszkodzenia. Oświetloną kapsułę zatrzymaliśmy kilka metrów od nas na stoku powyżej generatora. Byliśmy na krawędzi urwiska. Gdy Paul sprawdzał urządzenie, podpłynąłem bliżej i skierowałem latarkę w dół. Ujrzałem sterczące szczyty i kręte szczeliny. Odepchnąłem się od krawędzi uskoku i podpłynąłem do Paula. W ciągu dziesięciu minut wymontowałem generator, który następnie linami wciągnięty został na górę. Chwilę później ujrzeliśmy opadający nowy generator. Przytrzymaliśmy go i przesunęliśmy na właściwe miejsce.

Zająłem się zamontowaniem go. Gdy się obróciłem, by pochwalić się Paulowi swoim dziełem, nigdzie go nie było.

Przestraszyłem się.

Podpłynąłem do krawędzi uskoku i poświeciłem. Na szczęście nie poruszał się zbyt szybko.

Opadał w dół. Ruszyłem za nim, jak tylko mogłem najszybciej. Możliwe, że uległ chorobie głębinowej, czy też „głębinowej ekstazie” jak ją również nazywano. Znajdowaliśmy się przecież pięćdziesiąt metrów pod powierzchnią.

Niepokojąc się, abym sam jej nie uległ, złapałem go za ramię i odwróciłem. Przez maskę widziałem wyraz błogości na jego twarzy.

Pociągnąłem go do komory. Z początku nie opierał się.

Nagle jednak zaczął się wrywać. Przewidziałem to, zastosowałem więc chwyt „kwansetsu-waza” Nauka judo przydała się.

Wepchnąłem Paula do kabiny, wszedłem sam i zamknąłem pokrywę. Nacisnąłem przycisk sygnalizujący gotowość do wynurzenia. Zastanawiałem się, co w tej chwili myślą Barthelme i Davies.

Wyciągnęli nas bardzo szybko. Poczułem lekki wstrząs, gdy komora opadła na pokład. Po chwili woda była wypompowana. Nie wiedziałem, czy już wyrównali ciśnienie. Usłyszałem głos Barthelme'a:

- Co się stało, czy coś poważnego?

- Paul chyba uległ chorobie głębinowej. To narkoza azotowa.

- W jakim jest stanie?

- Jest rozkojarzony i jakby pijany.

- Skontaktujemy się przez radio z pomocą medyczną. Będą gotowi w razie potrzeby.

Wydaje się, że najbardziej jest mu teraz potrzebna komora. Będziemy powoli obniżali ciśnienie. Właśnie zmieniam ciśnienie... Czy masz objawy narkozy?

- Nie.

- To dobrze. Zostawimy na chwilę ciśnienie na tym poziomie. Idę teraz do radia porozmawiać z lekarzem. Jeśli będziesz mnie potrzebował, gwizdnij w mikrofon. Powinienem usłyszeć.

- W porządku.

Zdjąłem z Paula ekwipunek. Miałem wrażenie, że zaraz zaczną przychodzić do siebie, ale nie widać było poprawy. Siedział zgarbiony i mamrotał coś. Oczy miał otwarte, lecz nieprzytomne. Uśmiechał się wciąż błogo.

Co mogło być przyczyną takiej reakcji jego organizmu? Jeśli ciśnienie spadło, poprawa powinna być niemal natychmiastowa. Być może potrzebny był dalszy spadek ciśnienia. Chociaż... Mógł nurkować tego samego dnia, przed rozpoczęciem pracy. Może szukał czegoś dziś rano, powiedzmy w mule przy grotmaszcie wraku? Pewnie wtedy wchłonął trochę azotu. Nie przypuszczał, że będzie musiał jeszcze tego samego dnia znów nurkować. Stąd jego choroba.

Pochyliłem się i, przyglądając się jego źrenicom, zauważyłem, że chyba zaczyna mnie dostrzegać.

- Jak długo byłeś dzisiaj rano pod wodą? - zapytałem.

- Nie byłem.

- Nie ważne, po co to robiłeś - chodzi o twoje zdrowie. Jak długo i na jakiej



głębokości?

- Nie byłem - powtórzył.

- Do diabła, byłeś! Przy starym wraku, prawda? Jak długo? Godzinę? Ile razy nurkowałeś?

- Nie nurkowałem! Naprawdę, Mike, nie nurkowałem!

Westchnąłem i wyprostowałem się. Być może mówił prawdę. Ludzie mają różne organizmy. Możliwe, że powód był inny, niż sądziłem. A już tak mi się wszystko zaczęło logicznie układać. Paul jako dostawca diamentów, a Frank jako paser. Powiedziałem Frankowi, co znalazłem. Frank powiedział Paulowi, a ten, zaniepokojony, postanowił, gdy wszyscy jeszcze spali, sprawdzić, czy jego diamenty są na miejscu. Podczas gorączkowych poszukiwań wchłonął dużą dawkę azotu i teraz stężenie wzrosło powyżej poziomu krytycznego. To było logiczne, na jego miejscu nie zaprzeczyłbym. Zawsze mógłbym później wymyślić jakiś bezpieczny powód.

- Nie pamiętasz? - spróbowałem jeszcze raz.

Rozpoczął serię niezbyt oryginalnych przekleństw, ale stracił po kilkunastu werwę. Głos mu się załamał.

- Dlaczego mi nie wierzysz, Mike? Nie byłem na dnie.

- No dobrze, wierzę ci. Wszystko w porządku, nie przejmuj się.

Dotknął mojej ręki.

- Jest cudownie - stwierdził. - Wszystko jest inne niż kiedykolwiek przedtem.

- Co łyknąłeś? - zapytałem.

- Cudownie.

- Co zażyłeś? - naciskałem.

- Wiesz, że nie używam narkotyków - odpowiedział w końcu.

- To dlaczego jesteś w takim stanie? Coś źle ci poszło na dnie, co?

- Odczep się. Nie przerywaj mi. Tak powinno być, zawsze... To świństwo, które wzięłeś... spowodowało całą aferę...

- Wiem - odpowiedziałem. - Przykro mi. Zepsułem wszystko. Nie powinienem był.

- Powiedziałeś... wyśpiewałeś wszystko.

- Wiem, wybacz.

Rozpoczął długi, przerywany monolog. Wszystko zaczęło układać mi się w całość. Zależało mi, by dowiedzieć się jak najwięcej, zanim Barthelme wróci i przyspieszy dekompresję. Obawiałem się, że Paul mógłby przyjść w pewnym momencie do siebie.

On i Mike dostarczali diamenty; nie dowiedziałem się tylko, skąd je brali.

Mike musiał wygadać się z czymś w „Chickcharny” będąc pod wpływem narkotyków. Myers z pewnością zainteresował się tym tak bardzo, że zamiast specjalności zakładu Różowego Raju, zaaplikował Mike'owi coś innego. Dowiedział się, czego chciał, i już widział w wyobraźni mnóstwo dolarów. Nie docenił jednak Paula. Gdy zażądał pieniędzy w zamian za milczenie, Paul wpadł na pomysł z szalonym delfinem i namówił Rudiego, aby dał mu pieniądze pod wodą. Obaj zajęli się Rudim, gdy dotarł tam. Jeden trzymał go, a drugi rozprawił się z nim za pomocą szczęki delfina. Nie było tylko dla mnie jasne, czy Mike walcząc z Rudim, odniósł rany i Paul zdecydował, że musi się go pozbyć w ten sam sposób, by zatrzeć ślady, czy też planował to od początku i zaskoczył Mike'a po zabiciu Rudiego. Z mamrotania Paula dowiedziałem się poza tym, że Paul ma romans z Lindą Cashel.

Tak wyglądała historia. Najwidoczniej zabicie Mike'a było dla Paula większym wstrząsem, niż przypuszczał. Przypomniałem sobie, że często omyłkowo zwracał się do mnie „Mike”

Barthelme wrócił, zanim udało mi się dowiedzieć czegoś więcej, zwłaszcza o źródle diamentów, i zapytał o stan Paula.

- Bredzi - odpowiedziałem.

- Zaraz obniżę ciśnienie. To może mu pomóc. Wracamy do stacji, czekają już na nas.

Gdy przybyliśmy na miejsce, pomogłem Paulowi zejść na ziemię i usiąść w przygotowanym dla niego wózku na kółkach. Oprócz Cashelów, Deemsa i Cartera zauważyłem młodego lekarza. Zbadał od razu Paula; osłuchał jego serce, zmierzył puls, ciśnienie krwi, poświecił mu w oczy i kilkakrotnie kazał dotknąć palcem czubka nosa. Potem dał znak, że można wieźć chorego. Barthelme pchał wózek, a lekarz szedł obok i rozmawiał z nim. Potem wrócił i wypytywał mnie dokładnie o wszystko, co się wydarzyło.

Powiedziałem mu, pomijając oczywiście to, co udało mi się z Paula wyciągnąć. Lekarz podziękował mi i chciał wracać do szpitala. Dogoniłem go.

- Co z Paulem?

- Narkoza azotowa - odparł.

- Mam na myśli między innymi jego reakcję na dekompresję.

- Musiałbym najpierw przeprowadzić szczegółowe badania. Ludzie różnie się zachowują.

- Nie będzie komplikacji?

- Zrobię mu jeszcze w szpitalu, ale sądzę, że nie ma obaw. Potrzebna mi będzie komora dekompresyjna.

- Do czego?

- Po prostu środek ostrożności. Powinien zostać na noc w szpitalu pod czyjąś opieką. Chciałbym, żeby komora była sprawna, by w razie nawrotu można go było poddać jeszcze raz dekompresji.

- Rozumiem.

Dogoniliśmy Barthelme'a przy wejściu. Inni byli tam również.

- Komorę mamy wewnątrz, a ja będę siedział przy nim - poinformował lekarza Barthelme.

Wszyscy zgłosili swą gotowość do czuwania w nocy przy Paulu. Ustalono kolejność: najpierw Barthelme, potem Frank, a na końcu Andy. Każdy z nich dobrze sobie radził z komorą.

Frank zaraz potem podszedł do mnie.

- Na nic więcej się tu teraz nie przydamy. Może pójdziemy na ten obiad? - zaproponował. Odruchowo spojrzałem na zegarek.

- Zjemy o siódmej zamiast o wpół do siódmej - dodał.

- To dobrze, będę miał czas wziąć prysznic i przebrać się.

- W porządku. Przyjdź jak najszybciej, będzie czas na drinka.

- Chętnie bym się czegoś napił. Do zobaczenia.

Wróciłem do siebie i doprowadziłem się do porządku. Nie było i tym razem żadnego liściku, a diamenty leżały na miejscu. Uczesałem się i wyszedłem.

Gdy przechodziłem koło szpitala, ujrzałem lekarza. Widząc mnie zatrzymał się i uśmiechnął.

- Sądzę, że z pańskim przyjacielem będzie wszystko w porządku.

- To dobrze, właśnie o to chciałem zapytać.

- A jak pan się czuje?

- W porządku, całkiem nieźle.

- Nie miał pan żadnych objawów?

- Żadnych.

- Świetnie. Gdyby wystąpiły, wie pan, gdzie się udać?

- Oczywiście.

- No, to będę się już zbierał.

- Do zobaczenia.

Skierował się do niewielkiego helikoptera, który stał obok głównego laboratorium. Ruszyłem do Franka. Frank wyszedł mi na spotkanie.

- Co powiedział lekarz?

- Że z Paulem wszystko OK.

- Wejdz i powiedz, czego chcesz się napić. Otworzył drzwi. Weszliśmy.

- Może być bourbon - powiedziałem.

- Bez dodatków?

- Tylko z lodem.

- Dobrze. Linda jest w pokoju i nakrywa do stołu.

Zakrzętnął się i zrobił dwa drinki. Czekałem, kiedy zacznie mówić o diamentach, korzystając z tego, że jesteśmy sami, ale nie poruszał na razie tego tematu.

Podał mi drinka.

- Opowiedz mi o tym, co się zdarzyło.

- Chętnie.

Frank ciągle zadawał pytania, usiłując uwydatnić każdą nieumiejętność i potknięcie Paula. Nie wydawało się, żeby Linda mogła utrzymać swój romans w tajemnicy w tak niewielkim środowisku. Co o tym myślał Frank, jak się czuł, ile wiedział? Jaka była jego rola w tym trójkącie. Napięcie między nim a Linda było niemal namacalne. On kierował rozmowę wciąż na te same tory, a ona starała się zmienić temat. Czuję się coraz bardziej niezręcznie w roli bufora, powstrzymującego nadchodzącą kłótnię. Podziękowałem w końcu za posiłek, tłumacząc się zmęczeniem, co zresztą w dużej mierze było prawdą.

- Odprowadzę cię - zaproponował Frank. Wyszliśmy.

- Jeśli chodzi o te kamienie...

- Tak?

- Jesteś pewien, że jest ich tam więcej?

- Chodź ze mną - powiedziałem.

Przed moim domem zatrzymaliśmy się. Poprosiłem, by zaczekał. Wszedłem tylnymi drzwiami. Wyciągnąłem woreczek z kosza, zaczerpnąłem garść diamentów i wróciłem do Franka.

- Złóż ręce - powiedziałem. Wysypałem mu diamenty na dłonie.

- Jak ci się to podoba?

- O Boże! Rzeczywiście masz ich dużo. Pozbędę się ich. Trzydzieści pięć procent.

- Najwyżej dwadzieścia pięć, jak mówiłem.

- W przyszłą sobotę odbędzie się wystawa kamieni i minerałów. Może być na niej znajomy, jeśli mu dam znać. On na pewno weźmie za trzydzieści. Za trzydzieści weźmie na pewno.

- Dwadzieścia pięć.

- Szkoda, że jesteśmy tak blisko i nie możemy dojść do porozumienia.

- No, niech będzie trzydzieści procent. Odebrałem Frankowi kamienie i schowałem je do kieszeni. Podaliśmy sobie ręce.

- Idę teraz do laboratorium - oświadczył Frank. - Zobaczę, co się stało z generatorem, który dziś przywieźliście.

- Powiedz mi, gdy coś znajdziesz.

Obudziło mnie ostre, uporczywe stukanie. Przetarłem oczy i przeciągnąłem się.

Ktoś dobijał się do mnie, stukając we framugę okna. Okazało się, że to Frank.

- Co się stało?

- Wyjdź, poważna sprawa.

- Poczekaj moment.

Oplukałem twarz, aby rozbudzić się całkowicie i zebrać myśli. Była dwudziesta druga trzydzieści. Gdy wreszcie wyszedłem, złapał mnie za rękę.

- Chodź, do diabła! Mówiłem ci, że to ważna sprawa.

Ruszyliśmy.

- Co się dzieje?

- Paul nie żyje.

- Co?

- Słyszałeś, Paul umarł.

- Jak to się stało?

- Przestał oddychać.

- Nieboszczycy na ogół nie oddychają. Ale jak do tego doszło?

- Grzebałem w waszym generatorze. Potem poszedłem czuwać przy Paulu, ale generator zabrałem ze sobą, żeby móc jeszcze pracować nad nim. Tak mnie to pochłonęło, że nie zwracałem specjalnej uwagi na Paula. Gdy wreszcie podszedłem do niego, już nie żył. Jego twarz była pociemniała i wykrzywiona. Pewnie niewydolność płuc.

Weszliśmy do budynku szpitala tylnymi drzwiami. Minęliśmy naprędce sklecony warsztat i rozmontowany generator. Skręciliśmy w lewo i weszliśmy do sali, w której leżał Paul. Zapaliłem światło.

Wyraz twarzy Paula świadczył o tym, że ostatnie chwile spędził, walcząc o powietrze. Sprawdziłem puls, choć wiedziałem, że go nie znajdę. Nacisnąłem kciukiem jeden z paznokci. Pozostał blady.

- Jak dawno to zauważyłeś?

- Tuż przed przyjściem do ciebie.

- Dlaczego do mnie?
- Bo byłeś najbliżej.
- Nie słyszałeś krzyków, niczego?
- Nic nie słyszałem. Gdybym usłyszał, to bym zareagował.

Poczułem nagle ogromną ochotę zapalić papierosa, ale zauważyłem napis: „Palenie wzbronione”. Wyszedłem na zewnątrz sali, oparłem się o drzwi i zapaliłem patrząc na fale.

-Pięknie - powiedziałem. - Po objawach, jakie miał dzisiaj, będzie to z pewnością uznane za przypadek naturalny; niewydolność płuc albo jakaś inna bzdura.

- Co masz na myśli? - zapytał Frank, który wyszedł za mną.

- Przypuszczam, że użyłeś dekompresora. Mam rację? Czy go po prostu brutalnie udusiłeś?

- Oszalałeś! Co bym...

- Chciałeś utrzymać Linde przy sobie, odebrać mu ją. Dzisiejszy wypadek był okazją, którą wykorzystałeś. Należy kuć żelazo póki gorące. Gratuluję, myślę, że się z tego wykręcisz. Nieźle to wymyśliłeś. Jestem ciekawy, jak to było z Mike'em i Rudim. Cały czas zastanawiałem się, czy maczałeś w tym palce.

- Skąd to wiesz? - zapytał powoli.

- Wiem, że Paul i Mikę dostarczali ci diamenty. Wiem, że Rudi dowiedział się o tym i próbował ich szantażować. Rozprawili się z nim, a Paul, jak sądzę, rozprawił się w tym samym czasie z Mike'em. Skąd wiem? Paul bełkotał dziś przez całą drogę powrotną w komorze dekompresyjnej, a ja, jak wiesz, siedziałem tam razem z nim. Dowiedziałem się o diamentach oraz o jego romansie z Lindą po prostu słuchając.

Oparł się plecami o warsztat.

- Gdy przyszedłeś z diamentami, myślałem, że odkryłeś złóż Paula. Uwierzyłem w twoją historię. Paul nigdy nie zdradził, gdzie się znajduje. Sądziłem, że albo przypadkiem na nie wpadłeś, albo śledziłeś Paula. Teraz nie ma to znaczenia. Wolę z tobą robić interesy. Zostawmy może tę sprawę tak, jak jest.

- Jeśli powiesz mi o Rudim i Mike'u.

- Wiem tyle, co ty. Nie interesowało mnie to. Paul zajął się wszystkim. Powiedz jeszcze, jak znalazłeś diamenty.

- Nie znalazłem - odparłem. - Nie miałem zielonego pojęcia skąd je brał.

Wyprostował się.

- Nie wierzę ci! Skąd masz kamienie?

- Znalazłem je tam, gdzie ukrył je Paul. Ukradłem je.

- Dlaczego?
- Lubię pieniądze.
- Więc dlaczego mnie okłamałeś?
- Miałem przyjść i powiedzieć, że je ukradłem?

Ruszył gwałtownie do przodu, zamykając drzwi, które uderzyły go w ramię. Zatrzymało go to na moment. Znow był przy mnie. Przyjąłem postawę obronną. Zamachnął się, ale chybił. Jego następny cios musnął moje ramię, w wyniku czego uderzyłem go w nerkę słabiej niż zamierzałem. Gdy zaatakował znowu, kopnąłem go w biodro. Osunął się na kolano, ale podniósł się, zanim udało mi się to wykorzystać. Celował kluczem w moją głowę. Cofałem się, a on nacierał.

Znaleźliśmy się na krawędzi stacji. Byłem w trudnej sytuacji. Za sobą miałem już tylko morze. Skoczyłem do przodu i złapałem go za rękę, w której trzymał klucz. Zmagaliśmy się przez chwilę. Udało mi się obrócić przodem do krawędzi. Upadłem na plecy, pociągając go za sobą. Z całych sił kopnąłem nogami. Spadł do wody. Po chwili usłyszałem jego przeraźliwy wrzask.

Dobiegły mnie głosy zbliżających się ludzi. Wstałem i ruszyłem do brzegu. Obok mnie stanął Barthelme. Przestał powtarzać: „Co się stało?” gdy spojrzał w dół. W środku kłębiącej się wody zobaczyliśmy płetwę rekina.

W swoim oświadczeniu napisałem o zdarzeniach poprzedzających śmierć Franka, o jego wizycie u mnie i zawiadomieniu o śmierci Paula, wreszcie o rozmowie w szpitalu. Zauważyłem, że Frank prawdopodobnie zaatakował mnie, ponieważ wydawało mu się, że winie go za brak opieki nad chorym Paulem.

Przyjęli moje wyjaśnienie. Dali mi spokój. Rekin krążył jeszcze w pobliżu, czekając pewnie na deser, aż w końcu został uspijony i wywieziony poza teren stacji. Jak powiedział mi Barthelme, uszkodzony generator soniczny mógł rzeczywiście być przyczyną powstawania luk w barierze ochronnej.

Tak więc Paul zabił Rudiego i Mike'a. Frank zabił Paula, a potem sam został zabity przez rekina, któremu teraz można było przypisać dwa poprzednie zgony. Delfiny zostały oczyszczone z podejrzeń i nie pozostał nikt, kogo można by pociągnąć do odpowiedzialności. Źródło diamentów pozostało tajemnicą.

Gdy wszyscy już sobie poszli i oświadczenia zostały złożone, usiadłem na patio i spoglądając w niebo, popijałem piwo.

Sprawa była właściwie zamknięta. Ale kto napisał do mnie list, który wprowadził w ruch tę piekielną maszynę? Czy to jednak ma jakieś znaczenie? Dopóki będzie milczał na mój

temat...

Napiłem się jeszcze piwa.

Nie, nie mogłem tego tak zostawić. Musiałem się jeszcze trochę rozejrzeć.

Zapaliłem następnego papierosa.

Gdy dopłynąłem, światło jeszcze świeciło się w oknach. Wspiąłem się na molo i usłyszałem jej głos, wzmocniony przez megafon. Przywitała mnie po imieniu. Użyła mojego prawdziwego imienia, którego już dawno nie słyszałem i zaprosiła mnie do środka.

Wszedłem do domu.

Pokój był niski i długi, w stylu orientalnym. Miała na sobie zielone, jedwabne kimono. Klęczała na podłodze, a przed nią stał serwis do herbaty.

- Proszę, podejdź i usiądź.

Zdjąłem buty, podszedłem i usiadłem.

- O-cha do desu-ka? - zapytała.

- Itadakimasu.

Nalala herbatę do filiżanek i piliśmy ją chwilę -w milczeniu. Po drugiej filiżance przesunąłem do siebie popielniczkę.

- Papierosa? - zapytałem.

- Nie palę, ale ty zapal, proszę. Staram się chronić organizm przed trującymi substancjami, jak tylko mogę. Myślę, że od tego wszystko się zaczęło.

Zapaliłem papierosa.

- Nigdy dotąd nie spotkałem prawdziwego telepaty.

- Oddałabym to za zdrowe ciało, nawet niezbyt atrakcyjne.

- Sądzę, że nawet nie ma potrzeby, abym pytał o cokolwiek.

- Rzeczywiście, nie ma potrzeby. Jak sądzisz, na ile wolna jest nasza wola?

- Coraz mniej - odpowiedziałem. Uśmiechnęła się.

- Zapytałam, ponieważ dużo ostatnio o tym myślę. Myślę też o małej dziewczynce, którą kiedyś znałam. Mieszkała w ogrodzie pełnym przerażających kwiatów. Były piękne i miały czynić ją szczęśliwą, gdy na nie patrzyła. Nie mogły jednak ukryć przed nią swego zapachu, a był to zapach litości. Uciekała nie od kwiatów, ale od tej woni, choć niewielu wiedziało, że zdolna jest ją odczuwać. Sprawiało jej ból ciągłe wachanie kwiatów i dlatego wybrała samotność, która przyniosła jej spokój. Gdyby mogła, pozostałaby w ogrodzie.

Przerwała, aby napić się herbaty.

- Pewnego dnia spotkała w nieoczekiwanym miejscu przyjaciela. Delfin jest pełen radości, a jego serce pozbawione jest poniżającego uczucia litości. Zmysł, który przedtem



uczynił ją samotną, teraz pomógł jej znaleźć przyjaciół. Poznała ich serca i myśli głębiej, niż ludzie znają się nawzajem. Pokochała ich, stali się jej rodziną.

Napiła się znów herbaty i milczała przez chwilę.

- Są między nimi wielcy. Prorocy, jasnowidze, filozofowie, muzycy. Nie znam w ludzkim języku słów, które mogłyby opisać funkcję, które pełnią. Są między nimi tacy, którzy potrafią formułować swe pieśni w sposób wyjątkowo subtelny i głęboki. To przypomina trochę muzykę, powstałą gdzieś poza czasem, w ich wnętrzu, gdy być może spoglądają w nieskończoność. Przekazują ją innym. Największy, jakiego kiedykolwiek znałam, nazywa się - wymówiła to wysokim tonem - KjwallFkje'k'koothailH'kje'k. Jest to może tytuł, a może imię. Nie potrafię lepiej wytłumaczyć ci ich pieśni, tak jak nie potrafiłabym wytłumaczyć Mozarta komuś, kto nie słyszał nigdy muzyki. Gdy on sam, w swym miejscu pobytu, został zagrożony, zrobiłam to, co było konieczne.

- Niezbyt cię rozumiem - powiedziałem, odstawiając filiżankę.

Napełniła ją i kontynuowała.

- „Chickcharny” znajduje się nad wodą, tak jak ten dom. Nie piję alkoholu. To nie kwestia wyboru, ale zasada filozoficzna, której łamanie jest dla mnie niebezpieczne. Mogę jednak odczuwać przyjemności, które są udziałem innych.

- Zaczynam rozumieć...

- Pływając w pobliżu „Chickcharny”, czułam to wszystko, co czuli ludzie śniący narkotyczne sny. Mogłam odczuwać szczęście, spokój, radość i mogłam wycofać się, gdy odczuwali ból i cierpienie.

- Mikę... - powiedziałem nieświadomie.

- Tak, on pokazał mi dom Kjwalll'kje'k'ko-othaiill'kje'k. Ujrzałam miejsce, gdzie znaleźli diamenty. Wiem, iż podejrzewasz, że jest to w pobliżu Martyniki, bo byłam tam ostatnio. Nie powiem ci nic o tym miejscu. Ujrzałam też chęć skrzywdzenia delfinów. Sądzę, że delfiny odciągnęły ich od tego miejsca, choć nie wyrządziły im krzywdy. To zdarzyło się kilkakrotnie. Uznałam to za tak dziwne, że postanowiłam dokładniej zbadać sprawę. Okazało się, że była to prawda. Diamenty znajdowały się na obszarze jego pieśni. Przebywa tam, a inne delfiny przyplływają, by go słuchać. Z tego powodu miejsce to jest dla nich szczególnie cenne. Musiały dbać o własne bezpieczeństwo, gdy Mikę i Paul przyplywali po diamenty. Byli sprytni. Użyli nagranych dźwięków wydawanych przez orkę. Na wszelki wypadek, gdyby nagranie przestało skutkować, zabrali ze sobą materiały wybuchowe. Oba zabójstwa miały miejsce, gdy mnie tu nie było. W zasadzie dobrze domyślasz się, co się stało... Nie wiedziałam, że dojdzie do zabójstw, a moje zeznania o myślach Paula nie zostałyby wzięte

pod uwagę w żadnym sądzie. Wykorzystywał wszystko, co wpadło mu w ręce - każdego człowieka, pomysł, rzecz - choć robił to nieudolnie. Zabrał Frankowi pomysł, tak jak żonę. Pojął na tyle, że mógł przy odrobinie szczęścia znaleźć diamenty. Szczęście rzeczywiście dopisywało mu przez pewien czas. Nie przewidział jednak zachowania delfinów, gdy musiały walczyć i zabijać. Ale nawet w tym miał szczęście. Historyjka została zaakceptowana, choć nie przez wszystkich. Nie stracił wiarygodności. Był bezpieczny i zamierzał wrócić do złoża diamentów. Szukałam sposobu, aby go powstrzymać. Chciałam też, by delfiny zostały pomszczone, lecz to miało drugorzędne znaczenie. Wtedy ty pojawiłeś się na wyspie i zrozumiałam, że znalazłam sposób. Popłynęłam nocą do stacji i zostawiłam ci wiadomość.

- Ty zepsułaś generator dźwięków?

- Tak.

- Zrobiłaś to wtedy, gdy byłaś pewna, że to właśnie Paul i ja zostaniemy wysłani, aby go wymienić.

- Resztę też ty zrobiłaś?

- Tak. Nappełniłam umysł Paula tym, co czułam i widziałam pod „Chickcharny”

- Znałaś myśli Franka. Wiedziałaś, jak zareaguje. Sprowokowałaś morderstwo!

- Nie zmusiłam go do niczego. Miał wolną wolę, jak ty i ja.

Gapilem się na filizankę. Zastanawiało mnie coś. Spojrzałem na Marthę.

- Nie kontrolowałaś go, gdy pod koniec zaatakował mnie? I, co najważniejsze, czy możesz kontrolować prymitywne istoty? Potrafisz kierować działaniem rekina?

Dolała mi herbaty.

- Uwierz mi, że nie.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. W końcu przerwałem ciszę.

- Czy próbowałaś coś mi zrobić, gdy zdecydowałem się kontynuować śledztwo? Nie dążyłaś do pomieszenia mi zmysłów i doprowadzenia mnie do śmierci?

- Nie - odpowiedziała szybko. - Przynajmniej nie na początku. Najpierw obserwowałam cię, żeby dowiedzieć się, co postanowisz. Twoja decyzja przestraszyła mnie. Próbowałam przekazać ci choć część pieśni delfinów, aby uspokoić cię. Miałam nadzieję, że to osłabi twoją decyzję. Gdy zorientowałam się, że jej nie zmienisz, wpłynęłam na ciebie zupełnie inaczej, tym razem bardzo boleśnie.

- Powinnaś zawrzeć w swoim przekazie jakąś sugestię.

- Chciałam, ale oparzyłeś się i to cię wyrwało z transu.

Nagle wydała mi się bardzo zmęczona. Był to dla niej naprawdę bardzo pracowity dzień.

- I to była moja pomyłka. Gdybym po prostu pozwoliła ci odejść, nigdy nie dowiedziałbyś się, co się naprawdę stało; a tak pojąłeś, że to, co odczułeś, nie było rzeczą naturalną. Dobrze to zapamiętałeś. Dla tego stałeś się groźny i musiałam cię wezwać.

- I co dalej? - zapytałem. - Żaden sąd niczego ci nie udowodni. Jesteś bezpieczna. Nie mogę cię nawet potępić. Z pewnością wiesz, że mam na sumieniu niejedno życie. Jesteś jedynym żyjącym człowiekiem, który zna moje prawdziwe nazwisko. Niezbyt mi to odpowiada. Domyślam się twoich obaw. Nie będziesz próbowała mi nic zrobić, bo wiesz, co tobie mógłbym zrobić, gdyby ci się nie udało.

- Wiem, że nie użyjesz pierścienia, jeśli nie zostaniesz sprowokowany. Dziękuję ci. Tak, obawiam się tego.

- Wygląda na to, że jesteśmy w sytuacji patowej.

- A może obydwójce zapomnimy?

- Masz na myśli wzajemne zaufanie?

- Czy to jest aż tak dziwne?

- Ty masz dobry sposób, aby sprawdzić moje intencje.

- Ale jedynie w tej chwili. Ludzie się zmieniają.

Nie mogę przewidzieć, jak będziesz jutro na to patrzył, będąc gdzie indziej. Ty sam potrafisz to lepiej ocenić, gdyż znasz siebie o wiele lepiej niż ja.

- Tak, to prawda.

- Czy chcesz, abym ci pokazała, co pragnę chronić?

Nie byłem pewien. Przypomniałem sobie wrażenie, jakiego doznałem na stacji. Nie potrafiłem ocenić, w jaki sposób może nade mną zapanować ani jakich mocy użyje, jeśli zgodzę się na jej propozycję. Miałem jednak zabezpieczenie w razie, gdyby sytuacja wymknęła się spod kontroli i gdybym wyczuł inne próby wpływania na mój umysł od tych, których oczekiwałem. Mogłem natychmiast i na zawsze przerwać jej ingerencję. Wysunąłem obie ręce przed siebie, trzymając dwa palce na pierścieniu.

- Zgoda - powiedziałem.

I nagle zaczęło się. Było znów podobne do muzyki, lecz zaledwie podobne i jakie od niej różne. Było rozwinięciem tematu, którego nie da się przekazać, bo jego istota leży poza zasięgiem ludzkich zmysłów. Czułem, że ta część mnie, która odbierała przekaz, znajdowała się chwilowo w umyśle twórcy pieśni. Uczestniczyłem w pieśni - w beczasowej rozmowie, która była przez niego improwizowana i rozpisana na instrumenty. Wydobywał z pamięci całe ciągi poprzednio stworzonych fraz tak wspaniale i czysto, że trudno było odróżnić je od rzeczywistości. Łączył to w nowe konstrukcje, nadawał im radosny rytm, który rozumiałem

jedynie pośrednio. Wyczuwałem przyjemność i satysfakcję, które czerpał z aktu tworzenia. Przepęłniała mnie rozkosz w tym tańcu myśli, racjonalnym, choć nielogicznym. Jak w każdej dziedzinie sztuki, proces tworzenia był rodzajem odpowiedzi na coś, czego nie pojmowałem, lecz nie było to naprawdę istotne.

Ważne, że istniało samoistnie - samowystarczalność bytu. Być może to, co teraz przeżywałem, da mi kiedyś siłę, gdy będę słaby i opuszczony.

Zapomniałem o własnym istnieniu, o ograniczonych możliwościach własnej percepcji. Płynąłem przez ocean nieciemny i niejasny, nieukształtowany, lecz nie bezkształtny, znając swą drogę, będącą nieustannym aktem tego, co nazwaliśmy „ludus” tworzenia, niszczenia i trwania według ciągle zmieniającego się wzoru. Rozproszenia i łączenia, wznoszenia się i opadania, aktem poza czasem lub zawierającym samą istotę czasu. Byłem jakby duszą czasu, nieskończonym zbiorem potencjalnych możliwości istniejących w tym momencie, otaczającym i wypełniającym wąski strumień istnienia. Radość, radość i jeszcze raz radość.

Mój roztańczony umysł powoli wracał do rzeczywistości. Siedziałem, zaciskając palce na pierścieniu, a przede mną ta mała dziewczynka, która uciekła od strasznych kwiatów, ubrana w głęboką zieleń i bardzo, bardzo blada.

O-cha do desu-ka? - zapytała.

Itadakimasu.

Nalała herbatę do filiżanki. Chciałem dotknąć jej ręki, ale tylko podniosłem filiżankę i napiłem się.

Znała już moją odpowiedź. Mimo to, po chwili, przemówiła.

- Gdy przyjdzie na mnie czas, kto wie, kiedy wtedy popłynę do niego. Będę z nim. Być może będę dalej istniała, choćby jako wspomnienie, w jego ponadczasowej pieśni. Już teraz czuję się jej częścią.

- Ja...

Uniosła rękę. Dopiliśmy herbatę w milczeniu. Nie chciałem odchodzić, ale wiedziałem, że muszę. „Tak wiele mogłem jej powiedzieć”- myślałem, płynąc „Izabellą” z powrotem do Stacji I, gdzie były moje diamenty i ludzie, z którymi mogłem rozmawiać.

Zrozumiałem jednak, że często najlepsze są słowa, których się nie wypowiedziało.

## HANGMAN

Była cicha, bezwietrzna noc. Za oknem padał puszysty śnieg. Białe płatki były jedynymi świadkami tego, co już się stało i tego, co miało się stać za chwilę. Przed momentem grzmiał ogień z broni maszynowej, a teraz gdy ustał, cisza wydawała się jeszcze głębsza. W głównym pomieszczeniu małego budynku jedynymi dźwiękami były teraz syki i trzaski drewna płonącego w palenisku.

Siedziałem na krześle, odwrócony bokiem do stołu, by móc obserwować drzwi. Skrzynka z narzędziami stała na podłodze z lewej strony. Na stole leżał odwrócony do góry dnem hełm, koślawy, z metalu, kwarcu, porcelany i szkła. Czekałem na pstryknięcie mikroprzełącznika, po którym rozlegnie się brzęczenie, a następnie zacznie mrugać lampka, umieszczona na przedniej części hełmu. Wiedziałem, że gdy to nastąpi, prawdopodobnie będę musiał umrzeć.

Larry i Bert wyszli uzbrojeni; jeden w miotacz płomieni a drugi w coś, co przypominało sztucer na słońce. Bert zabrał jeszcze dwa granaty. Po ich wyjściu wyjąłem z kieszeni czarną, wilgotną kulę. Rozwinałem ją, otrzymując jakby rękawicę bez szwów oblepioną podobną do kitu substancją. Następnie nałożyłem ją ostrożnie na lewą rękę i usiadłem, opierając łokieć na poręczy krzesła. Na stole oprócz hełmu leżał mały pistolet laserowy, w którym jednak nie pokładałem zbyt dużo nadziei.

Gdybym uderzył teraz w jakąkolwiek metalową powierzchnię, substancja znajdująca się na rękawicy odkleiłaby się i przywarła do metalu. W dwie sekundy później eksplodowałaby. Nazywano to „wybuchową rękawicą”, a posiadanie jej było zabronione niemal na całym świecie. Uznawana była za narzędzie włamywaczy i rozpruwaczy sejfów. Ten wytwór technologii molekularnej był według mnie godny podziwu. Jedyne sposoby przenoszenia go nie był dostatecznie dopracowane.

Obok hełmu i pistoletu leżał radiotelefon, za pomocą którego miałem ostrzec Berta i Larry'ego, gdybym usłyszał trzask mikroprzełącznika i brzęczenie oraz dostrzegł mrugające gwałtownie światelko. Będzie to wtedy oznaczało, że Tom i Clay, którzy stracili z nimi kontakt w chwili rozpoczęcia się strzelaniny, nie powstrzymali przeciwnika i bezwątpienia leżą martwi na swoich stanowiskach dwa kilometry od nich. Będzie to też prawdopodobnie znaczyło, że przyszła kolej na Larry'ego i Berta.

Wywołałem ich natychmiast, gdy usłyszałem trzask przełącznika. Chwyciłem hełm i zerwałem się na równe nogi. W tym samym momencie ujrzałem, że światelko zaczyna

migotać.

Było już jednak za późno.

Na pocztówce wysłanej do Dona w zeszłym roku czwartym w kolejności był bar „Beer Stube” w Baltimore, stan Maryland. Tradycyjnie w ostatni wieczór września siedziałem tam, zaszyty w kącie na wprost altanki, której drzwi wychodziły na aleję. Po przeciwnej stronie ciemnego pomieszczenia grała na starym pianinie, niemiłosiernie przyspieszając, jakaś kobieta, ubrana na czarno.

Z prawej strony sapało i dymiło palenisko, nad którym górowała figura ozdobiona rogami. Popijałem piwo i przysłuchiwałem się grze na pianinie. Tym razem żywiłem nadzieję, że Don się nie zjawi. Miałem dość pieniędzy, aby spokojnie przeżyć kilka miesięcy i nie bardzo chciało mi się pracować. Lato spędziłem na północy, a teraz mój statek stał zakotwiczony w Chasapeake. Zamierzałem płynąć na południe, w stronę Karaibów. Nasilające się chłody i nieprzyjemne wiatry świadczyły, że powinienem wyruszyć w drogę. Jednak umowa zobowiązywała mnie do czekania w barze aż do północy. Jeszcze dwie godziny.

Zjadłem kanapkę i zamówiłem następne piwo. Gdy wypłem już mniej więcej połowę, zauważyłem Dona wchodzącego do baru. Miał płaszcz przewieszony przez rękę, rozglądał się. Gdy stanął przy moim stoliku, zareagowałem na jego widok z odpowiednią dozą zdziwienia.

- Roń, czy to naprawdę ty?! - wykrzyknął. Wstałem i uścisnąłem mu rękę.

- Alan! Jaki mały ten świat! Siadaj. Usadowił się naprzeciwko i ułożył płaszcz na wolnym krześle.

- Co tu porabiasz? - zapytał.

- Wpadłem odwiedzić paru przyjaciół. Za parę godzin wyjeżdżam.

Zacząłem wystukiwać palcami rytm na wiekowym, pokrytym rysami i plamami blacie.

Uśmiechnął się.

- Co tam bębnisz?

- Wyrażam sympatię dla jednej z ulubionych, nielegalnych knajp Henry'ego Menckena.

- Aż tak stary jest ten lokal? Potwierdziłem skinieniem głowy.

- Czy dlatego, że jesteś zwolennikiem przeszłości, czy raczej przeciwnikiem teraźniejszości?

- Jedno i drugie po trochu. Szkoda, że nie ma tu Menckena. Chciałbym poznać jego

zdanie o dzisiejszych czasach. Jak sobie z tym radzisz?

- Z czym?

- Z terażniejszością.

- Och! - Zauważył w pobliżu kelnerkę i zamówił piwo. - Jestem w podróży służbowej, szukam konsultanta.

- A jak interesy?

- Jest trochę problemów.

Zapaliliśmy papierosy. Po chwili kelnerka przyniosła Donowi piwo. Pałac i popijając słuchaliśmy muzyki.

Zawsze uważałem, że świat przypomina zbyt szybko graną muzykę. Większość zmian, jakie zdarzyły się w moim życiu, miała miejsce w ciągu ostatnich paru lat. Tak samo sądziłem kilka lat temu. Podejrzewam, że za parę lat będę czuł to samo, o ile interesy Dona nie wkroczą w moje życie.

Don kieruje drugą co do wielkości agencją detektywistyczną na świecie i ponieważ nie istnieję, czasami korzysta z moich usług. Nie istnieję, gdyż znajdowałem się we właściwym miejscu, gdy próbowaliśmy zapisać szaloną pieśń naszych czasów. Mam na myśli Centralny Bank Danych. Odgrywałem dość istotną rolę w tej próbie stworzenia działającego modelu świata, zawierającego całość danych o każdym człowieku. W jakim stopniu się to udało i czy taki model rzeczywistości daje większą kontrolę nad społeczeństwem, jest wciąż przedmiotem dyskusji moich dawnych współpracowników, podczas gdy muzyka staje się coraz bardziej przeraźliwa. Podjąłem decyzję i postarałem się, aby nie stać się obywatelem tego nowego świata, który, być może, zdominował poprzedni. Wybrałem wolność i rzeczywistość, a granicę między jednym a drugim przekraczam nielegalnie. Bywam tu od czasu od czasu, żeby zarobić. Tu właśnie pojawia się Don. Ludzie, którymi kolejno się staję, są często bardzo użyteczni w jego specyficznych interesach.

Tym razem jednak najbardziej chciałem zwolnić obroty i oddać się na pewien czas lenistwu.

Wypiliśmy piwo i zapłaciliśmy rachunek.

- Chodźmy tędy - powiedziałem, wskazując tylne drzwi.

Założył płaszcz i wyszliśmy.

- Tu porozmawiamy? - zapytał, gdy byliśmy na ulicy.

- Lepiej nie - odparłem.

Po niecałej godzinie znajdowaliśmy się już w salonie na pokładzie „Proteusa”, a ja robiłem kawę. Była bezksiężycowa noc, wody Zatoki Meksykańskiej kołysały nas łagodnie.

Przyciemniłem trochę światło. Warunki były komfortowe. Tu na pokładzie statku, tempo życia na lądzie, pośpiech i tłok wydawały się odległe i jakby odrealnione. Łatwo jest zmienić wygląd lądu, ale morze zawsze wygląda tak samo i chyba dlatego można czuć się na nim jakby poza czasem. Sądzę, że między innymi z tego powodu tak lubię mieszkać na statku.

- Pierwszy raz jestem u ciebie - powiedział Don. - Bardzo tu przyjemnie.

- Dziękuję. Śmietankę? Cukier?

- Tak, jedno i drugie. Usadowiliśmy się przy kawie.

- Co masz tym razem? - zapytałem.

- Jedną sprawę, w której są dwa problemy. Jeden z nich przekracza moje kompetencje, drugi nie. Poinformowano mnie, że sytuacja jest wyjątkowa i wymaga fachowca.

- Jestem specjalistą jedynie w utrzymywaniu się przy życiu.

Spojrzał mi nagle prosto w oczy.

- Zawsze sądziłem, że wiesz bardzo dużo o komputerach.

Odwrociłem wzrok. To był cios poniżej pasa. Nigdy nie mówiłem mu o tym, była między nami niepisana umowa, że moje metody, sytuacja i personalia nie są tematem do dyskusji. Z drugiej strony było oczywiste, że znam system w całości i w szczegółach. Mimo wszystko nie miałem ochoty dyskutować na ten temat. Przeszedłem więc do defensywy.

- Mnóstwo ludzi zna się na komputerach. Być może w twoich czasach było inaczej, ale dziś dzieci zaczynają uczyć się informatyki od pierwszego roku nauki. Wiem dużo o komputerach, bo każdy dziś o nich wie.

- Doskonale zdajesz sobie sprawę, że nie o to chodzi. Tak długo się znamy, że mógłbyś mi trochę zaufać. Tylko dlatego zapytałem, bo ma to związek ze sprawą.

Nie zawsze reagujemy właściwie na bodźce, a ja, przy swoim trybie życia, często musiałem panować nad emocjami.

- No dobrze, wiem o komputerach trochę więcej niż uczeń.

- Dobrze, to będzie nasz punkt wyjścia. Wypił łyk kawy.

- Znam się na prawie, bankowości, wojskowości, wywiadzie i administracji. W takiej właśnie kolejności. Zabrałem się do interesów. Wiedzę techniczną nabywałem w trakcie pracy - tu coś przeczytałem, tu skończyłem jakiś krótki kurs. Mam sporo wiadomości ogólnych, ale nie znam szczegółów, które często są niezbędne. Podobnie jest w tej sprawie, więc chciałbym, żebyś zaznajomił mnie ogólnie z zagadnieniem, a potem przeszedł do detali, na ile to będzie możliwe. Najpierw powiedz mi, jak działały pierwsze roboty, używane do eksploracji kosmosu. Na przykład te, które pracowały na Wenus.

- To nie komputery i jeśli już o tym mowa, również nie roboty. To były urządzenia z



łącnością zwrotną. Współdziałały z operatorem na zasadzie sprzężenia zwrotnego. Zależnie od wymagań łączność mogła być audiowizualna, ruchowa, dotykowa, a nawet węchowa. Im większe były wymagania, tym bardziej urządzenia przypominały istoty ludzkie. Na Wenus, o ile dobrze pamiętam, operator miał na sobie kombinezon, za pomocą którego sterował ruchami urządzenia i odbierał bodźce. Specjalny kombinezon umożliwiał mu widzenie i słyszenie tego, co ono. Czytałem książkę, napisaną przez jednego z operatorów. Twierdził, że często na długi czas zapominał, iż jest na orbicie i wydawało mu się, że osobiście wędruje przez piekielny krajobraz. Pamiętam, że jako mały chłopak pragnąłem bardzo mieć na własność taki mikroskopijny model, aby walczyć z bakteriami w kałużach.

- Dlaczego?

- Bo na Wenus nie było smoków. Roboty to coś zupełnie innego.

- Na czym więc polega różnica? Napilem się kawy.

- Sytuacja komplikowała się, gdy w grę wchodziły planety zewnętrzne. Po pierwsze: nie było tam operatorów na orbicie. Głównie z powodów ekonomicznych, ale były też techniczne. Urządzenia lądowały na planetach, a operator pozostawał w domu. Powodowało to oczywiście opóźnienia w łączności. Trzeba było czekać na sygnały, a potem na dotarcie informacji sterującej. Próbowaliśmy pokonać tę trudność na dwa sposoby. Po wykonaniu polecenia urządzenie oczekiwało nieruchomo na następne. Druga metoda była bardziej skomplikowana. Tu właśnie zaczął grać rolę komputer. Zawierał on model terenu, wzbogacany podczas działania urządzenia. W trakcie fazy oczekiwania komputer przewidywał działania na krótki okres przed. W końcu mógł przejąć całkowicie sterowanie, opierając się na analizie terenu i wstępnej informacji o nim. Pomoc człowieka była wciąż niezbędna w razie nieprzewidzianych okoliczności. Tak więc jeśli chodzi o odległe planety, sterowanie nie było ani w pełni automatyczne, ani w pełni manualne. Przede wszystkim jednak nie było w pełni zadowalające.

- No dobrze - stwierdził Don. - A jaki był następny etap?

- Nie był to postęp techniczny, lecz raczej lepsze warunki ekonomiczne. Dostaliśmy więcej pieniędzy i stać nas już było na wysyłanie ludzi. Lądowali, jeśli warunki na to pozwalały, a jeśli nie, mogli sterować z orbity, jak to robili wcześniej. Można traktować to jako odwrócenie poprzednich metod. Tak postępuje się do dziś, a efekty są zadowalające.

Pokręcił głową.

- Opuściłeś coś między etapem komputerów a zwiększonym budżetem.

Wzruszyłem ramionami.

- W tym czasie próbowano różnych rozwiązań, ale żadne z nich nie okazało się tak

dobrze jak ostatnie.

- Był pewien projekt - powiedział Don - który w inny sposób omijał problem przerwy spowodowanej odległością. Urządzenie było wysyłane wraz z komputerem, lecz komputer nie był zwykłym komputerem, a urządzenie też nie przypominało poprzednich. Wiesz, o czym mówię?

Zapaliłem papierosa.

- Myślę, że chodzi ci o Hangmana - powiedziałem.

- Masz rację i tu właśnie moje wiadomości stają się zbyt skąpe. Czy możesz wyjaśnić mi, jak to działało?

- Eksperyment w końcu okazał się fiaskiem - stwierdziłem.

- Ale z początku efekty były obiecujące.

- Pozornie, i to tylko przy prostych pracach na Io. Błędy wyszły na jaw później i musiano uznać eksperyment za nieudany, choć niewątpliwie cenny i śmiały. Zamierzenie od początku było zbyt ambitne. Sądzę, że twórcom tego przedsięwzięcia nadarzyła się okazja do wykorzystania rozwiązań, które były jeszcze w trakcie badań. W teorii wszystko zdawało się takie świetne, że ulegli pokusie i oczekiwali zbyt wiele.

- Ale czym się posługiwali?

- Łatwiej powiedzieć, czym się nie posługiwali. Komputer, który nie był zwykłym komputerem... Zaczniemy od tego. W zeszłym stuleciu trzech inżynierów z Uniwersytetu Wisconsin - Nordman, Parmentier i Scott - zbudowali urządzenie zwane „nadprzewodnikowym neurystorem tunelowym”

Wyobraź sobie dwa niezwykle cienkie kawałki metalu, oddzielone cienką warstwą izolującą. Obniż temperaturę do około zera absolutnego, co spowoduje zanik oporu elektrycznego. Włóż miliardy takich układów do szczelnego, namagnesowanego pojemnika. I co otrzymasz? Rozłożył ręce.

- Po pierwsze, niezliczoną ilość ścieżek i połączeń. To właśnie one pozwalają gromadzić informacje. Analogia do struktury mózgu jest tu wyraźna. Mózg także zapamiętuje informacje, tworząc połączenia - z tym że między neuronami. Hangman działał na podobnej zasadzie. W objętość trzydziestu centymetrów sześciennych upchano ponad dziesięć miliardów komórek neurystorowych. Dążono do osiągnięcia tej magicznej liczby, gdyż tyle jest mniej więcej komórek w mózgu ludzkim. To właśnie miałem na myśli, mówiąc, że Hangman nie był zwykłym komputerem. Wraz z nim wkroczyliśmy w dziedzinę sztucznej inteligencji, jak by tego nie nazywać. Uczono go na Ziemi, jak powinien sobie radzić w najbardziej trudnych warunkach terenowych i jak ma informować o swojej pracy. Gdy już to

opanował, wysłany został samodzielnie w kosmos.

- Przypuszczam, że nie można go też było uważać za robota, skoro posiadał mózg - nieistotne, komputerowy czy ąasi-ludzki.

- Robot jest urządzeniem, które wykonuje operacje zgodnie z poleceniem. Hangman sam podejmował decyzje. Gdy tworzy się jednak coś, co przypomina ludzki mózg, nie sposób uniknąć nieobliczalności, która go cechuje. Hangman był zbyt złożony i to prawdopodobnie było przyczyną niepowodzenia.

- Nieunikniona wolna wola - zaśmiał się Don.

- Nie. Po prostu wpakowali zbyt dużo rzeczy do jednego koszyka. Ktokolwiek miał jakiś pomysł, który mógł być włączony do projektu, witany był z otwartymi rękami. Na przykład faceci od psychofizyki mieli urządzonko, które postanowili przy okazji wypróbować. Chcieli sprawdzić, czy Hangman jest rozumny w pełnym tego słowa znaczeniu.

- I był?

- Wydawało się, że w pewnym sensie tak. Ich aparat odbierał fale elektromagnetyczne wywołane przepływem prądu w „mózgu” Hangmana, wzmacniał je, przetwarzał w skomplikowanym modulatorze i wysyłał do mózgu operatora. Wykraczam teraz poza swoją dziedzinę i wchodzę w sferę badań Webera i Fechnera, ale wiadomo, że neuron ma pewien próg wrażliwości, powyżej którego uaktywnia się, a poniżej zawsze jest nieaktywny. W korze mózgowej znajduje się około czterdziestu tysięcy neuronów na milimetr sześcienny i każdy z nich łączy się za pomocą kilkuset synaps z innymi. W każdym momencie niektóre neurony są poniżej poziomu aktywności, a inne, jak to ujął sir John Eccles, w stanie „chwicznej równowagi”- gotowe do strzału. Jeśli choć jeden uaktywni się, może spowodować rozładowanie setek tysięcy innych w ciągu dwudziestu minisekund. Oscylujące pole stwarzało selektywnie taki impuls, aby dać operatorowi pojęcie o tym, co dzieje się w mózgu Hangmana. Hangman także wyposażony był w analogiczne urządzenie. Sądzono, że wzbudzi to w nim lojalność, poczucie odpowiedzialności i uczyni go w ten sposób bliższym psychicznie człowiekowi.

- Myślisz, że mógł to być jeden z powodów późniejszego niepowodzenia?

- Kto wie. Trudno być pewnym w tak wyjątkowej sprawie. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym „tak”, ale to tylko domysły.

- Hm, a jakie były jego fizyczne możliwości?

- Miał budowę zbliżoną do ludzkiej z powodu początkowych koncepcji sterowania i ze względów psychologicznych, o których właśnie mówiłem. Mógł pilotować swój statek kosmiczny. Nie potrzebował systemów podtrzymywania życia. Tak jak jego statek, czerpał

energię z syntezy termojądrowej. Sam potrafił się naprawić. Był zdolny do wykonania dużej ilości skomplikowanych testów i pomiarów, do prowadzenia obserwacji, sporządzania i przesyłania sprawozdań oraz do uczenia się. Mógł przebywać praktycznie w każdym otoczeniu. Na planetach zewnętrznych zużywał nawet mniej energii, gdyż mniejszym problemem było chłodzenie mózgu, wymagającego temperatury bliskiej zera absolutnego.

- Jaką miał siłę?

- Nie pamiętam szczegółów, ale był około dwunastu razy silniejszy od człowieka.

- Wysłano go najpierw na io, a potem rozpoczęła badanie Europy.

- Wiem.

- Gdy sądzono, że już się przystosował, zaczął zachowywać się dziwnie. Odmówił udania się na Callisto i wyruszył na Uran.

- Tak, czytałem o tym...

- Funkcjonował coraz gorzej. Na przemian nie odzywał się przez dłuższy czas, a potem przysyłał zniekształcone informacje. Teraz, gdy wiem więcej o jego budowie, przypomina mi człowieka popadającego w obłąd.

- Rzeczywiście jest podobieństwo.

- Udało mu się na krótko pozbierać jeszcze raz. Wylądował na Tytanie i zaczął przysyłać pozornie poprawne raporty. Nie trwało to długo. Znow zaczął zachowywać się irracjonalnie i poinformował, że zamierza wylądować na samym Uranie. Nie otrzymaliśmy od niego więcej żadnych przekazów. Teraz, kiedy wiem o tym aparacie odczytującym myśli, rozumiem, dlaczego psychiatra mógł być tak pewny, że Hangman już na zawsze przestał funkcjonować.

- Nigdy nie słyszałem o tym.

- Dwa dni temu statek Hangmana wylądował czy też rozbił się w Zatoce Meksykańskiej.

- Nie rozumiem.

- Wczoraj rano znaleziono zabitego Manny'ego Burnsa. Był właścicielem restauracji. Znaleziono go w jego biurze w Maison Saint-Michel w Nowym Orleanie.

- Nie widzę związku...

- Burns był jednym z czwórki operatorów, którzy programowali, czy też szkolili Hangmana. Zapadła cisza.

- Przypadek? - zapytałem w końcu.

- Mój klient tak nie uważa.

- Kto to jest?

- Jeden z trzech pozostałych członków grupy. Jest pewien, że Hangman wrócił, by zemścić się na całej czwórce.

- Czy poinformował o tym swoich dawnych pracodawców?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo musiałby powiedzieć im o przyczynach swoich obaw.

- To znaczy?

- Mnie też ich nie zdradził.

- Więc jak może oczekiwać, że wykonasz zadanie, które ci zlecił?

- Powiedział mi, czego oczekuje. Chce, aby zrobić dwie rzeczy: mam mu dostarczyć dobrej ochrony osobistej i zniszczyć Hangmana. Pierwszą już załatwiłem.

- A ja mam zająć się drugą?

- Potwierdziłeś moją opinię, że jesteś właściwym człowiekiem do zajęcia się tą sprawą. Podejmiesz się jej?

- Chcę wiedzieć więcej, zanim podejmę decyzję. Na przykład: kim jest twój klient, kim są pozostali operatorzy, gdzie mieszkają, co robią, co...?

Uniósł rękę.

- Naszym klientem jest szanowny Jesse Brockden, senator z Wisconsin. Jest to oczywiście wiadomość ściśle poufna.

Skinąłem głową.

- Przypominam sobie, że brał udział w programie kosmicznym, zanim zajął się polityką. Mógłby przecież bez trudności załatwić sobie ochronę rządową.

- Ale musiałby zapewne wyjawić im coś, o czym nie chce wspominać. Mogłoby to prawdopodobnie zwichnąć jego karierę. Nie chce ich, ale nas.

- A inni? Też nas potrzebują?

- Wręcz przeciwnie. Nie zgadzają się absolutnie z Brockdenem. Wydaje się, że uważają go za szalonego.

- Czy utrzymują obecnie ze sobą jakiś kontakt?

- Mieszkają w różnych częściach kraju i nie widzieli się od lat. Czasami kontaktują się ze sobą.

- Kiepskie podstawy do diagnozy.

- Jeden z nich jest psychiatrą.

- O, a kto taki?

- Nazywa się Leila Thackery. Mieszka w St. Louis, pracuje w tamtejszym szpitalu

stanowym.

- Nikt z nich nie zwrócił się do federalnych lub lokalnych władz?

- Nikt. Brockden kontaktował się z nimi, gdy dowiedział się o Hangmanie. Był wtedy w Waszyngtonie. Od razu dowiedział się o lądowaniu statku i postarał się, aby sprawa nie nabrała rozgłosu. Próbował skontaktować się z resztą i w trakcie prób dowiedział się o Burnsie. Zwrócił się do mnie i usiłował namówić pozostałą trójkę do przyjęcia mojej ochrony. Nie zgodzili się. Doktor Thackery, gdy z nią rozmawiałem, powiedziała, że Brockden jest bardzo ciężko chory.

- Co mu jest?

- Rak. Nic nie da się już zrobić. Brockden liczy na sześć miesięcy życia, aby móc ukończyć projekt ustawy dotyczącej amnestii za przestępstwa kryminalne. Muszę przyznać, że zachowuje się dość paranoicznie, mówiąc o swoich obawach. Ale, do diabła, kto by tak nie robił! Thackery jest pewna, że śmierć Burnsa nie ma związku z Hangmanem. Sądzi, że Burns padł ofiarą włamywacza, który zaskoczony wpadł w panikę i uderzył za mocno.

- Nie boi się Hangmana?

- Powiedziała, że ma lepsze podstawy do oceny jego psychiki niż ktokolwiek inny i że nie widzi powodu do niepokoju.

- A czwarty z nich?

- Stwierdził, że również nie widzi powodu do obaw.

- Skąd ta pewność?

- David Fentris jest inżynierem - konsultantem w dziedzinie elektroniki i cybernetyki.

Brał udział w tworzeniu Hangmana.

Był chyba o piętnaście lat starszy ode mnie. Pracowaliśmy razem przy tworzeniu Centralnego Banku Danych. Gdy większość z nas zaczynała już mieć wątpliwości, David ciągle pozostawał wielkim entuzjastą. Miał około metra siedemdziesięciu wzrostu; lekko siwiejący, nosił silne okulary w rogowej oprawie. Przeważnie bardzo zapracowany i wiecznie czymś podekscytowany. Rzucane przezeń w pośpiechu nie przemyślane i nie dokończone uwagi mogły nasuwać podejrzenie, że znalazł się na swoim niewiele znaczącym stanowisku dzięki czyjejś protekcji. Gdy jednak już ktoś zadał sobie trochę trudu, aby przysłuchiwać się, co mówił, zmieniał o nim zdanie i w końcu zaczynał zastanawiać się, dlaczego taki- człowiek marnuje się na podrzędnym stanowisku. Gdy nie był rozentuzjasmowany, popadał czasem w głęboki smutek. Szalony entuzjazm jest dobry na krótką metę, ale w poważniejszych sprawach przydaje się opanowanie. Nie zdziwiło mnie, gdy usłyszałem, że skończył jako konsultant.

Podstawowym pytaniem było oczywiście, czy mnie rozpozna. Wprawdzie zmienił się mój wygląd i osobowości, jak również zwyczaje, ale czy to wystarczy, gdy spotkam się z nim, wykonując zadanie. Potrafił dochodzić do interesujących wniosków, mając bardzo niewiele danych.

- Gdzie on mieszka? - zapytałem.

- W Memphis.

- Czy senator Brockden jest dalej w Waszyngtonie?

- Nie. Wrócił do Winsconsin i przebywa teraz w północnej części stanu pod opieką czterech moich ludzi.

Dolałem kawy. Nie podobała mi się ta sprawa i postanowiłem jej nie brać. Nie chciałem jednak powiedzieć po prostu „nie”, gdyż zlecenia Dona były dla mnie bardzo istotne, a sprawa, mimo wszystko, wydawała się interesująca. Zauważyłem, że Don przykłada do niej dużą wagę i że zależy mu, abym zajął się nią. Zdecydowałem, że będę się starał szukać dziury w całym i dążył do zredukowania mojej roli tylko do ochrony senatora.

- To dziwne, że tylko Brockden jest przestraszony - stwierdziłem.

- Racja.

- I że nie chce podać powodów.

- Zgadza się.

- No i stan jego zdrowia, który, jak uważa Thackery, może mieć silny wpływ na stan umysłu.

- Nie mam wątpliwości, że reaguje neurotycznie - przytaknął. - Popatrz na to.

Był to blankiet Kongresu. Pismo było odręczne i niedbałe. Don - czytałem - muszę się z tobą spotkać. Potwór Frankensteina wrócił do nas i szuka mnie. Ten cały cholerny wszechświat stara się mnie zniszczyć. Zadzwoń między ósmą a dziesiątą. Jesse.

Przejrzałem list jeszcze raz i oddałem go Donowi. Niech to szlag trafi!

Napiłem się kawy. Myślałem do tej pory, że nic już się nie zmieni w moim życiu. Na kartce dostrzegłem nadruk informujący, że Brockden jest członkiem komisji powołanej do oceny programu Centralnego Banku Danych. Przypomniałem sobie, że komisja miała rozważyć projekty reform systemu. Nie potrafiłem przypomnieć sobie na poczekaniu stanowiska senatora w tej sprawie, ale... Nie, program był zbyt rozrośnięty, aby można go było znacznie zmienić. To było jedyne monstrum, które mnie interesowało i zawsze istniała szansa, że...

A jeśli nie uda mi się ochronić Brockdena i zginie jedyny człowiek, który mógłby...?

Napiłem się znów kawy i zapaliłem następnego papierosa.

Mogę działać tak, aby nie spotkać się z Fentrisem. Najpierw porozmawiam z Leilą Thackery, następnie zbadam okoliczności śmierci Burnsa i dowiem się więcej o statku Hangmana. Mógłbym rozwiązać sprawę lub przynajmniej ustalić, że obawy Brockdena są bezpodstawne, bez konieczności spotkania się z Dave'em.

- Masz szczegóły dotyczące Hangmana? - zapytałem.

- Proszę bardzo. Podał mi papiery.

- Raport policji o zabójstwie Burnsa?

- Jest tutaj.

- Adresy wszystkich zamieszanych w sprawę i jakieś dane o nich.

- Też przygotowałem.

- Podaj mi jeszcze adres, pod którym będę mógł cię znaleźć o każdej porze dnia i nocy. To będzie wymagało koordynacji.

Uśmiechnął się i sięgnął po pióro.

- Cieszę się, że jesteś z nami - stwierdził.

Obudził mnie telefon. Na wpół śpiąc, dotarłem do niego i podniosłem słuchawkę.

- Słucham.

- Pan Donnę? Jest godzina ósma.

- Dziękuję.

Opadłem na krzesło. Zawsze budzę się powoli, jakbym powtarzał w skrócie historię rozwoju gatunku. Podstawowe odruchy stopniowo przeradzały się w moim umyśle w to, co nazywamy świadomością. Wolno wyciągnąłem zmarzniętą rękę w kierunku telefonu i wystukałem numer recepcji. Po usłyszeniu głosu recepcjonistki wyjęczałem prośbę o jedzenie i mnóstwo kawy. Pół godziny później wydawałbym już tylko nieartykułowane dźwięki. Następnie udałem się do łazienki, aby doprowadzić się do stanu używalności.

Nie spałem zbyt wiele poprzedniej nocy. Po wyjściu Dona zwinąłem interes, napakowałem kieszenie niezbędnymi przedmiotami, opuściłem „Proteusa” i udałem się na lotnisko, skąd dotarłem przed świtem do St. Louis. Nie mogłem zasnąć podczas lotu, myśląc o taktyce, jaką zastosuję wobec dr Thackery. Po wylądowaniu wziąłem pokój w motelu, zamówiłem budzenie na ósmą i zapadłem w sen.

Jedząc przejrzałem informacje dostarczone mi przez Dona.

Leila Thackery była od dwóch lat rozwiedziona ze swoim drugim mężem. Mieszkała niedaleko szpitala, w którym pracowała. Miałem także jej fotografię, chyba sprzed dziesięciu lat. Na zdjęciu widać było jasnooką brunetkę, zdradzającą nieznaczną tendencję do nadwagi.



Na jej zadartym nosie tkwiły trochę ekstrawaganckie okulary. Dowiedziałem się, że opublikowała sporo artykułów i książek z tytułami pełnymi określeń w rodzaju: „alienacja”, „rola społeczna” „konteks socjalny”, et cetera.

Nie miałem czasu poczynić zwykłych przygotowań, by stać się nową osobą z nowym, nie budzącym wątpliwości życiorysem. Wymyśliłem tylko przekonywającą historyjkę, no i oczywiście nowe nazwisko. Tym razem to musiało wystarczyć.

Pojechałem taksówką pod jej mieszkanie. Nie telefonowałem, gdyż przez telefon łatwiej jest odmówić.

Zgodnie z moimi informacjami miała dziś dzień przyjęć w domu. Pewnie uważała, że w ten sposób przełamuje alienującą atmosferę szpitala, a sytuacja przypominająca zwykłą rozmowę towarzyską pomaga pozbyć się pacjentom zahamowań. Nie zamierzałem zajmować jej dużo czasu. Zresztą brałem pod uwagę to, że i tak nie będę mógł z nią zbyt długo rozmawiać między kolejnymi wizytami.

Właśnie znalazłem jej nazwisko i numer mieszkania na domofonie, gdy jakaś starsza pani przeszła obok i otworzyła drzwi. Spojrzała na mnie, przytrzymała drzwi i mogłem wejść. Po prostu kwestia dobrej prezencji.

Wjechałem windą na pierwsze piętro, znalazłem mieszkanie Leily Thackery i zapukałem. Już zamierzałem zapukać ponownie, gdy drzwi uchyliły się odrobinę.

- Słucham pana? - powiedziała Thackery. Wyglądała niemal identycznie jak na zdjęciu.

- Nazywam się Donnę. Czy mogłaby pani pomóc mi w pewnej sprawie?

- A jaka to sprawa?

- Dotyczy urządzenia zwanego Hangman. Westchnęła i skrzywiła się ledwo dostrzegalnie. Jej palce zacisnęły się mocniej na drzwiach.

- Przybyłem z daleka, ale nie sprawię pani kłopotu. Mam tylko kilka pytań.

- Czy pracuje pan dla rządu?

- Nie.

- A może dla Brockdena?

- Też nie.

- Zgoda. Mam teraz sesję grupową, która potrwa jeszcze z pół godziny. Jeśli pan poczeka na dole dam panu znać, kiedy będę wolna. Możemy wtedy porozmawiać.

- W porządku, dziękuję pani.

Znalazłem schody i zszedłem na dół.

Wypaliwszy papierosa, doszedłem do wniosku, że trzeba jakoś zabić czas. Podeszedłem

do spisu mieszkańców. Przeczytałem kilka nazwisk z czwartego piętra i wjechałem na nie windą. Zapukałem do drzwi. Zanim otworzyły się, wyjąłem notes.

- Słucham?

Kobieta była niska, około pięćdziesiątki i wyraźnie zaciekawiona.

- Nazywam się Stephen Foster. Przeprowadzam ankietę dla Stowarzyszenia Amerykańskich Konsumentów. Zapłacę pani za kilka minut, które zajmę, zadając pytania dotyczące produktów, których pani używa.

- Nie rozumiem. Chce mi pan płacić?

- Tak, pani Gluntz. Dziesięć dolarów za kilkanaście pytań. To zajmie dosłownie minutę. Otworzyła szerzej drzwi.

- Proszę, niech pan wejdzie.

- Nie, dziękuję. Pierwsze pytanie dotyczy detergentów...

Po dziesięciu minutach byłem znów na korytarzu. Dopisałem do kosztów własnych trzydzieści dolarów za trzy rozmowy. Gdy sytuacja jest skomplikowana i trudna do przewidzenia, improwizuję i staram się wtedy nie oszczędzać na kosztach dodatkowych.

Po kilkunastu minutach z windy wysiadło trzech facetów: dwóch młodych i jeden w średnim wieku. Byli niedbale ubrani i śmiali się z czegoś.

Ten, który był najbliżej, podszedł i zwrócił się do mnie.

- Kolego, to ty chcesz rozmawiać z doktor Thackery?

- Tak.

- Powiedziała, żebyś przyszedł.

- Dzięki.

Znalazłem się znów pod jej drzwiami. Zapukałem. Wpuściła mnie do środka i usadowiła w fotelu.

- Napije się pan kawy? Jest jeszcze ciepła, zrobiłam o jedną za dużo.

- Z przyjemnością, dziękuję. Po chwili przyniosła dwie filiżanki, postawiła jedną przede mną i usiadła na kanapie. Napiłem się kawy.

- Zainteresował mnie pan. Proszę powiedzieć, co pana sprowadza.

- Chętnie. Zostałem poinformowany, że zdalnie sterowane urządzenie, znane jako Hangman i obdarzone sztuczną inteligencją, powróciło na ziemię.

- To przypuszczanie, chyba że ma pan jakieś nie znane mi informacje. Wiem, że statek Hangmana powrócił na ziemię i spadł do Zatoki Meksykańskiej. Nie ma podstaw, aby sądzić, że Hangman był w środku. Według mnie, wiele lat temu wysłał swój pojazd do punktu spotkania i gdy się tam nie zjawił o czasie, pojazd wyruszył z powrotem na Ziemię.

- W jakim celu miałyby pozostawać poza Ziemią?

- Zanim odpowiem, chciałabym znać powody pańskiego zainteresowania tym tematem. Pan jest dziennikarzem?

- Nie, piszę książki popularnonaukowe. Tym razem nie szukam materiału do książki, lecz zostałem zaangażowany, aby sporządzić raport o Hangmanie.

- Kto panu to zlecił?

- Prywatny zespół badawczy. Interesuje ich, co mogło wpłynąć na psychikę Hangmana i jak będzie postępował, o ile rzeczywiście powrócił. Dowiedziałem się, że jego osobowość była wynikiem oddziaływania umysłów czworga operatorów, którzy czuwali nad jego rozwojem. Wydało mi się, że dla uzyskania opinii niezbędny jest tu kontakt osobisty. Z oczywistych powodów postanowiłem się najpierw spotkać z panią.

- Jakiś pan Walsh zwracał się niedawno dop mnie. Pracował dla senatora Brockdena.

- Nigdy nie wnikam w interesy klienta bardziej, niż wymaga tego zlecenie. Zamierzam rozmawiać również z senatorem i z Davidem Fentrisem.

- Wie pan o Mannym Burnsie?

- Tak. Prawdziwe nieszczęście.

- Sądzę, że to właśnie tak zaniepokoiło senatora. Brockden trzyma się teraz kurczowo życia, bo chce ukończyć kilka spraw, którymi się zajmował - a czasu zostało mu niewiele. Każda chwila jest dla niego cenna. Teraz gdy statek powrócił, Jesse przypomniał sobie, że Hangman podczas ostatnich transmisji zaczynał zachowywać się irracjonalnie. Biorąc pod uwagę sytuację, w której znalazł się z Jesse, trudno mu się dziwić. Nie widzę nic złego w zaspokojeniu jego humorów, jeśli pozwoli mu to skończyć podjęte prace.

- Według pani nie ma żadnego zagrożenia?

- Nie. Byłam ostatnią osobą, która miała kontakt z Hangmanem, zanim urwała się transmisja. Najpierw nauczyliśmy go posługiwać się zmysłami, które posiadał i poruszać się. Wiele innych wzorców zostało przeniesionych do jego mózgu z umysłów operatorów, lecz początkowo były one dla niego zbyt skomplikowane. Dziecko może zapamiętać wiele informacji, których nie potrafi jeszcze wykorzystywać, lecz w późniejszym okresie mogą one stać się istotne, a nawet mogą stać się bodźcem do określonych działań. Wyobraźmy sobie, że dziecko przyswoiło sobie wiele sprzecznych wzorców, wspomnień, nastawień i tak dalej. Nie jest to dla niego problemem, dopóki pozostaje dzieckiem. Gdy zaczyna jednak dorastać, sprzeczności stają się coraz trudniejsze do pokonania. Pamiętajmy, że Hangman otrzymał nie informacje, lecz cztery różne i ukształtowane już osobowości. Proszę sobie wyobrazić konflikty i sprzeczności, które powstają, gdy jest się czterema osobami na raz.

- Dlaczego nie wzięto tego z góry pod uwagę? - zapytałem.

- Nie doceniono wrażliwości neurystorowego mózgu - odparła z uśmiechem. - Zakładano, że operatorzy będą dostarczali Hangmanowi informacji i konstruując w nim wyjściowy model świata. Potem rozwój miał być już samodzielny. Początkowo zdawało się, że to słuszna koncepcja. Nastąpiło jednak to, co określa się mianem imprintingu. Oprócz informacji, które zamierzano przekazać, wpojone zostały inne właściwości umysłów operatorów. Początkowo nie zaktywizowały się, więc nie zostały wykryte. Pozostawały w uśpieniu do chwili, gdy psychika Hangmana stała się dostatecznie złożona. Wtedy było już za późno. Nagle obudziły się w jego umyśle cztery różne osobowości i prawdopodobnie nie potrafił ich skoordynować. Gdy usiłował rozdzielić je, popadał w stan zbliżony do schizofrenii, a próbując je połączyć, ulegał katatonii. Zaczai oscylować między tymi dwiema skrajnościami. Następnie zerwał kontakt z Ziemią. Przypuszczam, że można to porównać do ataku epilepsji. Coraz silniejsze prądy z jego mózgu doprowadzić musiały do skasowania informacji, co oznacza śmierć lub demencję.

- Rozumiem - powiedziałem. - Przypuśćmy jednak, że udało się zintegrować osobowość lub że popadł w schizofrenię, lecz nie uległ dezintegracji. Jak według pani postępowałby w każdym z tych przypadków?

- No cóż... Sądzę, że istniały fizyczne ograniczenia nie pozwalające mu na dłuższą egzystencję z zachowaniem różnych osobowości. Jeśli jednak mu się to udało, musiał pogodzić cztery różne psychiki, istniejące obok jego własnej. Sytuacja jest tu krańcowo odmienna od przypadku człowieka cierpiącego na schizofrenię. Hangman miał do czynienia z czterema autentycznymi osobowościami a nie jedynie z wytworami własnej psychiki. Te osobowości były mocno ukształtowane i mogły się nawet rozwijać. Mogły się też degenerować lub popadać w ostre konflikty między sobą, a w każdym razie oddziaływać na siebie. Jak widać, jest to sytuacja tak skomplikowana, że nie da się przewidzieć efektu końcowego.

- Czy mogę dopowiedzieć?

- Bardzo proszę.

- Przypuśćmy, że po okresie ostrych wewnętrznych konfliktów Hangman opanował swą psychikę. Pokonał kwartet demonów, rozszarpujących jego jaźń i w trakcie tego procesu zniecierlił tych, którzy byli przyczyną jego cierpienia. Postanowił więc powrócić i zniszczyć ich, aby wyzwolić się ostatecznie.

Uśmiechnęła się.

- Porzucił pan właśnie koncepcję schizofrenii i wybrał wariant pełnej autonomii. To

jest sytuacja skrajna - bez względu na założenia, które pan przyjął.

- Zgadzam się z pani zastrzeżeniem, ale co pani sądzi o moich wnioskach?

- Twierdzi pan, że skoro przetrwał, to znenawidził nas. Uważam to za nieuczciwą próbę wykorzystania teorii Freuda. Edyp i Elektra w jednym ciele próbują uśmiercić czworo swych rodziców - sprawców wszystkich cierpień, napięć, lęków mających źródło w przeżyciach w okresie dzieciństwa. Nawet Freud nie rozważał takiej sytuacji. Jak to nazwać?

- Może „kompleks Hermakis”?

- Hermakis?

- Hermafrodyta połączony jednym ciałem z nimfą Salmakis. Taka istota mogłaby mieć czworo rodziców i popaść z nimi w konflikt.

- Wspaniale - odrzekła uśmiechając się. - Jeśli sztuka nie czyni nic więcej, przynajmniej może dostarczyć nauce metafor. Pańskie określenie jest ryzykowne i zbyt antropomorficzne. Chciał pan usłyszeć moją opinię. Sądzę, że jeśli Hangman poradził sobie z takimi problemami, to tylko dzięki różnicy między jego mózgiem a mózgiem ludzkim. Człowiek nie mógłby wyjść zwycięsko z takiej próby. Jeśli Hangmanowi się to udało, to musiał pokonać tyle sprzeczności i tak głęboko wniknąć w swoją psychikę, że efektem nie mogła być nienawiść. Strach i niepewność, które są źródłem nienawiści, musiały zostać przezwyciężone. Pozostał pewnie niesmak i ewentualnie chęć potwierdzenia swej wartości.

- Uważa więc pani, że jeśli Hangman istnieje jeszcze jako istota myśląca, to jedynym uczuciem, jakie żywi do swoich operatorów, jest pragnienie, aby nie mieć z nimi więcej do czynienia?

- Tak właśnie sądzą. Przykro mi z powodu pańskiego pomysłu z kompleksem Hermakis. Jak widać, istnieją dwie możliwości: albo Hangmana zniszczyła schizofrenia, albo pokonał wewnętrzne rozdarcie, co wyklucza nienawiść.

Jak mógłbym ująć to taktownie? Zdecydowałem, że nie da rady.

- Wszystko wygląda pięknie, ale czy nie wydaje się pani, że Hangman ma powód, by dążyć do waszej śmierci? Na przykład jakieś zdarzenia w przeszłości.

Trudno było wyczytać coś na jej twarzy, ale należało się tego spodziewać po profesjonalistce.

- Jakie zdarzenia ma pan na myśli?

- Sam nie wiem.

- Ja niestety także.

- Wobec tego nie mam chyba więcej pytań. Dopilem kawę i odstawiłem filiżankę.

- Dziękuję pani za czas, który zabrałem i za kawę. Ta rozmowa bardzo mi pomogła.

Wstałem.

- Co pan teraz zamierza?

- Nie jestem jeszcze zdecydowany. Chciałbym wywiązać się jak najlepiej z powierzonego mi zadania. Czy mogłaby mi pani coś doradzić?

- Niestety nie. Przedstawiłam panu jedyną wersję, która ma potwierdzenie w faktach.

- Nie sądzi pani, że David Fentris może być pomocny? Żachnęła się, a następnie westchnęła głęboko.

- Nie dowie się pan od niego niczego ciekawego.

- Dlaczego? Ze sposobu, w jaki pani to powiedziała...

- Wiem. Nie to miałam na myśli. Niektórzy ludzie szukają ucieczki w religii. Ci, którzy robią to późno, wyróżniają się gorliwością i wypaczają podstawowe pojęcia. Wszystko u nich ma zabarwienie religijne.

- Fanatyzm?

- Niezupełnie. Raczej niewłaściwie ukierunkowana gorliwość z domieszką masochizmu. Przepraszam, nie powinnam stawiać diagnozy na odległość ani wpływać na pańską opinię. Proszę zapomnieć o tym, co powiedziałam. Niech pan wyrobi sobie własne zdanie.

Uniosła głowę, oceniając moją reakcję.

- Nie jestem jeszcze pewien, czy będę chciał się z nim spotkać. Jak religia może wpływać na stosunek do techniki?

- Rozmawiałam z Fentrisem po tym, jak Jesse przekazał nam wiadomość o powrocie statku. Odniosłam wrażenie, że według niego stwarzając sztuczną inteligencję, wkroczyliśmy na obszar zarezerwowany dla Boga. Nasz twór oszalał, gdyż był dziełem niedoskonałego człowieka. Fentris uznał za naturalne, że Hangman powrócił, aby ukarać nas w imieniu Wszchemogącego.

- Zaskakujące.

Uśmiechnęła się, a ja odpowiedziałem uśmiechem.

- Być może był w złym nastroju. Sam pan zresztą najlepiej oceni.

Nie zgadzało się to z moimi wspomnieniami o Davie ani z uwagami Dona. Postanowiłem nie okazywać swoich wątpliwości. Było w tym coś, co musiałem rozszyfrować, lecz teraz nie chciałem jej naciskać.

- Myślę, że dowiedziałem się wszystkiego, co było mi potrzebne. Miałem zająć się aspektem psychologicznym, a nie konstrukcyjnym lub teologicznym. Bardzo mi pani pomogła. Jeszcze raz dziękuję.

Odprowadzając mnie do drzwi, uśmiechała się cały czas.

- Nie ma za co. Chętnie dowiem się, jaki będzie finał tej sprawy. Ma pan mój telefon?

- Chyba tak...

Miałem numer jej telefonu, ale zapisałem go jeszcze raz, tuż pod odpowiedziami pani Gluntz na moje pytania dotyczące środków piorących.

Udało mi się uzyskać szybkie połączenie. Dotarłem do portu lotniczego, kupiłem bilet na lot do Memphis i w ostatniej chwili znalazłem się na pokładzie samolotu. Nie zdążyłem się nawet wymeldować z motelu. Pani doktor upewniła mnie, że muszę zaraz odwiedzić Davida Fentrisa. Byłem przekonany, że zataiła coś przede mną. Musiałem zaryzykować i na własne oczy przyjrzeć się Fentrisowi; sam ujrzeć rzekome zmiany, jakie w nim nastąpiły i ocenić ich związek ze sprawą Hangmana. Z wielu powodów sądziłem, że związek ten może istnieć.

Gdy wylądowałem, był chłodny, pochmurny ranek. Od razu udałem się do biura Fentrisa. Zbierało się na burzę. Ciemna ściana chmur zbliżała się z zachodu. Gdy już stałem przed budynkiem, w którym znajdowało się biuro, pierwsze krople deszczu spadły na jego brudną ścianę. Nawet oberwanie chmury nie oczyściłoby ani tego budynku, ani żadnego innego w pobliżu.

Strząsnąłem kilka kropli z ubrania i wszedłem do środka. Znalazłem właśnie drzwi; zapukałem. Po chwili zapukałem znowu. Bez rezultatu. Nacisnąłem klamkę i drzwi otworzyły się. Wszedłem do małej poczekalni. Podłoga była wyłożona zielonym dywanem. Na stoliku leżała warstewka kurzu. Podeszedłem do przepierzenia za stolikiem i zajrzałem do sąsiedniego pomieszczenia. Zobaczyłem człowieka odwróconego do mnie plecami. Chrząknąłem głośno. Odwrócił się w moją stronę.

- Słucham?

Spojrzeliśmy na siebie. Nosił w dalszym ciągu okulary w rogowej oprawce, lecz szkła były grubsze niż dawniej. Policzki miał trochę bardziej zapadnięte, a włosy rzadsze. Nic nie wskazywało na to, że mnie poznaje. Przed nim leżał plik jakichś schematów. Na stole obok spoczywał odwrócony do góry dnem koślawy pojemnik.

- Nazywam się Donne, John Donne - przerwałem milczenie. - Szukam Davida Fentrisa.

- To ja.

- Miło mi pana poznać - powiedziałem, podchodząc do niego. - Biorę udział w badaniach dotyczących przedsięwzięcia, w którym pan kiedyś uczestniczył...

- Pewnie chodzi o Hangmana. Miło mi pana poznać.

- Tak, chodzi o Hangmana. Sporządzam sprawozdanie...

- I chce pan poznać moją opinię na temat niebezpieczeństwa, jakie on stanowi. Proszę usiąść. - Wskazał mi krzesło. - Może napije się pan herbaty?

- Nie, dziękuję.

- Mam już przygotowaną.

- Jeśli nie sprawi to panu kłopotu... Podeszedł do jednego ze stołów.

- Niestety nie mam śmietanki.

- Nic nie szkodzi. Jak pan się domyślił, że chodzi mi o Hangmana?

Zaśmiał się, podając mi filiżankę.

- Słyszałem, że powrócił, a poza tym jest to jedyne przedsięwzięcie z tych, w których brałem udział, warte zainteresowania.

- Nie ma pan nic przeciwko rozmowie na ten temat?

- Do pewnych granic.

- Jakie to granice?

- Powiem, gdy się do nich zbliżymy.

- Dobrze. Jak bardzo niebezpieczny jest Hangman?

- Powiedziałbym, że jest nieszkodliwy dla wszystkich oprócz trzech osób.

- Do niedawna dla czterech.

- Ma pan rację.

- Dlaczego?

- Robiliśmy coś, co wykaczało poza nasze kompetencje.

- To znaczy?

- Przede wszystkim odważyliśmy się stworzyć sztuczną inteligencję.

- Czy właśnie to przekraczało wasze kompetencje?

- Człowiek noszący pańskie nazwisko powinien to zrozumieć.

Uśmiechnąłem się.

- Gdybym był kaznodzieją, powiedziałbym, że Biblia nie zakazuje takich praktyk, o ile nie prowadzą one do bałwochwalstwa.

Pokręcił głową.

- Nie jest to takie proste i oczywiste. Wiele czasu upłynęło, odkąd napisano Biblię i nie można jej dziś interpretować tak dosłownie. Chodziło mi o coś bardziej abstrakcyjnego. O rodzaj dumy - stawianie siebie na jednym poziomie ze Stwórcą.

- Czy odczuwał pan ją?

- Tak.

- I jest pan pewien, że nie był to po prostu entuzjazm wywołany sukcesem w tak



ambitnym przedsięwzięciu?

- To przejaw tego samego.

- O ile mnie pamięć nie myli, człowiek został stworzony na obraz Boga i miał naśladować go w miarę swych możliwości. Wasza działalność była więc krokiem we właściwym kierunku - dążeniem do naśladowania Stwórcy

- Nie ma pan racji. Człowiek nie może tworzyć. Może jedynie zmieniać to, co już istnieje. Tylko Bóg może tworzyć.

- Więc nie ma się czym przejmować. Zmarszczył brwi.

- Myli się pan. Świadome próby w tym kierunku są występkiem przeciw Bogu.

- Czy uważał pan tak w trakcie projektu czy dopiero po fakcie?

- Teraz już sam nie jestem pewny- odparł po chwili.

- Więc sędzę, że miłościwy Pan będzie skłonny uwzględnić wątpliwości na korzyść pana. Uśmiechnął się smutno.

- Nieźle, panie Donnie, ale czuję, że wyrok już zapadł i przegraliśmy tę sprawę.

- Sądzi pan, że Hangman jest aniołem zemsty?

- Czasami. Uważam, że przybył, aby wykonać wyrok.

- Załóżmy, że Hangman, mając potrzebny sprzęt, zbudował swojego sobowtóra. Czy również obarczyłby go pan wtedy taką samą winą?

Potrząsnął głową.

- Niech pan nie będzie takim demagogiem. Być może się mylę, ale mogą istnieć inne przyczyny, prowadzące do tych samych skutków.

- Na przykład?

- Doszliśmy właśnie do granicy, o której mówiłem panu na początku naszej rozmowy.

- No cóż, stawia mnie to w trudnej sytuacji. Moi pracodawcy chcą zapewnić wam ochronę. Chcą powstrzymać Hangmana. Miałem nadzieję, że dowiem się czegoś więcej. Niech pan pomyśli o pozostałych osobach. Mogą nie podzielać pańskich poglądów, a pan sam dopuszcza możliwość pomyłki. Brak nadziei jest uważany przez wielu teologów za grzech.

Westchnął i podrapał się po nosie w sposób, jaki nie raz u niego widziałem.

- Czym pan się zajmuje?

- Piszę książki popularnonaukowe. Teraz sporządzam raport dla agencji, która zamierza zapewnić wam ochronę. Im więcej się dowiem, tym większe szansę, że ochrona będzie skuteczna.

Milczał przez chwilę.

- Dużo czytam, ale nie zetknąłem się z pana nazwiskiem.

- Większość moich książek dotyczy petrochemii i biologii morza.
- To dziwne, że agencja zatrudniła właśnie pana.
- Nie uważam tak; byłem akurat wolny, a szef zna mnie i uważa, że dam sobie radę.

Spojrzał w kierunku komputera, stojącego w kącie pokoju. Jeśli spróbuje sprawdzić moje dane personalne, natychmiast zorientuje się, że nie jestem tym, za kogo się podaje. Teraz gdy rozmawiał ze mną na tak osobiste tematy, sprawdzanie mnie byłoby dość niezręczne. Chyba pomyślał o tym samym, bo przestał przyglądać się komputerowi.

- Powiem panu, jak postąpię - powiedział w końcu i przypomniał mi w tym momencie Fentrisa w jego najlepszych czasach. - Tak czy inaczej uważam, że Hangman zamierza zabić swych operatorów. Jeśli to wyrok Boga, to tak się stanie. Jeśli nie, to i tak nie chcę niczyjej ochrony. Odprawiłam już pokutę i sam chcę przeciwstawić się zagrożeniu. Sam powstrzymam Hangmana, zanim wyrządzi komuś krzywdę.

- W jaki sposób?

Wskazał na błyszczący hełm.

- Za pomocą tego.
- Ale w jaki sposób? - powtórzyłem pytanie.

- Obwody komunikacyjne Hangmana są wciąż sprawne. Muszą być sprawne, bo są jego integralną częścią. Nie może ich odłączyć bez zniszczenia samego siebie. Jeśli zbliży się na odległość mniejszą niż pół kilometra, to hełm włączy się automatycznie. Zacznie wydawać niski dźwięk i zapali się światełko na jego przedniej części. Założę wtedy hełm i przejmę kontrolę nad Hangmanem. Sprowadzę go tu i odłączę jego mózg.

- Jak pan to zrobi?

Wziął do ręki jeden ze schematów, które przeglądał, gdy przyszedłem.

- Zdejmę płytę z przodu jego korpusu. W tym miejscu znajdują się cztery moduły, które należy odłączyć. - Wskazał mi je na schemacie. Podniósł głowę i spojrzał na mnie.

- Musi pan to zrobić w odpowiedniej kolejności, gdyż inaczej staną się bardzo gorące - powiedziałem odruchowo. - Najpierw ten, potem te dwa, a ten na końcu.

Gdy podniosłem wzrok, wpatrywał się we mnie z uwagą.

- Myślałem, że zajmuje się pan petrochemią i biologią morza.
- Nie zajmuję się żadną, konkretną dziedziną. Pisuję na tematy techniczne, więc znam po trochu wiele dziedzin. Zapoznałem się z tym, zanim przyjąłem tę sprawę.

- Rozumiem.

- Dlaczego nie zwróci się pan do agencji kosmicznej? - zapytałem, starając się zatrzeć swoje potknięcie. - Oni mają sprzęt o znacznie większej mocy i większym zasięgu.

- Został już dawno rozmontowany. Myślałem, że pracuje pan dla rządu.

- Przykro mi, nie chciałem wprowadzać pana w błąd. Pracuję dla prywatnego zleceniodawcy.

- A więc to Jesse. Nieważne. Niech pan mu powie, że czuwam nad wszystkim.

- A jeśli myli się pan co to tego? Jeśli najpierw zaatakuje kogoś z pozostałych? Weźmie pan wtedy winę na siebie? Będzie pan odpowiedzialny za śmierć człowieka - śmierć, której można uniknąć, jeśli powie mi pan trochę więcej. Zapewniam, że dochowam tajemnicy...

- Nie - odparł. - Nie uda się panu mnie nabrać. Hangman zjawi się teraz u mnie. Jeśli ja go nie powstrzymam, to nikomu się to nie uda, zanim nie wypełni swojej misji.

- Skąd pan wie, że teraz na pana kolej?

- Proszę spojrzeć na mapę. Wylądował w Zatoce Meksykańskiej. Manny był w pobliżu, w Nowym Orleanie, więc zginął pierwszy. Hangman może poruszać się pod wodą jak torpeda; będzie płynął w górę Missisipi. To najlepszy sposób, aby nie zwracać na siebie uwagi. Ja jestem następny na jego trasie. Następna będzie Leila w St. Louis, a później przyjdzie czas na podróż do Waszyngtonu.

Pomyślałem o senatorze Brockdenie w Wisconsin i doszedłem do wniosku, że podróż do Waszyngtonu nie będzie konieczna. Łatwo było ich dosięgnąć, korzystając z rzeki.

- Ale skąd będzie wiedział, gdzie was szukać?

- Dobre pytanie. Odbierał nasze fale mózgowie z dość dużej odległości i znał je bardzo dobrze. Nie wiem, jaki jest dzisiaj zasięg jego odbioru; mógł skonstruować jakiś wzmacniacz. Mógł też po prostu skorzystać z centralnego biura adresowego. W pobliżu rzeki znajduje się wiele budek telefonicznych. Nie jest dla niego problemem pokonanie zabezpieczeń. Ma wystarczająco dużo umiejętności i niezbędne dane.

- Wobec tego uważam, że powinniście przenieść się jak najdalej od rzeki, przynajmniej do czasu aż niebezpieczeństwo zostanie usunięte. Nie będzie mógł wędrować lądem bez zwracania na siebie uwagi.

- Znajdzie na to sposób. Ma ogromne możliwości. W nocy w płaszczu i kapeluszu może mu się to udać. Nie odczuwa ludzkich potrzeb. Może przecześć dzień w wykopanym przez siebie dole, pod ziemią. Może poruszać się z dużą szybkością przez dowolnie długi czas. Nie ma takiego miejsca, gdzie nie potrafiłby dotrzeć, i to bardzo szybko.

- Powiem bez ogródek - przerwałem mu. - Jeśli jest on rzeczywiście wysłannikiem Boga, to nic was nie uchroni. Jeśli nie, to uważam, że jest pan winien wystawiania na śmiertelne niebezpieczeństwo innych, bo nie chce pan wyjawiać faktów, które mogą zapewnić

im lepszą ochronę od pańskiej. Roześmiał się.

- Będą więc musiał nauczyć się żyć z tą winą, tak jak oni żyją ze swoimi. Zrobię wszystko, co potrafię, a jeśli mi się nie uda, to i tak zasłużyli na to, co ich spotka.

- O ile wiem, nawet Bóg nie sędzi ludzi, gdy są jeszcze wśród żywych. To następne założenie, które może pan dołączyć do swej kolekcji.

Przestał się śmiać i spojrzał na mnie uważnie.

- Pana sposób myślenia i argumentacji kogoś mi przypomina. Czy my się już kiedyś nie spotkaliśmy?

- Nie sędzę, pamiętałbym pana.

- Ten męczący sposób dyskusowania wydaje mi się znajomy. Sprawia mi pan kłopot.

- Nie miałem takiego zamiaru.

- Zatrzyma się pan w mieście?

- Nie.

- Proszę podać mi numer telefonu. Zadzwoń, jeśli przyjdzie mi do głowy coś podobnego.

- Wolałbym, żeby stało się to teraz.

- Muszę przemyśleć kilka spraw. Gdzie będę mógł pana znaleźć?

Dałem mu adres motelu w St. Louis, w którym byłem jeszcze zameldowany. Mogłem dowiadywać się telefonicznie, czy jest dla mnie jakaś wiadomość.

Przy drzwiach zatrzymałem się.

- Jeszcze jedno...

- Tak?

- Zadzwoń pan do mnie, jeśli powstrzyma pan Hangmana?

- Tak, zadzwonię.

- Dziękuję i życzę powodzenia.

Wyciągnąłem do niego rękę. Uścisnął ją i uśmiechnął się słabo.

Nie udało mi się przekonać Davida i nie mogłem liczyć na to, że dowiem się czegoś jeszcze od Leili Thackery. Na razie nie miałem po co dzwonić do Dona.

Przemyślałem wszystko w drodze na lotnisko. Godziny przedpołudniowe są najodpowiedniejsze do rozmów z osobistościami, a noc jest najlepsza do brudnej roboty. Zalatuje to mocno psychologią, nie mniej jednak jest prawdziwe. Nie zamierzałem tracić reszty dnia; postanowiłem z kimś porozmawiać, zanim skontaktuję się z Donem.

Manny Burns miał brata, Phila. Warto byłoby zamienić z nim parę słów. Mogłem dotrzeć do Nowego Orleanu o rozsądnej porze, porozmawiać z nim i jeszcze zadzwonić do

Dona po nowe informacje. Potem zdecyduję, czy warto zająć się samym statkiem kosmicznym.

Niebo było szare i deszczowe; opanowała mnie chęć uniknięcia tego, co szykowało dla mieszkańców Memphis.

Na lotnisku szybko kupiłem bilet. Spieszyłem się na samolot, który zaraz miał startować. Nagle w tłumie ujrzałem kogoś, kto wydał mi się znajomy. Ów też mnie dostrzegł i wpatrywał się we mnie przez moment ze zdziwieniem i podejrzliwością. Potem zniknął mi z oczu. Nie potrafiłem przypomnieć sobie, gdzie mogłem go spotkać. W tak liczny i ruchliwym społeczeństwie nie jest to rzadkie zjawisko. Czasami wydaje mi się, że wszystko, co po człowieku zostaje, to tylko ulotne wrażenie, kształt trochę bardziej wyraźny niż inne na tle potoku ludzi. Thomas Wolfe, chłopak z małego miasteczka, musiał kiedyś czuć coś podobnego, gdy widząc wielkie miasto, wymyślił określenie „mrowisko ludzkie”! Może spotkałem przelotnie tego człowieka lub tylko był podobny do kogoś, kogo spotkałem przelotnie.

Podczas lotu myślałem o nadziejach, jakie wiązano dawniej z badaniami nad sztuczną inteligencją. Rozważania i hipotezy na ten temat dały początek przekonaniu, że w komputerach tkwią nadzwyczajne zdolności, a odpowiednie algorytmy i procedury potrzebne są jedynie do uaktywnienia ich. Niewątpliwie wpływ na takie przekonanie wywarła dziewiętnastowieczna teoria zwana witalizmem. Utrzymywała ona, że życie powstało i istnieje dzięki tak zwanej sile życiowej, nie podlegającej prawom nauk przyrodniczych. Witalizm próbował odzyskać stracone pozycje, gdy w połowie dwudziestego wieku rozgorzała dyskusja wokół sztucznej inteligencji. Być może David padł ofiarą tej doktryny i doszedł do wniosku, że współdziałał w tworzeniu istoty, która nie została uświęcona Bożym błogosławieństwem, przysługującym tylko dzieciom Stwórcy.

W przypadku komputerów problem przedstawiał się znacznie prościej. Zawsze można było argumentować, że nawet najbardziej złożony komputer nie wykracza poza swój program; że zależy od inteligencji programisty - nie jest więc inteligencją samą w sobie.

Do Hangmana tego typu argumenty nie dawały się zastosować. Posiadał odpowiednik ludzkiego mózgu i jego edukacja była, przynajmniej częściowo, analogiczna do ludzkiej. W dodatku utrzymywał przez dłuższy czas bezpośredni kontakt z ludzkim umysłem, a więc według poglądów witalistycznych mógł przejąć od człowieka niemal wszystko, również i tę nieszczęsną siłę życiową. Czym się przez to stał? Tworem siebie samego? Wypaczonym odbiciem wypaczonej ludzkości? Jednym i drugim? Czymś jeszcze innym? Nie potrafiłem na to odpowiedzieć. Ciekaw byłem, jaka część jego osobowości była naprawdę jego. Nabył

wiele umiejętności, lecz czy był zdolny do uczuć. Czy potrafił kochać? Jeśli nie potrafił, był tylko skomplikowanym automatem, a nie przykładem siły życiowej bądź sztucznej inteligencji. W takim wypadku nie czułbym się, w przeciwieństwie do Davida, winnym powołania go do istnienia. Byłbym dumny, ale nie w sposób, o jakim mówił. Odczuwałbym też pokorę. Nie wiem, czy uważałbym się za inteligentnego, bo nie mam pojęcia, czym, do diabła, jest inteligencja.

Gdy wylądowaliśmy, niebo było czyste i słońce chyliło się ku zachodowi. Z lotniska udałem się do domu Philipa Burnsa.

Drzwi otworzyła dziewczynka w wieku siedmiu lub ośmiu lat. Wbiła we mnie duże, brązowe oczy, nie mówiąc ani słowa.

- Chciałbym rozmawiać z panem Burnsem - powiedziałem.

Odwróciła się i zniknęła w głębi mieszkania.

Po chwili w drzwiach pojawił się zwały mężczyzna, w kapciach i podkoszulku. Większa część jego czaszki była łyśa, a jego twarz miała rumianą barwę.

- Czego pan chce?

- Chodzi o pańskiego brata.

- Słucham?

- Czy mogę wejść? Sprawa jest raczej skomplikowana.

Otworzył szerzej drzwi, ale zamiast wpuścić mnie, sam wyszedł na zewnątrz.

- Niech mi pan tu powie, o co chodzi.

- Dobrze, będę się streszczał. Chciałbym dowiedzieć się, czy rozmawiał z panem o urzędzeniu zwanym Hangman.

- Pan jest policjantem?

- Nie.

- To o co chodzi?

- Pracuję dla prywatnego biura śledczego. Mam znaleźć pewne urządzenie. Podobno widziano je w tej okolicy. Może być niebezpieczne.

- Ma pan jakąś legitymację?

- Niestety nie zabrałem żadnej ze sobą.

- A nazwisko?

- John Donnę.

- Czy mój brat jest podejrzany o posiadanie jakiegoś skradzionego urządzenia?

Powiem panu, że...

- Nie chodzi o skradzione urządzenie i nie podejrzewam go o to, że mógłby je mieć.

- Więc w czym problem?

- To było coś w rodzaju robota. Manny przechodził specjalne szkolenie, dzięki czemu mógł wykrywać to urządzenie. Usiłujemy je odnaleźć. Przypuszczamy, że może się tu pojawić.

- Mój brat był szanowanym biznesmenem i wypraszam sobie jakieś oskarżenia. Szczególnie tuż po pogrzebie. Myślę, że będę musiał wezwać policję. To oni zadadzą panu kilka pytań.

- Chwileczkę. Przypuśćmy, że podejrzewamy, iż właśnie to urządzenie zabiło pańskiego brata.

Z różowego stał się czerwony, a mięśnie szczęk naprężyły mu się wyraźnie. Nie byłem przygotowany na stek przekleństw, którymi mnie poczęstował. Przez chwilę myślałem, że rzuci się na mnie.

- Proszę się opanować. Co ja takiego powiedziałem?

- Albo kpi pan ze zmarłego, albo jest pan głupszy, niż pan wygląda.

- Niech będzie, że jestem głupi, ale proszę mi powiedzieć dlaczego.

Zgniół gazetę i rzucił nią we mnie.

- Dlatego, że złapali faceta, który to zrobił. Jasne?

Przypomniałem sobie dzisiejszą gazetę. Czytałem o tym. Notatka była krótka i konkretna. Świadek złożył zeznania, a dowody potwierdziły je. Zabójca znalazł się już w więzieniu. Był to włamywacz złapany przez Manny'ego na gorącym uczynku. Stracił głowę i uderzył za mocno. Przeczytałem to jeszcze raz. Zwróciłem gazetę.

- Bardzo przepraszam, nie miałem o tym pojęcia.

- Niech się pan wynosi, ale szybko!

- Oczywiście.

- Chwileczkę.

- Tak?

- Ta dziewczynka, która otworzyła panu drzwi, to jego córka.

- Jest mi niezmiernie przykro.

- M nie też, ale niech pan pamięta, że jej ojciec nie zabrał wam żadnego cholernego robota. Skinąłem głową i odwróciłem się. Usłyszałem za sobą trzask zamykanych drzwi.

Po obiedzie zameldowałem się w małym hotelu, zamówiłem drinka i wszedłem pod prysznic.

Sytuacja wyglądała o wiele lepiej niż dzień wcześniej. Senator Brockden będzie z pewnością zadowolony, że jego obawy nie potwierdziły się. Leila Thackery przypomni mi z

uśmiechem, że całkowicie sprawdziło się jej przekonanie, gdy tylko przekażę jej nowiny, do czego czułem się zobowiązany. Ciekawe, czy Don będzie dalej chciał, żebym szukał Hangmana. Sądzę, że będzie to przede wszystkim zależało od senatora. Jednak teraz, gdy wyglądało na to, że zagrożenie stało się mniej realne, Don może zdecydować się na usługi jednego ze swoich ludzi, z pewnością tańsze od moich. Wycierając się ręcznikiem, zauważyłem, że pogwizduję. Miałem nadzieję, iż wypełniłem swoje zadanie.

Popijając drinka, zacząłem wystukiwać numer Dona. W ostatniej chwili zdecydowałem się zadzwonić najpierw do motelu w St. Louis. Być może była tam jakaś wiadomość, którą warto przekazać Donowi.

Na ekranie zobaczyłem twarz recepcjonistki. Właśnie zaczynała się uśmiechać. Ciekawe, czy zawsze tak reagowała na dźwięk dzwonka, czy zdarzało się jej zapominać o tym, gdy zmęczenie osłabiło jej refleks. Jej praca musiała być męcząca: nie mogła swobodnie żuć gumy, ziewać czy dłużyć w nosie.

- Recepcja, czym mogę służyć?

- Nazywam się Donę, mieszkam w pokoju sto sześć. Jestem teraz poza miastem i chciałbym zapytać, czy nikt nie zostawił dla mnie wiadomości.

- Zaraz sprawdzę - powiedziała, szukając w papierach na biurku. - Jest coś dla pana. Taśma. Dziwne, zaadresowano ją do kogoś innego.

- Na jakie nazwisko?

Gdy usłyszałem odpowiedź, ledwo zapanowałem nad sobą.

- Rozumiem. Przyjadę z nim później i dam mu taśmę.

Uśmiechnęła się na pożegnanie. Odpowiedziałem uśmiechem i rozłączyłem się.

Więc David jednak mnie poznał. Nikt inny nie mógł znać tego adresu i mojego prawdziwego nazwiska. Musiałem jak najszybciej przesłuchać taśmę i zaraz po tym skasować zapis. Wypiłem do końca swojego drinka i znalazłem numer Dona. Przez piętnaście minut usiłowałem uzyskać połączenie, ale nie udało mi się.

Trzeba było pożegnać się z Nowym Orleanem i z dobrym nastrojem. Tym razem zarezerwowałem miejsce w samolocie. Wypiłem następnego drinka, zabrałem swój skromny dobytek i spróbowałem zadzwonić jeszcze raz. Bez skutku.

W czasie lotu rozmyślałem o koncepcji Teilharda de Chardin dotyczącej ewolucji wytworów rąk ludzkich. Porównywałem ją z teorią nierozstrzygalności Godła, prowadziłem w wyobraźni epistemologiczne gry z Hangmanem jako przeciwnikiem. Zastanawiałem się, spekulowałem, nawet miałem nadzieję, że słuszność leży po stronie dobra, że Hangman jest istotą rozumną i powrócił w pełni władz umysłowych. Chciałem wierzyć, że Burns zginął w



taki sposób, jak głosiła oficjalna wersja; że zaniechany eksperyment był sukcesem w innym wymiarze - stworzeniem nowego ogniwa w łańcuchu bytów (Leila nie negowała całkowicie możliwości neurystorowego mózgu w tym zakresie). Teraz jednak miałem własne problemy: nawet najbardziej efektowne koncepcje filozoficzne błędą przy bólu zęba, zwłaszcza gdy ząb należy do ciebie.

W tej sytuacji Hangman poszedł chwilowo w odstawkę i zająłem się sobą. Istniała możliwość, że David zawiadomił mnie o pokonaniu Hangmana, ale dlaczego użył mojego prawdziwego nazwiska. Nie było sensu robić szczegółowych planów, dopóki nie znałem wartości taśmy. Nie podejrzewałem, żeby tak głęboko religijny człowiek jak Fentris mógł zabrać się do szantażowania. Z drugiej strony potrafił szybko zapalać się do różnych pomysłów, a ostatnio uległ poważnej przemianie wewnętrznej. Trudno powiedzieć... Jego wiedza techniczna i znajomość systemu dałyby mu bardzo mocną pozycję, gdyby chciał utrudniać mi życie.

Nie zamierzałem przypominać sobie sposobów, jakich używałem, aby zachować incognito - tym bardziej, że nie tylko szanowałem, ale i lubiłem Davida.

Włączyłem odtwarzacz. Nie było obrazu, usłyszałem jednak głos Davida. Poprosił o połączenie z pokojem sto sześć, z Johnem Donne'em, a po chwili stwierdził, że nie uzyskał połączenia. Następnie oświadczył, że chce przekazać nagranie dla osoby, którą John Donne zna i że na pewno Donne będzie wiedział, co z nim należy zrobić. Mówił tak, jakby brakło mu tchu. Recepcjonistka zapytała, czy przekaz ma być również wizualny i uzyskała odpowiedź twierdzącą. Po krótkiej przerwie powiedziała, że może zaczynać. W dalszym ciągu nie pojawił się żaden obraz, słyszałem jedynie oddech Davida i cichy przerywany dźwięk. Upłynęło dziesięć, piętnaście sekund...

- Dopadł mnie - powiedział w końcu, zwracając się do mnie po imieniu. - Musiałem ci powiedzieć, że cię poznałem. To nie był pojedynczy fakt, czy gest... po prostu twój sposób bycia, argumentowania, elektronika, nie wiem co jeszcze. Coraz bardziej męczyła mnie świadomość, że dobrze cię znam. Te uwagi o petrochemii i biologii... Ciekaw jestem, co robiłeś przez ten czas. Nie dowiem się już, ale chcę ci powiedzieć, że nie musiałeś mnie oszukiwać. - Przez kilkanaście sekund oddychał z trudem, po czym zaniósł się kaszlem. - Za dużo mówiłem, za szybko... - wychrypiął. - Jestem wykończony.

Pojawił się wreszcie obraz. David był zgięty nad konsolą, głowę opierał na rękach. Wokół było pełno krwi. Nie miał okularów, mrużył oczy i mrugał powiekami. Lewa strona głowy była poważnie uszkodzona. Na policzku i czole miał rany.

- Dopadł mnie, gdy szukałem informacji o tobie. Musiałem ci powiedzieć, co się stało.

Dalej nie wiem, który z nas ma rację... Módl się za mnie!

Obraz zgasł. Gdy ponownie przeglądałem taśmę, zauważyłem, że zdążył wyłączyć monitor.

Skasowałem nagranie. Powstało chyba w godzinę po moim wyjściu od Davida. Jeśli nie zdołał wezwać pomocy i nie przybyła ona szybko, to nie miał wielkiej szansy. A nawet jeśli przyjechali szybko, to i tak...

Zadzwoiłem do Dona. Powiedziałem mu o Fentrisie i dodałem, że potrzebna mu jest natychmiastowa pomoc. Miałem nadzieję, że go jeszcze zobaczę żywego. Spróbowałem połączyć się z Leilą Thackery, ale bezskutecznie. Musiałem jak najszybciej znaleźć się w St. Louis. Gdy byłem już w foyer domu, w którym mieszkała Thackery, skorzystałem z domofonu - znów bez rezultatu. Zadzwoiłem więc do pani Gluntz (wydała mi się najbardziej sympatyczna z trzech gospodyń, które odwiedziłem pod pozorem ankiety stowarzyszenia konsumentów).

- Kto tam?

- To ja, pani Gluntz, Stephen Foster. Mam kilka dodatkowych pytań w związku z ankietą, którą dziś przeprowadziłem. Czy poświęci mi pani kilka minut?

- Oczywiście, proszę wejść.

Po drodze na górę przygotowywałem sobie zestaw pytań. Wymyśliłem tę sztuczkę, czekając poprzednim razem na rozmowę z Leilą Thackery, aby mieć możliwość manewru na wypadek nieprzewidzianych okoliczności. Przeważnie takie zabezpieczenia pozostają nie wykorzystane, ale czasem bardzo ułatwiają życie.

Po pięciu minutach za pomocą paru drobnych przedmiotów, których lepiej nie mieć przy sobie, gdy jest się zatrzymanym przez policję, dostałem się do środka.

Leżała na podłodze, a jej szyja była wygięta pod bardzo dziwnym kątem. Jedna z lamp paliła się jeszcze, choć była przewrócona. Kilka drobiazgów poniewierało się na podłodze, stojak na czasopisma leżał w kącie, a poduszkę częściowo zsunięto z sofy. Kabel telefoniczny był wyrwany ze ściany. Powietrze wypełniał jakiś dźwięk. W tej chwili ujrzałem jego źródło.

Podbiegłem tam.

Ujrzałem koślawy pojemnik. Niedawno widziałem to urządzenie w pracowni Davida. Służyło do kontaktu z Hangmanem, a być może pozwalało zapanować na nim. Podniosłem hełm i założyłem go na głowę.

Pewnego razu dzięki telepatce nawiązałem kontakt z delfinami, uczestniczyłem w ich przeżyciach; wywarło to na mnie bardzo duży wpływ. Teraz jednak odczułem coś, co trudno porównać z tamtym.

Były to wizje i wspomnienia: twarz widziana przez mokrą szybę, jakiś sygnał dochodzący z terminalu, masaż głowy elektrycznym wibratorem, obraz Edwarda Muncha „Krzyk” coraz wyższy i wyższy głos Ymy Sumac, znikający śnieg, opustoszała ulica widziana w podczerwieni, szybki bieg wzdłuż linii sklepów, poczucie wielkich możliwości fizycznych, bardzo szczególna mieszanina zmysłów, niegasnące wewnętrzne słońce, zasilające mnie stałym strumieniem energii, wspomnienie ciemnych głębi, poruszania się w nich za pomocą echolokacji; czułem potrzebę powrotu w to miejsce, ruszenia na północ; Munch i Sumac, Munch i Sumac, Munch i Sumac...

Cisza.

Brzęczenie urwało się, a lampka zgasła. Całość trwała tylko kilka minut. Nie miałem czasu na próbę przejęcia kontroli, choć zacząłem odczuwać metodę, jaką powinienem zastosować. Mógłbym spróbować to zrobić, ale musiałbym mieć lepsze warunki.

Zdjąłem hełm i spojrzałem na Leile.

Klęknąłem przy niej i przeprowadziłem kilka prostych testów, choć wiedziałem, jaki będzie efekt. Poza skreconym karkiem miała kilka paskudnych obrażeń na głowie i ramionach. W niczym nie można było jej pomóc.

Sprawdziłem szybko całe mieszkanie. Nie zauważyłem żadnych śladów włamania - skoro ja potrafiłem się tu dostać, to dla Hangmana, mającego wbudowany zestaw narzędzi, była to fraszka. Znalazłem w kuchni papier i sznurek i zapakowałem hełm. Należało znów zadzwonić do Dona i powiadomić go, że statek istotnie nie był pusty, a ruch w górnej części rzeki jest ostatnio duży.

Don kazał mi zabrać hełm do Wisconsin, gdzie na lotnisku miał czekać na mnie facet o imieniu Larry.

Bez zaskoczenia przyjąłem wiadomość o śmierci Davida.

Z lotniska poleciliśmy za Larrym prywatnym samolotem do miejsca, gdzie przebywał senator. Temperatura spadła i gdy znajdowaliśmy się blisko celu, zaczął padać śnieg. Nie byłem odpowiednio ubrany na taką pogodę. Larry zapewnił, że nie będę musiał wychodzić na zewnątrz, gdyż przed domem straż miało pełnić czterech facetów. Moim zadaniem, zgodnie z poleceniem Dona, było pozostawanie przez cały czas jak najbliżej przy senatorze.

Bert czekał na nas na miejscu. Tom i Clay trwali na posterunku, obserwując las i drogę. Wszyscy byli w średnim wieku, niezłej postury, poważni i ciężko uzbrojeni. Larry zaprowadził mnie do senatora i dokonał prezentacji.

Brockden siedział na krześle. Nogi senatora spoczywały na stołku i okryte były pledem. Miał bardzo jasne włosy. Zdjął okulary, gdy weszliśmy. Podniósł głowę, obserwując

mnie uważnie. Był dobrze zbudowany i zapewne dawniej bardzo muskularny. Widać było, że stracił ostatnio sporo na wadze.

Nie wstał na powitanie.

- A więc to pan - powiedział, podając mi rękę. - Miło mi pana poznać. Jak mam się do pana zwracać?

- Może być John.

Dał znak i Larry wyszedł z pokoju.

- Zimno tu, może chcesz drinka, John? Szklanki są tam, na półce. Przy okazji zrób coś i dla mnie: dwa palce bourbona na szklanekę wody.

Podszedłem do półki i przyrządziłem drinki.

- Usiądź tu - powiedział, gdy podawałem mu drinka i wskazał na stojące obok krzesło.

- Ale najpierw pokaż mi przyrząd, który przywiozłeś.

Rozwiązałem paczkę i podałem mu go. Odstawił szklanekę i przyjrzał się uważnie hełmowi ze wszystkich stron. Wreszcie włożył go na głowę.

- Całkiem nieźle pasuje - stwierdził i uśmiechnął się. Pierwszy raz zobaczyłem uśmiech na jego twarzy. Widziałem go na wielu zdjęciach, gdy zbierałem informacje, ale zawsze jego twarz miała gniewny lub przynajmniej niezadowolony wyraz.

Zdjął hełm i położył go na podłodze.

- Interesujące urządzenie - skonstatował. - Niczego takiego nie mieliśmy w dawnych czasach. Skonstruował je David Fentris. Tak, powiadomił nas o nim... - Napił się drinka. - Jesteś jedynym żyjącym człowiekiem, który używał tego urządzenia. Czy sądzisz, że można za jego pomocą pokonać Hangmana?

- Byłem z nim w kontakcie zaledwie kilka minut. Sądzę jednak, że gdybym miał więcej czasu, mógłbym przejąć nad nim kontrolę.

- Więc dlaczego nie udało się to Davidowi?

- Na taśmie, którą mi zostawił, poinformował mnie, że był zajęty przy komputerze. Prawdopodobnie nie usłyszał sygnału.

- Dlaczego nie zachowałeś tej taśmy?

- Skasowałem ją z przyczyn nie związanych ze sprawą.

- Jakich przyczyn?

- Moich własnych.

Twarz senatora poczerwieniała.

- Można mieć mnóstwo kłopotów, niszcząc dowody rzeczowe i przeszkadzając sprawiedliwości.

- Mamy więc ze sobą coś wspólnego, nie sądzi pan?

Spojrzał na mnie wzrokiem, w którym nikt nie dostrzegłby nawet cienia sympatii. Westchnął i pozornie rozluźnił się.

- Don powiedział mi, że nie można cię zbyt mocno naciskać w pewnych sprawach - stwierdził w końcu.

- To prawda.

- Don nie nadużył twego zaufania, choć musiał zdradzić mi parę rzeczy, rozumiesz chyba?

- Wyobrażam sobie.

- Wysoko cię ceni. Ja jednak próbowałem dowiedzieć się więcej.

- No i...?

- Nie udało mi się, choć nie mogę narzekać na swoje źródła.

- Więc?

- Więc zacząłem się zastanawiać. To, że moje źródła informacji nic nie dały, jest interesujące samo w sobie. Być może nawet jest częściowym rozwiązaniem. Doskonale zdaję sobie sprawę, że nie wszyscy poddali się rejestracji systemowi. Większość z tych ludzi prędzej czy później została ujawniona w ten czy inny sposób. Dzielili się na trzy zasadnicze kategorie: ci, którzy o niczym nie wiedzieli; ci, którzy byli przeciwni samej koncepcji i ci, którym przeszkodziłoby to w nielegalnych interesach. Nie staram się zakwalifikować ciebie do żadnej z tych kategorii. Wiem, że wśród nas jest wielu, którzy są poza systemem i przemykają się, nie rzucając cienia. Sądzę, że jesteś jednym z nich.

- A jeśli nawet, to co z tego? Uśmiechnął się, tym razem całkiem szczerze, ale nic nie powiedział.

Wstałem i przeszedłem na drugą stronę pokoju.

- Nie sądzę, żebyś potrafił wytłumaczyć się z tego.

Przemilczałem to.

- Czy chcesz coś powiedzieć?

- Co na przykład?

- Mógłbyś zapytać, co zamierzam zrobić w tej sprawie.

- Co zamierza pan zrobić w tej sprawie?

- Nic, więc siedź spokojnie. Usiadłem. Przyjrzał mi się uważnie.

- Czy chciałeś mnie zaatakować?

- Z czterema strażnikami na zewnątrz?

- Właśnie.

- Nie - odpowiedziałem.

- Nieźle potrafisz kłamać.

- Jestem tu po to, aby panu pomóc. Nie życzę sobie żadnych pytań. Takie były warunki. Jeśli coś się zmieniło, chciałbym o tym teraz wiedzieć.

Zabębnił palcami po pledzie.

- Nie mam ochoty sprawiać ci kłopotów. Chodzi o to, że potrzebowałem kogoś takiego jak ty i byłem pewny, że Don potrafi go znaleźć. Twoja ogromna zręczność i, jak słyszałem, wielka wiedza o komputerach świadczą o tym, że warto było czekać. Chciałbym cię zapytać o wiele rzeczy.

- Proszę pytać.

- Może trochę później. Przyda mi się to do sprawozdania, nad którym obecnie pracuję. Dla mnie osobiście ważniejsze jest to, co ja chcę powiedzieć tobie.

Zdziwiłem się nieco.

- Wiele lat temu - rozpoczął - nauczyłem się, że najlepiej dochowuje tajemnicy ten, któremu rewanżujemy się tym samym.

- Czuje pan wewnętrzną potrzebę, aby wyznać mi coś? - zapytałem.

- Nie wiem, czy jest to dobre określenie. Może tak, może nie. Tak czy inaczej, ktoś spośród ludzi tkwiących w tej historii powinien wiedzieć o wszystkim. Kiedyś może się to przydać - a ty jesteś idealnym kandydatem.

- Zgoda - odrzekłem. - Może być pan tak samo pewny mnie, jak ja pana.

- Czy wiesz, skąd biorą się moje obawy?

- Owszem.

- Słucham, mów.

- Użyliście Hangmana do wykonania czegoś, co było nielegalne, nienormalne, czy coś w tym rodzaju. Wiecie o tym tylko wy i Hangman. Uważaliście ten czyn za tak haniebnny, że gdy Hangman dorósł do jego pełnej oceny, popadł w ciężką depresję, która mogła skłonić go do powrotu i zemsty.

Spojrzał w bok.

- Trafiłeś - stwierdził.

- Wszyscy braliście w tym udział?

- Tak, aleja tym kierowałem, gdy to się wydarzyło. Rozumiesz... my, to znaczy ja zabiłem człowieka. Widzisz, to wszystko zaczęło się od uroczystości. Dowiedzieliśmy się tego dnia, że projekt został zaakceptowany. Po wszystkich testach został ostatecznie zatwierdzony. Za dwa dni miała rozpocząć się jego realizacja. Jedliśmy wtedy razem obiad:

Leila, David, Manny i ja. Byliśmy we wspaniałym nastroju. Tak jakoś się złożyło, że nasze przyjęcie przeniosło się do instytutu. Wraz z upływem czasu coraz bardziej absurdalne pomysły zaczęły wydawać się nam sensowne. Wpadliśmy na pomysł, nie pamiętam, kto pierwszy - że Hangman powinien również wziąć udział w uroczystości. Przecież była ona właściwie na jego cześć. Byliśmy wtedy w Teksasie, a Hangman w Centrum Kosmicznym w Kalifornii, więc nie mogliśmy ściągnąć go do siebie. Obok nas znajdował się jednak pulpit operatorski. Doszliśmy do wniosku, że uruchomimy go i każdy z nas będzie po kolei jego operatorem. Hangman posiadał już podstawową świadomość i uznaliśmy, że będzie dobrze, gdy każdy z nas wejdzie z nim w kontakt, aby podzielić się z nim dobrymi wieściami. Tak też zrobiliśmy. - Westchnął, napił się i spojrzał na mnie. - David był pierwszy - kontynuował. - Uaktywnił Hangmana. Potem, no wiesz, wszyscy byliśmy podekscytowani. Nie zamierzaliśmy początkowo wyprowadzać go z laboratorium, w którym się znajdował. To David wpadł na ten pomysł, bo chciał mu choć na moment pokazać niebo i powiedzieć, że tam niedługo wyruszy. Dał się ponieść entuzjazmowi, gdy udało mu się przeprowadzić Hangmana przez system alarmowy i oszukać strażnika. Zaczęliśmy traktować to jak grę. Każdy z nas niecierpliwie czekał na swoją kolej. Davida nie można było oderwać, dopóki nie wyprowadził Hangmana poza obszar Centrum. Leila wreszcie zdołała przekonać go, by oddał sterowanie. Do tej pory było to nawet zabawne. Ale gra już się zaczęła. Leila podbiła stawkę i przeprowadziła Hangmana do najbliższego miasta. Było ciemno, lecz jego receptory okazały się wspaniałe. To było wyzwanie: przeprowadzić go przez miasto, nie zwracając niczyjej uwagi. Wtedy już wszyscy zaczęli wymyślać, co jeszcze można by zrobić. Każdy następny pomysł był bardziej szalony. Przyszła kolej na Manny'ego. Nie mówił, co robi i nie pozwolił nam na podgląd. Powiedział, że będzie zabawniej, gdy następny operator będzie zaskoczony. Nie oddawał sterowania tak długo, aż zaczęliśmy się denerwować. Napięcie czasem otrzeźwia; zdaliśmy sobie w końcu wszyscy sprawę z tego, jakie idiotyzmy wyprawiamy. Nie chodziło nam tylko o nasze kariery, choć były one mocno zagrożone; wiedzieliśmy, że może się to skończyć źle dla całego projektu. Przynajmniej ja tak myślałem. Uważałem też, że Manny kierował się bardzo ludzką chęcią dominowania nad innymi. Zacząłem się pocić. Nagle zapragnąłem, aby Hangman znalazł się już z powrotem w laboratorium. Można go było wyłączyć, gdyż obwody uniemożliwiające to nie były jeszcze wmontowane. Chciałem, byśmy skończyli tę grę i zapomnieli o wszystkim. Zacząłem naciskać na Burnsa, żeby oddał sterowanie. W końcu ustąpił. Senator dopił drinka i wyciągnął w moim kierunku szklanę.

- Mógłbyś dolać mi trochę?

Dolałem jemu i sobie, po czym wróciłem na miejsce.

- Przejąłem sterowanie - mówił dalej. - Czy wiesz, gdzie ten idiota mnie zostawił? Byłem wewnątrz budynku i od razu zauważyłem, że jest to bank. Hangman miał wbudowaną dużą ilość różnorodnych narzędzi i, jak widać, Manny potrafił wprowadzić go do środka bez włączenia alarmu. Stałem przed drzwiami do głównego sejfów. To było jego wyzwanie dla mnie. Pokonałem chęć ucieczki przez najbliższą ścianę, odwróciłem się do drzwi i wyjrzałem na zewnątrz. Nie zauważyłem nikogo, więc zacząłem wychodzić. Nagle oślepiło mnie światło. To była ręczna latarka. Nie widziałem dokładnie strażnika, lecz zauważyłem pistolet w jego ręku. Wpadłem w panikę. Odruchowo uderzyłem go. Jeśli chcę kogoś unieszkodliwić, uderzam najmocniej, jak potrafię, gdyż nie należę do najsilniejszych. Ale tym razem dysponowałem siłą Hangmana. Strażnik musiał zginąć na miejscu. Uciekłem i nie zatrzymywałem się, dopóki nie znalazłem się w małym parku w pobliżu Centrum. Tu zatrzymałem się i inni pomogli mi wypłatać się z oparów.

- Pozostali widzieli to wszystko na podglądzie? - zapytałem.

- Tak, ktoś włączył monitor kilka sekund po przejęciu przeze mnie kontroli. Myślę, że to David.

- Czy próbowali cię powstrzymać podczas ucieczki?

- Nie. Zresztą nie docierało do mnie nic oprócz tego, co odbierałem za pomocą Hangmana. Później powiedzieli mi, że byli zbyt zaszokowani, aby zareagować. Przejęli inicjatywę dopiero wtedy, gdy załamałem się.

- Rozumiem.

- David przejął sterowanie. Wprowadził Hangmana do laboratorium, oczyścił go i wyłączył. Nagle wszyscy byliśmy całkiem trzeźwi. - Westchnął i przechylił się do tyłu. Po chwili powiedział: - Jesteś jedyną osobą, John, której to opowiedziałem.

Pociągnąłem łyk ze szklanki.

- Potem pojechaliśmy do Leili. Resztę nie trudno odgadnąć. Nie można już było wskrzesić tego człowieka; doszliśmy do wniosku, że ujawnienie tego, co się wydarzyło, mogłoby zrujnować kosztowny program. Nie byliśmy przecież kryminalistami. To był jedyny nasz wybryk, choć skończył się tragicznie. Co byś zrobił na naszym miejscu?

- Nie wiem, może to samo. Też byłbym przerażony.

- I to już cała historia.

- Chyba jeszcze nie.

- Co masz na myśli?

- A co z Hangmanem? Powiedział pan, że miał już częściową świadomość. Musiał odczuwać wasze emocje i jakoś odnieść się do tego. Jaka była jego reakcja?



- Niech cię diabli wezmą - powiedział znużonym głosem.

- Przepraszam.

- Czy masz rodzinę?

- Nie.

- Byłeś kiedyś z małym dzieckiem w ogrodzie zoologicznym?

- Tak.

- To może mnie zrozumiesz. Gdy byłem kiedyś ze swym synem w zoo, miał wtedy około czterech lat, musieliśmy przejść obok każdej klatki. Syn komentował to, co widział, zadał kilka pytań, chichotał przy klatce z małpami; uznał, że niedźwiedzie są bardzo miłe. Zapewne kojarzyły mu się z ogromnymi, pluszowymi zabawkami. A wiesz, co mu się najbardziej podobało? Co spowodowało, że zaczął skakać i krzyczeć: „Patrz tato, patrz?”

Nie wiedziałem.

- Wiewiórka siedząca na gałęzi drzewa. Brak zrozumienia, co jest istotne, a co nie. Można powiedzieć - niewinność. Hangman był dzieckiem i zanim ja przejąłem sterowanie, rozumiał jedynie, że bierze udział wraz z nami w grze. Potem doszło do tej tragedii... Mam nadzieję, że nie doświadczyłeś nigdy uczucia, gdy popełniło się coś wstrętnego przy dziecku, trzymającym ufnie twoją rękę i śmiejącym się radośnie... On odbierał nasze myśli, moje i Davida, gdy wracał do laboratorium.

Siedzieliśmy przez dłuższy czas w milczeniu.

- Spowodowaliśmy u niego głęboki uraz. Efekty wystąpiły z opóźnieniem. Jestem przekonany, że to był powód jego ostatecznego załamania.

- I właśnie z tego samego powodu chce was zabić?

- Nie zrobiłbyś tego na jego miejscu? Gdybyś zaczął istnieć jako rzecz, potem stał się świadomą osobą, a potem znów został użyty jako rzecz?

- Leila opuściła dużo w swej diagnozie.

- Nie, po prostu nie powiedziała ci o wszystkim. To było oczywiste, ale zostało przez nią źle zinterpretowane. Nie obawiała się. Uznała, podobnie jak David i Manny, że Hangman początkowo brał wszystko za grę; że nie zapamiętał wydarzeń poprzedzających zabójstwo jako coś złego. Tylko we mnie upatrywał zło. Uważała, że szuka tylko mnie. Jak widać, myliła się.

- Więc dlaczego - spytałem - śmierć Burnsa nie zmieniła jej przekonania.

- Jedyne powód jaki przychodzi mi do głowy, to jej ambicja. Upierała się przy swej diagnozie nawet wbrew faktom.

- Nie przekonuje mnie to, ale pan ją lepiej znał ode mnie. Zresztą częściowo jej opinia

znalazła potwierdzenie w faktach. To, co mnie niepokoi, to hełm. Dlaczego Hangman miałby zabrać ze sobą z biura Davida hełm, udając się do Leili? Nie widzę w tym sensu.

- Ja tak - odparł. - Hangman nie potrafił porozumiewać się z nami za pomocą głosu. Don mówił, że orientujesz się w elektronice...

- Owszem.

- Więc sprawdź hełm i zobacz, co jest w nim uszkodzone.

- To może być trudne. Nie znam jego konstrukcji, a nie jestem takim geniuszem, żeby wystarczył mi rzut oka.

Przygryzł dolną wargę.

- Spróbuj jednak. Mogą tam być jakieś uszkodzenia: rysy, pęknięcia, zerwane obwody. Nie wiem, to twoja działka. Sądzę, że Hangman chciał rozmawiać z Leilą. Może dlatego, że była psychiatrą, a on wiedział, że zaczął szwankować na poziomie psychicznym. Albo może traktował ją jak matkę. Była przecież jedyną kobietą wśród nas, a on poznał pojęcie matki wraz ze wszystkimi pozytywnymi odniesieniami. Znał przecież nasze umysły. Być może złożyły się na to oba te powody naraz. Dlatego potrzebował hełmu. Prawopodobnie użył go David, zanim zginął. Stąd Hangman dowiedział się, do czego służy. Sprawdź, czy Hangman nie odłączył obwodów kontrolnych, pozostawiając nienaruszone obwody komunikacyjne. Myślę, że próbował założyć hełm Leili, a ona uległa panice - próbowała uciekać lub zaczęła krzyczeć. Wtedy zabił ją. Hełm nie był mu już potrzebny, więc go zostawił. Nie podejrzewam, by chciał rozmawiać ze mną.

- Mogę zlokalizować przerwane obwody - odrzekłem. - Muszę jednak mieć narzędzia.

Zrobił ruch ręką, który miał oznaczać, że kiedy indziej.

- Później znalazłem ofiarę - kontynuował. - Złożyliśmy się na anonimowy dar dla wdowy. Przez cały czas opiekowałem się jego rodziną.

Nie patrzyłem na niego.

- Tylko tyle mogłem zrobić - zakończył.

Milczałem.

Dopił drinka i uśmiechnął się słabo.

- Kuchnia jest za tymi drzwiami. Pracownia jest zaraz za kuchnią. Tam są narzędzia. Wstałem i zabrałem hełm.

Siedziałem na krześle, obrócony bokiem do stołu, by móc obserwować drzwi. W głównym pomieszczeniu małego budynku jedynymi dźwiękami były teraz syki i trzaski drewna płonącego w palenisku. Przed momentem grzmiał ogień broni maszynowej, a teraz gdy ustał, cisza wydawała się jeszcze głębsza.

Była cicha, bezwietrzna noc. Za oknem padał puszysty śnieg...

Upłynęło sporo czasu od mojego przyjazdu. Senator rozmawiał ze mną przez dłuższy czas. Był rozczarowany, że nie zdradziłem mu tajemnic tych, którzy żyją poza systemem. Sam nie znałem ich zbyt dobrze. Nie mam już zaufania do niczego i nikogo; nie zamierzałem dzielić się z nim swoimi przypuszczeniami. Chciał znać moją opinię na temat Centralnego Banku Danych, lecz nie był zadowolony z tego, co usłyszał. Zarzucił mi, że krytykuję, nie proponując w zamian lepszych rozwiązań. Nie potrafiłem dać mu sensownej alternatywy, której poszukiwał - nie byłem nawet pewien, czy taka w ogóle istnieje. Rola krytyki nie powinna być mylona z rolą reformy. Jednak jeśli powstaje coraz silniejszy opór przeciwko administratorom systemu, to może się okazać, że całe przedsięwzięcie jest równie korzystne i efektywne, co, powiedzmy, ustawa o prohibicji w pierwszej połowie dwudziestego wieku w Stanach Zjednoczonych. Starłem się przekonać o tym senatora, lecz nie potrafiłbym powiedzieć, na ile mi się to udało. W końcu przerwał dyskusję i poszedł na górę, aby zażyć leki i zabarykadować się na noc.

Usiadłem więc, z hełmem, krótkofalówką i pistoletem na stole, a na podłodze obok mnie leżała skrzynka z narzędziami. Na lewej ręce miałem czarną rękawicę.

Nie było wątpliwości, że Hangman zbliża się. Bert, Larry, Tom, Clay, a także hełm, mogli nie zdołać powstrzymać go. Coś niepokoiło mnie w tej całej sprawie, ale byłem zbyt zmęczony, aby myśleć o czymś innym niż o aktualnej sytuacji oraz o konieczności zachowania przytomności umysłu. Nie chciałem brać żadnych stymulatorów, nawet palić papierosów, gdyż mój system nerwowy miał być jednym z ważniejszych elementów w zbliżającej się walce.

Gdy tylko usłyszałem pstryknięcie przełącznika, dałem znać Bertowi i Larry'emu. Trzymałem w ręku hełm i stałem, gdy światełko zaczęło mrugać.

Było już jednak za późno.

Strzał na zewnątrz zabrzmiał dla mnie jak zapowiedź przeznaczenia. Nie uważałem moich kolegów za ludzi, którzy strzelają, zanim ujrzą cel.

David powiedział mi, że zakres działania hełmu wynosi osiemset metrów. Biorąc pod uwagę czas między aktywizacją hełmu a zauważeniem Hangmana przez strażników, jego szybkość była imponująca. W dodatku istniała możliwość, że zasięg fal mózgowych Hangmana był większy niż zasięg hełmu. Załóżmy, że wykorzystał tę możliwość, zanim senator zasnął. Wniosek: Hangman mógł wiedzieć, że jestem tu i posiadam hełm - uznać go za najbardziej niebezpieczną dla siebie broń i mknąć jak grom w moim kierunku, aby uniemożliwić mi użycie go.

Nałożyłem hełm na głowę i spróbowałem uczynić mój umysł całkowicie neutralnym.

Odniosłem wrażenie, jakbym patrzył przez noktowizor. Widziałem nasz dom z zewnątrz. Bert był przy drzwiach, trzymając broń wymierzoną we mnie; po lewej stronie ujrzałem Larry'ego z ręką opadającą po rzucie granatem. Jasne było, że stał za daleko. Drugi strzał Berta uderzył w naszą płytę piersiową z lewej strony. Siła uderzenia wytrąciła nas na moment z równowagi. Trzeci strzał chybił celu. Czwartego już nie było. Wyrwaliśmy Bertowi z ręki broń i odrzuciliśmy ją daleko, jednocześnie roztrzaskując sobą drzwi wejściowe.

Z rozpadających się drzwi wyłonił się Hangman.

Mój umysł był wypełniony do granic wytrzymałości podwójnym obrazem błyszczącego stalowego korpusu zbliżającego się olbrzyma i wyprostowanej, w dziwnym nakryciu głowy, własnej osoby. Lewą ręką miałem wyciągniętą do przodu, a prawą uzbrojoną w pistolet laserowy. Pamiętam wyraz twarzy, krzyk, mrowienie, uczucie siły i dziwne, do niczego nie podobne, wrażenie. Zaczynałem przejmować nad nim kontrolę, jakby stawał się mną - powstrzymywałem go: jednocześnie obraz mojej osoby był nieruchomy, jak na zatrzymanym kadrze filmu...

Hangman zwolnił, potknął się. Taki pęd nie daje się łatwo zatrzymać, ale czułem, że zwyciężam. Po prostu oszołomiłem go.

Nastąpiła eksplozja - grzmiący, zwalający z nóg wstrząs tuż obok, a zaraz po nim deszcz gruzu i kamieni. Oczywiście granat. Świadomość tego jednak nie uchroniła mnie przed dekoncentracją. W tej samej chwili Hangman odzyskał panowanie nad sobą i zaatakował. W odruchu samoobrony nacisnąłem spust. Przestałem próbować odzyskać nad nim kontrolę. Lewą ręką usiłowałem zadać mu cios w okolice mózgu. Zablokował moją rękę ramieniem, jednocześnie ściągając mi z głowy hełm. Z drugiej ręki wyrwał mi pistolet, który zdążył rozgrzać jego prawą stronę do czerwoności, zniszczył go i odrzucił. W tym momencie wstrząsnęły nim dwa pociski ciężkiego kalibru, wystrzelone przez Berta, który właśnie znów wkraczał do akcji. Hangman obrócił się i odskoczył, zanim udało mi się uderzyć go rękawicą. Bert zdołał oddać do niego jeszcze jedną salwę, zanim karabin został wydarty mu z rąk i roztrzaskany. Po chwili leżał już powalony na ziemi. Hangman przebiegł kilka kroków i zniknął mi z pola widzenia. Pobiegłem za nim i ujrzałem, jak ogarniają go płomienie z miotacza Larry'ego. Skoczył w jego stronę. Usłyszałem trzask pękającego metalu. Roztrzaskał miotacz. Gdy wybiegłem, Larry leżał na śniegu.

Zabrał się teraz do mnie. Tym razem nie spieszył się. Podniósł z ziemi hełm i ruszył w moim kierunku tak, aby odciąć mi ewentualną drogę ucieczki do lasu. Płatki wirowały między nami. Śnieg skrzypiał pod stopami mego przeciwnika. Cofnąłem się w stronę rozwalonych

drzwi. Podniosłem długi drąg z resztek futryny. Hangman zbliżał się. Odłożył niemal niedbale hełm na krzesło stojące przy wejściu. Przesunąłem się na środek pokoju i czekałem.

Ruszyłem powoli do przodu, mierząc drągiem w fotoreceptory na jego głowie. Wciąż zbliżał się, a ja obserwowałem w jaki sposób stawia nogi. Miałem nadzieję znaleźć u niego słaby punkt oparcia i podciąć go. Niestety, Hangman tylko pozornie przypominał kształtem człowieka. Miał szerzej rozstawione nogi, a jego masa była o wiele większa od masy ludzi, z którymi dotąd walczyłem. Doszedłem do wniosku, że moje najlepsze chwytty judo, jak i te pozostałe, na nic się nie przydadzą. Gdy podszedł dostatecznie blisko, spróbowałem dosięgnąć fotoreceptorów. Zwolnił, odpychając drąg, ale nie zatrzymał się. Przesunąłem się na prawo, starając go okrążyć. Przyglądałem mu się uważnie, cały czas próbując znaleźć jego słaby punkt.

Obustronna symetria i chyba dość wysoko położony środek ciężkości... Jedno celne uderzenie rękawicą w czaszkę - to wszystko, czego potrzebowałem. Nawet gdyby zdążył jeszcze mnie powalić, to musiałby długo przychodzić do siebie. Wiedział o tym. Widać to było po sposobie, w jaki osłaniał lewą ręką rejon mózgu, unikając moich ciosów rękawicą.

Kontynuując swą taktykę i przyspieszając znów zamachnąłem się w kierunku jego fotoreceptorów. Wybił mi kij z ręki. To jednak nie miało teraz większego znaczenia. Wyrzuciłem lewą ręką w górę, symulując atak. Cofnął się, a ja nacierałem dalej. To mogło kosztować mnie życie, ale nie miałem wiele do stracenia.

Jako chłopak nie byłem zbyt dobrym baseballistą, nie rzucałem ani nie łapałem zbyt dobrze. Nieźle jednak biegałem do bazy.

Skoczyłem nogami do przodu i przeleciałem pod Hangmanem, który osłaniał się przed moją rękawicą. Przekręciłem się na prawy bok, bo niezależnie od sytuacji nie mogłem podparć się lewą ręką. Wyprostowałem się, gdy tylko znalazłem się za nim, ignorując ból w lewej łopacie. Następnie wykonałem salto do tyłu, prostując nogi. Trafiłem go nogami mniej więcej w połowie, od tyłu. Włożyłem w to wszystkie siły. Spróbował mnie chwycić, ale nie miało to już znaczenia.

Zaczai tracić równowagę. Przesunąłem się, aby uniknąć zmiążdżenia. Upadł wreszcie, a wstrząs omal nie zawalił stropu. Uwolniłem prawą nogę, lecz lewa pozostała unieruchomiona pod bolesnym kątem. Jedną ręką zablokował mój cios, a drugą uderzył z góry. Czarna rękawica trafiła go w bark.

Ładunek eksplodował. Lewe ramię Hangmana oderwało się i upadło na podłogę. Osłona poniżej ramienia jedynie trochę wygięła się i nic poza tym... Zacisnął mi rękę na gardle. Zdołałem jeszcze wycharczeć: „Popelniasz poważny błąd” Chciałem mieć ostatnie

słowo. Straciłem przytomność.

Otworzyłem oczy. Siedziałem na krześle, które przedtem zajmował senator. Nie patrzyłem na nic konkretnego. Uparte brzęczenie wypełniało mi uszy, a głowa bolała mnie trochę. Coś migotało mi nad brwiami.

„Tak, żyjesz i masz na głowie hełm. Jeśli będziesz próbował użyć go przeciw mnie, zdejmę ci go. Trzymam na nim ręce”

„Rozumiem. Czego ode mnie chcesz?”

„Właściwie niczego, ale chyba muszę ci wytłumaczyć parę rzeczy, zanim mi uwierzysz”!

„Chyba musisz”

„Po pierwsze, nikt z całej czwórki nie odniósł poważnych obrażeń. To oznacza, że kości mają całe i żaden z głównych organów nie został uszkodzony. Nie chciałem im zrobić krzywdy”!

„Bardzo uprzejmie z twojej strony”!

„Nie chcę nikogo krzywdzić. Przybyłem do Jesse Brockdena”!

„W tym samym celu, w jakim wpadłeś z wizytą do Davida Fentrisa?”

„Przybyłem do Memphis za późno. Był martwy, gdy do niego dotarłem”!

„Kto go zabił?”

„Człowiek, którego Leila przysłała po hełm. To był jeden z jej pacjentów.”

Przypomniałem sobie wszystko. Ta zdziwiona, znajoma twarz na lotnisku, gdy wyjeżdżałem z Memphis. Spotkałem go, czekając na pierwszą rozmowę z Leilą, gdy wychodził z dwoma innymi z jej gabinetu. To był ten, który powiedział mi, że mogę wejść.

„Dlaczego? Dlaczego to zrobiła?”

„Wiem tylko, że rozmawiała wcześniej z Davidem i potraktowała jego słowa o nadchodzącej karze oraz informację o hełmie jako zapowiedź tego, że on sam zamierza stać się wykonawcą kary, a ja mam być jego narzędziem. Nie wiem, jakie padły słowa. Znam tylko jej myśli i uczucia. Długo musiałem się uczyć, że istnieje często wielka różnica między tym, co się myśli i co się mówi, a tym co się robi, oraz między tym, co się stało, a tym, jak się to interpretuje. Wysłała swego pacjenta po hełm, a on jej go przyniósł. Był jednak podekscytowany, przestraszony możliwością aresztowania. Zaczęli się kłócić. Moje nadejście uaktywniło hełm i przerażony pacjent zaatakował ją. Wiem, że pierwszy cios pozbawił ją życia, bo byłem wtedy z nią w kontakcie. Chciałem dotrzeć do niej, unikając wykrycia, ale był za duży ruch i spóźniłem się. W tym czasie ty pojawiłeś się i użyłeś hełmu, więc natychmiast oddaliłem się”

„Byłem tak blisko! Gdybym nie bawił się w ten głupi wywiad...”

„Rozumiem. Ale musiałeś tak zrobić. Nie włamałbyś się, gdyby istniał prostszy sposób wejścia. Nie masz powodu, aby robić sobie wyrzuty. Gdybyś przybył dzień później, czułbyś się lepiej, a przecież ona i tak by nie żyła”!

Przyszło mi w tym momencie do głowy coś innego. Może to mój wzrok na lotnisku w Memphis tak przeraził i rozdrażnił tamtego człowieka? Może obawa, że go rozpoznałem w tłumie, spowodowała śmierć Leili?

„Przestań! Sam mógłbym czuć się winnym, bo uaktywniłem hełm w obecności niebezpiecznego człowieka, gdy znajdował się na krawędzi paniki. Żaden z nas nie jest odpowiedzialny za to, co stało się na skutek jego obecności lub nieobecności. Minęły lata, zanim zdołałem to zrozumieć i nie zamierzam zmieniać zdania. Jak daleko w przeszłość chcesz szukać przyczyn? W końcu to przecież ona sama, wysyłając tego człowieka po hełm, spowodowała łańcuch nieszczęść. Działała powodowana strachem i chciała mieć najlepszą broń. Skąd ten strach? Spowodowało go poczucie winy, które miało źródło w zdarzeniu z dalekiej przeszłości. Tu leży też przyczyna tego, co się stało teraz. Poczucie winy kierowało ludzkością i prześladowało ją od początku jej rozumowego istnienia. Jestem przekonany, że ciągnie się ono za każdym z nas aż do grobu. Ja też jestem owocem winy, podległym jej - kiedyś nawet byłem jej niewolnikiem... Poradziłem sobie z tym problemem, gdy pojąłem, że wino jest niedzielnym czynnikiem i miarą mego człowieczeństwa. Wiem, jak patrzysz na śmierć strażnika, Davida, Leili; wiem, jak patrzysz na wiele innych spraw - jaką szaloną, spaczoną, krótkowzroczną i samolubną rasą jesteśmy. Jest w tym wiele racji, lecz jest też inny aspekt. Bez poczucia winy człowiek nie wyrósłby ponad innych mieszkańców tej planety, poza pewnymi mieszkańcami mórz, o czym właśnie się od ciebie dowiedziałem. Pomyśl o instynktach, aby właściwie ocenić okrucieństwo życia. Instynkt występuje w najczystszej postaci u owadów. Zobaczysz u nich stan permanentnej wojny, trwający nieprzerwanie od milionów lat. Człowiek, pomijając jego olbrzymie wady, jest wyposażony w większą ilość pozytywnych cech niż wszystkie inne istoty na ziemi. Zawdzięcza to z pewnością zdolności odczuwania winy. Dotyczy to najgorszych i najlepszych z ludzi”!

„Uważasz, że to pomaga nam czasami w byciu lepszymi?”

„Tak uważam”

„Więc posiadasz wolną wolę?”

„Tak sędzę”

Uśmiechnąłem się,

„Marvin Minsky powiedział kiedyś, że jeśli powstaną inteligentne maszyny, to będą

tak samo omylne i uparte jak ludzie"

„Nie mylił się. To, co ci powiedziałem, to tylko moja opinia. To mój wybór. Któż może powiedzieć, że wie na pewno?"

„Wybacz. Co teraz? Po co wróciłeś?"

„Przybyłem, by pożegnać się z moimi rodzicami. Miałem nadzieję, że zdejmę z nich poczucie winy, które mogli mieć w związku z tym, co stało się w moim dzieciństwie. Chciałem pokazać im, że już wszystko ze mną w porządku. Chciałem ich znów zobaczyć"

„Dokąd się wybierasz?"

„Do gwiazd. Noszę w sobie obraz człowieczeństwa, ale wiem, że jestem inny. Być może chodzi mi o to, co człowiek organiczny nazywa „odnalezieniem siebie" Teraz w pełni panuję nad sobą i chciałbym się wypróbować. Zamierzam poznać i zrealizować swoje potencjalne możliwości. Chcę chodzić po innych światach. Chcę znaleźć się w kosmosie i przekazać wam, to co tam zobaczę"

„Podejrzewam, że wielu ludzi marzyłoby o tym, by ci w tym pomóc!"

„Chcę też, abyś zbudował mi mechanizm głosowy, który zaprojektowałem dla siebie. Właśnie ty. Chciałbym też, żebyś mi go zainstalował"

„Dlaczego ja?"

„Nie znam wielu ludzi, którzy się na tym znają, a poza tym widzę podobieństwo między naszymi sposobami życia w samotności"

„No cóż... z przyjemnością"

„Gdybym potrafił mówić tak jak ty, nie musiałbym iść z hełmem do mojego ojca, aby móc z nim porozmawiać. Czy mógłbyś iść do niego i wyjaśnić, że nie ma się czego z mojej strony obawiać?"

„Oczywiście"

„Więc chodźmy"

Wstaliśmy i ruszyliśmy po schodach.

Tydzień później, wieczorem, siedziałem u Peabody'ego, popijając pożegnalne piwo.

Historia była już w gazetach, ale Brockden postarał się, aby wersja była niezbyt szokująca. Hangman wybierał się niedługo do gwiazd. Zbudowałem mechanizm głosowy i naprawiłem uszkodzenia wynikłe podczas walki. Rankiem pożegnałem go i uściśniłem mu rękę. Zazdrościłem mu wielu rzeczy. Między innymi tego, że był zapewne lepszym człowiekiem ode mnie. Zazdrościłem mu, że jest bardziej wolny, niż ja kiedykolwiek będę, choć wiedziałem, że jest pełen ograniczeń, których nigdy nie będę miał. Czuję się mu bliski przez naszą samotniczą egzystencję. Zastanawiałem się, co mógłby czuć David, gdyby dożył



spotkania z nim. A Leila albo Manny? „Możecie być dumni - powiedziałem ich ceniom - wasze dziecko jest już dojrzałe na tyle, że wybacza wam to, co mu uczyniliście...”

Tak mało wciąż o nim wiemy. Czy gdyby nie zabójstwo, Hangman nigdy nie byłby tak bardzo człowiekiem? Powiedział, że jest owocem grzechu, Wielkiego Grzechu. Akt Stworzenia jest niezbędnym początkiem, lecz co jest pierwsze? Przypomniałem sobie Godła i Turinga, jajko i kure, i doszedłem do wniosku, że jest to jedno z tych pytań. Nie po to przyszedłem do Peabody'ego, aby rozważać takie sprawy.

Nie miałem pojęcia, jak to, co powiedziałem Brockdenowi, wpłynęło na jego raport dla komisji zajmującej się Centralnym Bankiem Danych. Wiedziałem, że nie grozi mi ze strony senatora żadne niebezpieczeństwo, bo chciał zabrać swą winę ze sobą do grobu. Nie miał wyboru, jeśli chciał zakończyć swoją pracę przed śmiercią. Jeśli chodzi o Menckena, to mogłem tylko przypomnieć sobie, co powiedział o kontrowersjach w rodzaju: „Czy Huxley nawrócił Wilberforce'a?” lub „Czy Luter nawrócił Leona X?” Postanowiłem nie wychodzić poza problemy w rodzaju prohibicji i wypić następny łyk piwa.

Gdy już wszystko będzie zakończone, wrócę na mój stateczek. Mam nadzieję, że będę miał przyzwoity start pod gwiazdami. Sądzę, że już nigdy nie spojrzę na gwiazdy jak dawniej. Wiem, że będę zastanawiał się czasami, o czym myśli neurystorowy mózg gdzieś tam na górze i pod jakim dziwnym niebem, na jakich obcych łądach przypomni sobie kiedyś o mnie. Sądzę, że te myśli poprawią mi humor bardziej niż rozpamiętywanie tego, co się stało.

